

SIECI

**CZY ŚWIAT MÓGŁ
INACZEJ ZAREAGOWAĆ
NA EPIDEMIE?**

**MOCNY GŁOS MACIEJA
PAWLICKIEGO**

**NIENASYCENIE
- RZECZ O TUSKU**

**W CO I Z KIM
GRA GOWIN**

**ROKITA O ANDRZEJU DUDZIE:
WYGRAŁBY KAŻDE WYBORY
I W KAŻDYM TERMINIE**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 19 (388) 2020

4-10 maja 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

KULISY WYDARZEŃ

BITWA O WYBORY

WSZYSTKO W RĘKACH POCZTY

PREZES TOMASZ ZDZIKOT TYLKO NAM MÓWI:

DAMY RADĘ!



Nowe wydanie w kioskach!



Papież nadziei

Wspomnienie o Janie Pawle II
w 100. rocznicę urodzin

Olimpiada przyjaźni

Przemyt, handel, balangi
– Polacy w Moskwie 1980 r.

Bracia Węgrzy

Jak Królestwo Węgier straciło
2/3 terytorium po I wojnie?

Zamów e-wydanie **wSIECI HISTORII** i **SIECI**
na www.SiecPrzyjaciol.pl

- do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
- do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie



Druga bitwa czasów epidemii

Jesteśmy jeszcze w środku podstawowej bitwy z koronawirusem, tej o ograniczenie liczby ofiar, ale czas zacząć myśleć już o drugiej – o sprawnym i skutecznym powrocie do normalnego funkcjonowania. Ona zdecyduje o jakości życia Polaków przez najbliższe lata, ona też może dać Polsce dużą przewagę nad konkurentami.

Ale po kolei. Można już spróbować wstępnego bilansu pracy rządu premiera Mateusza Morawieckiego w tym koszmarze ostatnich miesięcy.

Po pierwsze, dużo lepsza sytuacja w Polsce niż w większości państw o podobnej wielkości i porównywalnej zamożności. We Francji, Hiszpanii, Włoszech i niestety wielu innych miejscach, dużo bogatszych od nas, ofiary idą w tysiące i więcej. U nas, choć każda śmierć jest porażką, mówimy o ponad sześciuset ofiarach. Nie doszło do masowego wymarcia (straszne słowo, ale prawdziwe) w domach opieki społecznej, co zdarzyło się w bogatych krajach Zachodu. I to mimo że samorządy w wielu miejscach zadaniu nie sprostały. Mimo trudności nie ma też sytuacji zapaści służby zdrowia, konieczności wyboru, kto będzie ratowany, a kto nie. Udało się też spłaszczyć ową kluczową krzywą zachorowań.

Po drugie, w wielu krajach (np. Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii) zamrożenie aktywności społecznej (lockdown) już wywołało lawinowy wzrost bezrobocia i skokowy wzrost obszarów biedy. W Polsce też wielu cierpi, jest ciężko, będzie pewnie jeszcze ciężiej. Ale dzięki zastosowanym rozwiązaniom pomostowym większość firm dotkniętych skutkami epidemii ma szansę podjąć walkę, utrzymać zatrudnienie i płynność finansową. Wdrożone (i wdrażane) narzędzia tarczy anty kryzysowej i tarczy finansowej to ponad 300 mld zł w różnej formie. A projektowana jest już tarcza 3.0. Do tego dochodzą działania zabezpieczające przed przejmowaniem osłabionych polskich firm przez kapitał zagraniczny. Wszystko w szalonym tempie, przy obstrukcji w Senacie.

Po trzecie, mimo szaleńczych wręcz działań części opozycji i związanych z nią mediów utrzymano stabilność społeczną i poparcie dla Zjednoczonej Prawicy. Dobrze rozłożono zadania komunikacyjne pomiędzy prezydenta, premiera i ministra zdrowia. Udało się też utrzymać stabilność polityczną, co niestety zepsuła na chwilę akcja Jarosława Gowina. Udało się też premierowi i prezydentowi Andrzejowi Dudzie mocno wejść do europejskiej debaty o przyszłości Unii po pandemii.

Można powiedzieć, choć zachowując ostrożność, że udało się Polsce utrzymać kontrolę nad wirusem. Czas mocno ruszyć do drugiej bitwy – o sukces Polski po epidemii.

Tu nic nie może być na wariata, błędy mogą kosztować, ale w fundamentalnym wyborze, przed jakim stoi polski rząd – więcej odwagi czy więcej ostrożności – namawiam do tego pierwszego kierunku.

Nauczyliśmy się żyć i pracować z wieloma ograniczeniami. Wiemy, jak chronić grupy najbardziej narażone. One muszą pozostawać w dalszej pełnej (samo)izolacji. Być może powinny dostać dodatkową pomoc. Rośnie społeczna ak-



ceptacja dla ryzyka, rośnie świadomość, że dalsze tak duże zamrożenie aktywności społecznej i gospodarczej to może i ratunek przed koronawirusem, ale też coraz większe koszty gospodarcze, społeczne, psychiczne.

Lekarstwo nie może być gorsze od choroby. Trzeba wyważyć działania i znaleźć moment, który takie ryzyko zniweluje, zatrzyma taki obrót zdarzeń.

Warto usłyszeć echa dyskusji w tej sprawie toczącej się na całym świecie, ale szczególnie ciekawie przebiegającej – w mojej opinii – w USA. „Mijają dwa miesiące. Mamy wystarczająco dużo respiratorów, mamy gotowe szpitale, wiemy, jakie grupy są najbardziej narażone i jak je chronić. Są to powody, by pozwolić pozostałym, przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, wrócić do pracy” – podkreślają np. publicyści stacji Fox News.

Zgadzam się: nie wolno nam pomylić środków, jakie wprowadzono, z celem. Nie chodziło o ustanie życia społecznego i czekanie, aż wirus zniknie – to niemożliwe do zaplanowania. Istotą podjętych środków było spłaszczenie krzywej – i to osiągnęliśmy.

Nie można jednak wpaść w pułapkę skrajności. Udało się Polaków ochronić przed tsunami epidemii – polski rząd zareagował szybko, kluczowe było chyba zwłaszcza zamknięcie granic. Uratowano wiele istnień ludzkich. Uniknięto chaosu. Teraz jednak trzeba odważnie ruszyć do przodu, odmrażać, uruchamiać, przywracać. Trzeba nakreślić precyzyjne warunki i harmonogramy dla poszczególnych branż. Ten proces ruszył. To dobrze. Konieczny będzie dalszy wysiłek przekonywania tych, którzy stojąc przed wspomnianym wcześniej wyborem, zawsze odpowiedzą: „Więcej ostrożności”. Mają rację z punktu widzenia epidemicznego, ale to nie może być jedyna racja brana pod uwagę.

Podkreślam: uważam, że Polacy są gotowi nawet na większe ryzyko. Musimy wygrać i z epidemią, i z kryzysem.

Michał Karnowski



38

Raport z obłęzonego świata
Maciej Pawlicki



49

Problemy z „odmrażaniem kościołów”
Grzegorz Górny



54

Wysychanie Polski
Konrad Kołodziejcki

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KRA WYBORCZA**
Krzysztof Feusette
- 9 ASY W RĘKAWIE**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 BUNT MAGISTRATÓW**
Jan Pietrzak
- 13 POLITYKA CZASÓW ZARAŻY**
Bronisław Wildstein
- 14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY**
MAGDALENY OGÓREK
Michał Korsun
- 15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 CZYTANIE ZOSTANIE?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

POLITYKA

- 20 Z TOMASZEM ZDZIKOTEM, PRZESEM POCZTY POLSKIEJ,**
rozmawia Jacek Karnowski
- 25 A DUDA I TAK WYGRYWA**
Jan Rokita
- 28 MAŁE (NIE)POROZUMIENIE**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 32 NIENASYCENIE, CZYLI RZECZ O TUSKU**
prof. Andrzej Nowak
- 35 CHJENO-PIAST BIS**
Stanisław Janecki

EPIDEMIA KORONAWIRUSA

- 38 RAPORT Z OBŁĘZONEGO ŚWIATA**
Maciej Pawlicki
- 42 Z PROF. WŁODZIMIERZEM GUTEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 46 ZE ZBIGNIEWEM JAGIEŁŁĄ**
rozmawia Marcin Fijołek
- 49 PROBLEMY Z „ODMRAŻANIEM KOŚCIOŁÓW”**
Grzegorz Górny
- 52 POWRÓT PRZYRODY**
Przemysław Barszcz

KRAJ

- 54 WYSYCHANIE POLSKI**
Konrad Kołodziejcki

ŚWIAT

- 57 WYSTARCZY TYLKO ISKRA**
Marek Budzisz
- 60 Z JAKUBEM HILEREM**
rozmawia Piotr Ślabek

SIECI KULTURY

- 63 NIE MA JAK RODZINKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

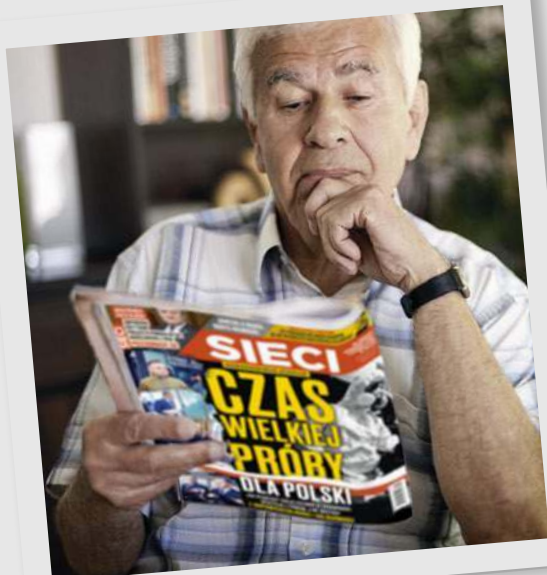
- 68 DALEJ JEST TYLKO NOC**
Piotr Gontarczyk

KUCHNIA

- 74 MOJE SMAKI: KRZYSZTOF SZCZEPANIK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 SZANUJMY PAŃSTWO**
Wojciech Reszczyński
- 77 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 78 ŚMIERĆ, ŚMIERĆ I ŚMIERĆ**
Aleksander Nalaskowski
- 79 KONIEC OŁPENSPEJSU**
Wiktor Świłlik
- 80 KULTURA W SIECI CHAMSTWA**
Ryszard Makowski
- 81 PORTRETY POETÓW... PRZEZ POETÓW**
Leszek Długosz
- 82 LECZENIE OBJAWOWE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie



ZAMÓW PRENUMERATĘ TYGODNIKA **SIECI**

- jest bezpiecznie zafoliowany
- trafia prosto do skrzynki
- do 30% taniej!

ZAMÓW PRENUMERATĘ W 3 PROSTYCH KROKACH:

- 1** wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75,00 zł	139,00 zł	245,00 zł
SIECI W SIECI HISTORII	-	158,00 zł	280,00 zł
- 2** zamów i opłać
 - przez stronę www.wsieciprawdy.pl/prenumerata
 - lub wpłacając odpowiednią kwotę na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290 (Fratrria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia), wpisując w tytule wpłaty adres do wysyłki prenumeraty
- 3** w razie pytań
 - napisz: prenumerata@fratria.pl
 - zadzwoń: **22 616 70 15** od poniedziałku do piątku w godz. 10.00–16.00

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa



nazwa odbiorcy		F R A T R I A s p. z o. o. 8 1 - 4 7 2 G D Y N I A	
nazwa odbiorcy cd.		U L . L E G I O N Ó W 1 2 6 - 1 2 8	
nr rachunku odbiorcy		9 1 1 2 4 0 5 3 5 4 1 1 1 1 0 0 1 0 7 7 1 3 6 2 9 0	
kwota słownie lub nr rachunku zleceniodawcy		W P	PLN
imię i nazwisko zleceniodawcy oraz adres do wysyłki prenumeraty		kwota za wybraną prenumeratę	
adres do wysyłki prenumeraty cd.			
tytułem		P R E N U M E R A T A P A P I E R O W A	
liczba miesięcy prenumeraty i tytuł („Sieci” lub pakiet „Sieci” + „W Sieci Historii”)			
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy		Oplata	

odcinek dla zleceniodawcy

Sygnalista nadaje

Grzegorz Schetyna został zapytany, czy czuje się odpowiedzialny za fatalne notowania Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Były lider PO odparł: „Nie jestem ojcem kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, to jest decyzja konwencji, kilkuset członków Platformy Obywatelskiej, szefów struktur”. Piękny przykład odwagi cywilnej w mierzeniu się z porażką. Piękny przykład solidarności z kobietą, którą wysłało się na pierwszą linię frontu.

Także Donald Tusk ogłosił, że nie zgłasza na Małgorzatę Kidawę-Błońską. Jako pretekst podał wątpliwości co do procedury. „Analizowałem to przez wiele dni, właściwie tygodni, ponieważ ta sytuacja przygotowana przez rządzących na 10 maja nie ma z wyborami nic wspólnego”. Rzeczywiście, co to za wybory, w których faworytem jest kandydat PiS? A poza tym Tusk nie byłby w stanie analizować czegoś przez wiele tygodni. Za duży wysiłek.

Tuskowe wezwanie do bojkotu potępił Władysław Teofil Bartoszewski. „Zło zwycięża, gdy dobrzy ludzie nic nie robią. Bojkot zbliżających się wyborów może zapewnić zwycięstwo prezydentowi Dudzie i każdy nieoddany głos będzie temu służył. Odpowiedzialność spadnie na wszystkich, którzy nawoływali do bojkotu”. Na Tuska nigdy nic nie spadnie. W tej sferze Tusk nie istnieje.

Tuska poparł za to niemiecki dziennikarz Jacques Schuster, który w komentarzu na łamach „Die Welt” ocenił, że wzywając do bojkotu, były premier „próbuję tym samym obu-

dzić pierwotne siły społeczeństwa obywatelskiego, które przyniosły wolność w 1989 r. w komunistycznej Polsce”. To nieprawda. Te siły spacyfikowano dużo wcześniej, właśnie po to, by nie przeszkadzały.

Sama Kidawa-Błońska, idąc za głosem Donalda Tuska, stwierdziła, że nie weźmie udziału w wyborach prezydenckich, jeżeli te zostaną zorganizowane w maju. Pozostanie jednak na liście wyborczej. Historia kandydatki KO zaczyna przypominać losy skoczka narciarskiego Eddiego „Orla” Edwardsa, którego publiczność pokochała przecież nie za wyniki. Kidawa też może się doczekać tego typu uznania. I to całkiem szybko.

W najnowszym badaniu pracowni Social Changes na czoło opozycyjnej stawki wysunął się Szymon Hołownia (14 proc. poparcia), który zdysztansował Władysława Kosiniaka-Kamysza (8 proc.) i Małgorzatę Kidawę-Błońską (3 proc.). Rzecz jasna, to także wynik wezwań do bojkotu wyborów płynących ze strony KO, ale jednocześnie groźne memento dla partii Budki. Kto nie walczy, ten daje przestrzeń innym. Hołownia wyborów nie wygra, ale wyborców może ukraść. Przecież zainwestowano w niego nie dla sportu.

Do bojkotu majowych wyborów wzywa także Adam Michnik. „Należę do pokolenia, które przez dziesięciolecia angażowało się w walkę o demokrację i za swą troskę o wolność, godność i suwerenność Polski zapłaciło wysoką cenę. Dlatego mówię twardo: Nie wolno oddawać Polski lo-

9 tys. osób
zadeklarowało
udział
w internetowej
akcji „Grupowe
kaszenie pod
domem Jarosława
Kaczyńskiego”.
Po nagłośnieniu
sprawy organizatorzy
ogłosili co prawda,
że nie zamierzają
organizować nielegalnego
zgromadzenia, a cała akcja
ma charakter satyryczny
i odbędzie się jedynie na
Facebooku, ale dodali: „Jeżeli
ktoś chce przejąć inicjatywę
w inny sposób, to nie mamy nic
przeciwko temu”. Oto „wolna,
godna i suwerenna” opozycyjna
Polska w pełnej krasie.

buzom i oszustom”. Argument „ja siedziałem w więzieniu” już raz sprowadził Polskę na manowce, ale tym razem nie zadziała. Naród zmądrzał.

„To Michał Kamiński, obecnie senator z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego, współpracownik Władysława Kosiniaka-Kamysza, stoi za akcją rozbijania Zjednoczonej Prawicy. On wymyślił ten plan, a nawet miał osobiście przygotować Jarosława Gowina do spotkania z Jarosławem Kaczyńskim w ubiegłym tygodniu” – poinformował portal wPolityce.pl. Inne źródła dodają: Michał Kamiński wciąż 90 proc. swojego czasu poświęca myśleniu o tym, jak zaszkodzić Kaczyńskiemu. To rodzaj autoagresji, w sumie zrozumiałą.

Michał Kamiński przedstawił swoją analizę sytuacji politycznej: „Jarosław Kaczyński już uczynił z tych wyborów przedmiot honorowy, totem. Totem swojej totalnej władzy nad Polską. I jak każdy magiczny przywódca, a takim jest Jarosław Kaczyński, musi o swój totem dbać. Dzisiaj totemem jest, że jak jesteś polskim patriotą, to musisz za wszelką cenę do wyborów 10 maja, choćby to się łączyło z tsunami, potopem i gradobiciem”. To nieprawda. To nie jest żaden totem, bo wybory będą albo 17, albo 23 maja.

Na Gowina liczy m.in. Agnieszka Holland. Jej wypowiedź jest cenna, bo pokazuje, jak instrumentalnie traktowany jest po stronie opozycyjnej lider Porozumienia: „Tak, następny etap jest teraz w rękach tego paskudnego Gowina (który przynajmniej nie cieszy się, kiedy głośnie, w przeciwieństwie do Kaczyńskiego, który zaciera z rozkoszą łapki, przy każdym przyszpilonym motylu)”. Skoro Gowin jest „paskudny” w chwili, gdy wszystko od niego zależy, co powie Holland, gdy przestanie być potrzebny?

Holland ma też pomysł: „Myślę, że powinniśmy powołać Obywatelski Komitet Wyborczy, w skład którego wejdą obywatele cieszący się autorytetem w różnych środowiskach prodemokratycznych, którzy postarają się wypracować wspólne stanowisko w obliczu możliwych sytuacji”. Tak, tak, tak! Doskonały pomysł!

Paweł Kukiz: „Należy zahamować w Polsce autorytaryzm, a jak tylko to uda się zrobić, należy wrócić, o co również proszę i waszą stację [TVN], do dyskusji nad konstrukcją ustrojową państwa. Od lat mówię, że żyjemy w ustroju, który umożliwia ludziom, jednostce, która ma jakieś fobie, sprawowanie rządów autorytarnych. I to nie jest

istotne, czy to prezes Kaczyński, czy byłby to Donald Tusk, czy ktokolwiek inny”. A wydawało się, że nie ma już ludzi wierzących w anarchizm. Są, choć pod zielonym, a nie czarnym sztandarem.

Kolega Kukiza, szef PSL **Władysław Kosiniak-Kamysz** to zakłada, to zdejmuję maskę umiarkowania. Teraz zdjął: „Mamy do czynienia z władzą nieroztropną nierzetelną, chcącą jedynie utrwalić swoją władzę. Ale ja pola nie oddam. Będę walczył, bo nie wolno Polski zostawić takim ludziom jak Andrzej Duda, który nie zdaje egzaminu nawet w trakcie epidemii i kryzysu”. I pewnie dlatego, że nie zdaje, może wygrać już w I turze.

Skandalistka i jednocześnie posłanka KO Klaudia Jachira uderzyła się w piersi: „Na każdym kroku słyszę, jaka ta opozycja jest zła i słaba. Ok. Jesteśmy beznadziejni. Biorę za to odpowiedzialność. Ale to w końcu Wy nas wybraliście i jakby nie było politycy odzwierciedlają społeczeństwo. Jeśli jesteście na kogoś bardzo źli, to za 3,5 roku go po prostu nie wybierajcie” – stwierdziła. Bardzo dobra propozycja.

Jachira zaapelowała także do wyborców opozycji o pomoc: „Nie mówcie tylko, że jesteśmy źli, dajcie nam jakieś wskazówki, powiedzcie, czego od nas oczekujecie, co zrobić, żebyśmy byli lepsi. Koniec z narzekaniem”. To jest skala upadku największej partii opozycyjnej: nie wie, co zrobić z sobą, nie ma nic do zaproponowania, prosi o pomysły. A ponoć to siła, która reprezentuje „elity”, także intelektualne.

Małgorzata Gersdorf pożegnała się ze stanowiskiem. „Nasz sprzeciw, a przede wszystkim sprzeciw wielu obywateli, pozwolił na konsekwentne dążenie do obrony nie tylko naruszanych reguł konstytucyjnych, dotyczących niezależności sądów i niezawisłości sędziów, ale także do obrony zagrożonej w ten sposób europejskiej tożsamości Rzeczypospolitej” – podsumowała swoje działania. O płaceniu suwerennością za unijną pomoc nie wspomniała.

Ale jedno trzeba dostrzec: mimo nacisków „Wyborczej” Gersdorf nie podjęła próby wyznaczenia swojego następcy za pomocą telekonferencji. „Nie mam nic sobie do zarzucenia. Nie wywiesiłam białej flagi, nie zwołując Zgromadzenia Ogólnego Sędziów w celu wyboru I prezesa SN. Nie mogłam tego zrobić, bo narażałabym sędziów na utratę zdrowia, a nawet życia” – tłumaczyła w TVN. W tej sprawie ani tłumaczenie, ani przeprosiny nie wystarczą; „GW” takich spraw nie przebacza. /



Kra wyborcza



KRZYSZTOF FEUSETTE

B.B.: Halo? Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać...

M.K.-B.: Po co żeś mi podpowiadał?

B.B.: Halo, Gosiu? Właśnie mówiłem, że...

M.K.-B.: Pytam po raz ostatni i dzwonię do Donalda: po co żeś mi podpowiadał?!

B.B.: Żeby wstydu nie było...

M.K.-B.: To czemu tak głośno?!

B.B.: Bo ty nie słyszysz!

M.K.-B.: A miałam dyszeć?! Przecież ja i tak ledwo żyję. Czemu np. wzięłam Gajewską, żeby wywiad ze mną zrobiła, a nie Kolenkę-Zaleską? Też byłoby za darmo, a ludzie by myśleli, że to TVN tak mnie dociska...

B.B.: Ty widziałeś ten wywiad?

M.K.-B.: Ja w nim grałam, kochany. Trudno, żebym jednocześnie była z obu stron telewizora.

B.B.: Małgosiu...

M.K.-B.: Wiem, mogłam cię zapytać, ale czułam, że się nie zgodzisz.

A mi Donald powiedział wyraźnie: idź za głosem intuicji. Więc idę, jak ten Bronek, środkiem drogi, bo też jestem z całej Polski, w której woda spływa do Bałtyku, a zeszłoroczny śnieg nikogo już nie obchodzi...

B.B.: Musimy porozmawiać po męsku...

M.K.-B.: To daj żonę do telefonu.

B.B.: Bardzo zabawne. Prawie tak samo jak twoje cztery procent w sondażu...

M.K.-B.: To jest twoje dzieło!

B.B.: Ja ci kazałem bojkotować? A potem bojkotować własny bojkot? Ja ci kazałem bredzić, że PiS ofiary ukrywa? Miałeś powiedzieć, że wyborów nie może być i koniec, a nie wzywać do rezygnacji z głosowania! I to kogo?! Własnych wyborców!

M.K.-B.: Potrzeba więcej testów!

B.B.: Chyba na inteligencję!

M.K.-B.: Wyobraź sobie, że zrozumiałam aluzję. Ale to ty obiecywałeś, że będziesz lepszy od Schetyny. A my obecnie przypominamy „Titanica”...

B.B.: Być może. Tyle że u nas di Caprio nie utonie. Zepchnie Winslet do wody i poczeka na pomoc. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Ty i tak żegnasz się już z polityką, a ja...

M.K.-B.: A ty nie mogłeś znieść, że nie byłbyś numerem jeden w partii! Wiedziałam, że będziesz mi kłody pod szprychy sypał, jak piasek w tryby, ale czekaj, liderku macherku,

jeszcze przyjdiesz z podkulonym ogonkiem...

B.B.: To nic nie da. Myśmy już podjęli decyzję na egzekutywie plenum rady zarządu partii. Chcemy cię wymienić.

M.K.-B.: Za mało masz mleka pod wąsem, Borys... Za dużo... Za mało wiesz, smarkaczu, o życiu w rodzinie

z korzeniami krzyżacko-polskimi, żebyś mógł kogoś wymieniać. Ciebie taka odpowiedzialność wbiłaby w ziemię po same bokserki. Nawet te niebieskie, w których udzielałeś wywiadu. Swoją drogą, ciekawe, co to była za telewizja, że aż ci spodnie spadły... Może niemiecka?

B.B.: To były spodenki. I to nie ja, a ty chcesz Polaków do Niemiec na roboty wysłać, bo ci się szparagów zachciało...

M.K.-B.: Tu nie o szparagi chodzi, a o solidarność! Zobacz, ile fundacji u nas powstało za niemieckie pieniądze, ile gazet i tygodników, a my im warzyw nie możemy zebrać? Jacy z nas Europejczycy, co to jest w ogóle za mentalność? Pandemią się zasłaniamy, a te biedne szparazki...

B.B.: Dobra, bo się rozplaczę. I tak płakać się chce, jak sobie pomyślę, że ciebie nawet Hołownia za chwilę wyprzede. Stanowisko partii jest jednoznaczne – musisz się wycofać...

M.K.-B.: Ale z czego? Znowu coś pokręciłam?

B.B.: Na początek z mediów. Otoczmy cię kordonem tajemnicy, żeby nie było wiadomo, czy ostatecznie startujesz, czy bojkotujesz. Może wyjechałaś? Może cię porwali? Rozumiesz?

M.K.-B.: Nie bardzo. To Nitras wymyślił?

B.B.: Nie osobiście. Ten program tworzyło grono najwybitniejszych autorytetów naszej partii, nasze największe media oraz wyniki badań sondażowych.

M.K.-B.: I co dalej?

B.B.: Nic, happy end. Możesz sobie portrety odkurzyć albo porcelanę przetrzeć. I dzięki tobie partia nie pójdzie na dno...

M.K.-B.: Wiesz, co? A mnie się wydaje, że ty za krótko jesteś ostrzyżony, a jeszcze krócej w polityce, żeby kandydatkę Platformy Obywatelskiej na urząd premiera oraz prezydenta próbować wymazać z pamięci milionów Polaków. Choćbyś miał cztery garnitury na sobie, i tak będziesz zawsze wyglądał jak w krótkich spodenkach...

B.B.: Wycofasz się, my zrobimy resztę. I masz szlaban na telewizję.

M.K.-B.: A ty na konferencje prasowe! Czep się tramwaja, synku. Taki z ciebie lider, jak z parówki świder. Czekaj, wróci Grzesiu, to zobaczysz, czemu go „Zniszczę cię” nazywają! 

Asy w rękawie

*Na domiar złego WHO
jest przeciwko naszej
opozycji. „Ryzyko transmisji
wirusa między osobami za
pośrednictwem listów i przesylek
jest niskie” – oświadczyła*

panii, ponieważ to ograniczyło liczbę kompromitacji kandydatki w bezpośrednim kontakcie z wyborcami. Bzdury wypowiediane w terenie przez panią Kidawę-Błońską przerosły najśmielsze oczekiwania jej współpracowników. I wyborców także.

Jednak kto myślał, że śmieszniej być nie może, ten się mocno rozczarował. Gwoździem tej kampanii (z tym że takim do politycznej trumny) okazał się spot, w którym Kidawa-Błońska odpowiada w „Kidawa TV” na pytania zadawane przez jej partyjną koleżankę. Właściwie pytania są do eksperta, a sama kandydatka wtrąca się na koniec. Nawet jej sztab uznał najwidoczniej, że ich kandydatce pytań lepiej nie zadawać.

Tak w ogóle to Koalicji Obywatelskiej ostatnio wiatr w oczy wieje. Nie dość, że epidemia (przynajmniej na

razie) nie pogorszyła notowań rządu (w takiej Ameryce protesty, we Francji zamieszki, a u nas nic!), nie dość, że kandydatka okazała się maksymalnym niewypałem, nie dość, że bojkot wyborów zbojkotowała reszta opozycji, a potem do bojkotu bojkotu musiała się także przyłączyć jego pomysłodawczyni, to jeszcze na domiar złego Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) jest przeciwko naszej opozycji. „Ryzyko transmisji wirusa między osobami za pośrednictwem listów i przesylek jest niskie” – powiedziała ekspertka europejskiego oddziału WHO dr Catherine Smallwood, odpowiadając na pytanie PAP o bezpieczeństwo wyborów korespondencyjnych. Jakby tego było mało, nawet Komisja Europejska nie zamierza podejmować kwestii wyborów w Polsce w ramach procedury art. 7 traktatu. „To kraje członkowskie podejmują decyzje o wyborach” – poinformował rzecznik KE. Do tego wszystkiego Roman Giertych nieopatrznie wygadał strategię opozycji: jak my wygrywamy, to wybory uznajemy, jak oni wygrywają, to wybory podważamy.

Kto by pomyślał, że rządząca partia ma tyle asów? A najlepsze jest to, że wiele z nich siedzi spokojnie w rękawie opozycji.

Dorota Łosiewicz

Majówka, majóweczka i po majóweczce. W tym roku, chciał nie chciał, musiała ona być nieco inna, bo spotkania rodzinne i towarzyskie wciąż musimy ograniczać. Najbezpieczniejszym miejscem wypadu pozostaje na razie własny balkon lub działka. Ale już od dwóch miesięcy wszystko jest inne, więc do tej nowej inności zaczęliśmy się przyzwyczajać. Nie wiem, co będzie, gdy wróci stara normalność. Znow będziemy musieli ją jakoś oswoić.

Na razie osuwamy się z myślą o wyborach. I właśnie tuż po majówce i tuż przed wyborami wypada debata telewizyjna kandydatów do urzędu Prezydenta RP. Przed tym spotkaniem kandydatka Koalicji Obywatelskiej na „prawdziwego” prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska obiecała, że weźmie w niej udział po to, by Polacy zobaczyli, jaka jest naprawdę. Zanim jednak to się stanie, pani kandydatka będzie musiała najpierw zapytać Borysa Budkę, jaka jest i co myśli, bo bez jego odpowiedzi może błądzić niczym dziecko we mgle.

Co więcej, obawiam się, że śmiesznie niskie poparcie, jakie wykazał dla kandydatki Koalicji Obywatelskiej jeden z ostatnich sondaży Kantara, to wynik tego, że Polacy już doskonale wiedzą, jaka jest ta kandydatka na „prawdziwego” prezydenta. Niespodziewanie okazała się lepsza od Ryszarda Petru w memogeniczności, a od Bronisława Komorowskiego w zjeździe po równi pochyłej notowań. Przypomnijmy, że w jednym z pierwszych sondaży przed wyborami prezydenckimi, który uwzględnił kandydaturę Andrzeja Dudy, opublikowanym przez Millward Brown 24 listopada 2014 r., Bronisław Komorowski miał 61 proc. poparcia, a obecny prezydent ledwie 17 proc. Gdy spojrzymy na początek toczącej się kampanii, wówczas przypomnimy sobie sondaż IBP, w którym urzędujący prezydent wygrywał z Małgorzatą Kidawą-Błońską tylko o 0,2 pkt proc. Tymczasem według najświeższego sondażu Kantara prezydenta Dudę popiera 59 proc. Polaków, a Kidawę-Błońską raptem 4 proc. badanych. A ona nawet jeszcze nie zdążyła być prezydentem!

Właściwie to sztab Kidawy-Błońskiej powinien się cieszyć z takiego przebiegu kam-



Wolność czy bezpieczeństwo?

Niemcy

Restrykcje, wprowadzone w Niemczech w związku z pandemią koronawirusa, stanowią ingerencję w podstawowe prawa i są dużym obciążeniem dla obywateli, jednak Niemcy nie reagują na nie z niechęcią. „Wręcz przeciwnie, jak dotąd reakcje są jednoznacznie pozytywne” – pisze na łamach dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung” Thomas Petersen z Instytutu Demoskopii Allensbach, powołując się na najnowszy sondaż tego ośrodka. Wynika z niego, że 79 proc. Niemców jest gotowych zrezygnować z wolności w zamian za bezpieczeństwo. Większość Niemców (75 proc.) w konsekwencji bardzo dobrze lub dobrze ocenia pracę rządu federalnego w czasie koronakryzysu. Pozytywne oceny dominują nie tylko wśród wyborców CDU/CSU i SPD, ale i Zielonych, liberalnej FDP czy nawet Lewicy. Innego zdania są jedynie wyborcy Alternatywy dla Niemiec (AfD), z których tylko 38 proc. popiera obecną politykę władz w Berlinie.

Inne sondaże również potwierdzają pozytywną ocenę rządu. Z „politycznego barometru” publicznej telewizji ZDF wynika, że 88 proc. Niemców uważa, iż rząd świetnie sobie radzi, a notowania partii koalicyjnych wyraźnie wzrosły. CDU/CSU do 35 proc., a SPD do 17 proc., w przypadku obu partii to wzrost o 2 pkt proc. Notowania AfD za to nie drgnęły (10 proc.), a FDP i Zieloni nawet tracą. Niemieccy liberalowie mają obecnie najniższe notowania od trzech lat



Fot. Shutterstock

i oscylują w okolicach 5 proc., a Zieloni, przed pandemią wyniesieni na szczyt sondaży na fali protestów klimatycznych, teraz mogą liczyć na 20 proc. poparcia. Znamienne jest, że kanclerz Angela Merkel cieszy się obecnie zaufaniem aż 80 proc. obywateli.

Niemcy, naród z natury zdyscyplinowany, uważają, że w obliczu zagrożenia należy się podporządkować rządowi. Nie oznacza to oczywiście, że nikt nie protestuje przeciwko restrykcjom. Do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe wpłynęły skargi przeciwko obostrzeniom, ale zostały odrzucone.

Instytut Allensbach niepokoi się bierną postawą Niemców wobec ograniczania osobistych wolności. Jak wyjaśnia Thomas Petersen, reakcje Niemców na obecny kryzys mogą stanowić pokusę dla ewentualnych przyszłych rządów. „Teoretycznie trzeba tylko wystarczająco wyraźnie przedstawić rzeczywiste albo prawdopodobne zagrożenie, jak katastrofa klimatyczna, ogromna fala migracyjna, poważne podziały społeczne. Jeśli zagrożenie wydaje się wystarczająco duże, wielu ludzi będzie gotowych na rezygnację ze swoich praw” – przewiduje ekspert.

Aleksandra Rybińska

Walizka z trucizną

Czechy

Czeski tygodnik „Respekt” opisuje historię przypominającą niedawne wypadki w brytyjskim Salisbury i wcześniejsze „problemy zdrowotne” bułgarskiego handlarza bronią Emilianu Gebrewa, którego pechem było to, że jego konkurencja miała przyjaciół w Moskwie.

Otóż dziennikarze, powołując się na źródła w czeskich służbach, piszą, że na początku kwietnia w Pradze wylądował rosyjski „dyplomata”, który w bagażu miał mieć rycynę, silnie trującą substancję, którą nieraz posługiwali się rosyjscy specje „od mokrej roboty”. Został on zabrany z lotniska samochodem należącym do ambasady Rosji w Pradze. Czeskie służby miały być poinformowane o przybyściu i zawartości jego bagażu dyplomatycznego, podobnie zresztą jak wiedziały o kilkanaście dni wcześniejszym przemieszczeniu się kilkunastu rosyjskich agentów do róż-

nych państw europejskich. Przybycie do Pragi „dyplomaty”, który złamał zasady nakazujące dwutygodniową kwarantannę, potwierdziła rzecznik czeskiego MSZ Zuzana Štichová.

Reakcja czeskich służb specjalnych była natychmiastowa. Burmistrz Pragi Zdeněk Hřib, urzędnik miejski Pavel Novotný oraz Ondřej Kolář, burmistrz praskiej 6. dzielnicy, zostali objęci ochroną i przewiezieni w bezpieczne miejsce. Kolář wyjaśnił potem, że jest chroniony, bo „są tutaj Rosjanie, którzy otrzymali zadanie otrucia mnie”.

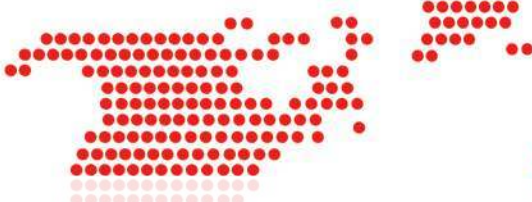
Chodzi o zemstę rosyjskich władz za demontaż przez władze Pragi pomnika sowieckiego marszałka Iwana Koniewa oraz przemianowanie placu, przy którym znajduje się ambasada Rosji, i nadanie mu imienia zamordowanego polityka opozycyjnego Borysa Niemcowa. To posunięcie zostało odebrane w Moskwie jako prowokacja, a tamtej-

szy Komitet Śledczy rozpoczął dochodzenie w tej sprawie. Jego podstawą jest podpisana niedawno przez Władimira Putina ustawa, która przewiduje odpowiedzialność karną wszystkich, którzy „niszczą” pomniki sowieckie, niezależnie od tego, czy znajdują się na terenie Federacji Rosyjskiej, czy poza jej granicami.

Jest to kolejne starcie na linii Moskwa–Praga. Wcześniej czeskie służby specjalne oskarżyły Rosję o organizowanie kampanii dezinformacyjnych, a w grudniu wybuchł skandal, po tym jak Moskwa ostro skrytykowała decyzję czeskiego parlamentu o upamiętnieniu rocznicy sowieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968 r.

Obecny kryzys oznacza dalsze zaostrzenie relacji. Podczas gdy rzecznik Kremla nazwał informacje czeskiego tygodnika „kaczką”, premier Andrej Babiš oświadczył, że jego rząd nie dopuści do ingerencji obcych państw w wewnętrzne sprawy Czech.

Marek Budzisz



Duńskie Towarzystwo Biblijne wydało właśnie kolejną edycję Pisma Świętego. Nowe tłumaczenie Biblii przeznaczone – jak twierdzą jego autorzy – dla współczesnego, zlaicyzowanego czytelnika wywołało jednak zdumienie wielu organizacji żydowskich.

Izraelskie media bowiem zauważyły, że Duńczycy pominęli w nowym tłumaczeniu Biblii wiele wzmianek o Izraelu, zamieniając w 59 miejscach słowo Izrael i Izraelczycy na określenia „my” albo Żydzi. Duńczycy podkreślają z kolei, że chcieli, aby Pismo Święte trafiło również do czytelników bez religijnego przygotowania i nazwali zarzuty izraelskich mediów fake newsami, dodając przy tym, że z Biblii znikły w kilku miejscach również takie słowa jak „grzech”, „łaska”, „wdzięk” czy „przymierze”. Dlaczego? Zdaniem towarzystwa, duńscy czytelnicy mogliby nie zrozumieć ich biblijnego znaczenia i nie odróżniać Izraela biblijnego od Izraela dzisiejszego. Z tego powodu mogliby dojść do błędnego wniosku, że Bóg zawarł Przymierze z obecnym państwem Izrael. To-

 **Dania**

Biblijny spór o Żydów

warzystwo Biblijne zapewnia też, że jego nowe tłumaczenie nie jest oficjalną wersją Biblii luterkańskiego Duńskiego Kościoła Narodowego, będącego de facto państwowym kościołem.

Cała sprawa jest nie tylko absurdalna, ale pokazuje, jak bardzo poprawność polityczna przeorała dziś świadomość dużej części europejskich chrześcijan. W głównej mierze dotyczy to protestantów, którzy nie mają Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, dbającego o interpretację dogmatyczną, teologiczną i biblijną. Trudno jednak przyjmować tłumaczenia Duńczyków, którzy nie zmienili przecież fragmentów Starego Testamentu mówiących o Egipcie. Idąc tokiem argumentacji biblijnego towarzystwa, duński czytelnik powinien przecież pomylić dzisiejszy Egipt z tym starożytnym.

Może jednak laicyzm zaszedł tak daleko, że Duńczycy mają rację? Jeśli tak jest, to trzeba uznać, że chrześcijaństwo w wielu europejskich krajach istnieje wyłącznie teoretycznie.

Lukasz Adamski



Skandal w Babim Jarze

 **Ukraina**

Na Ukrainie wybuchł skandal wokół kształtu planowanej ekspozycji stałej w muzeum – miejscu pamięci w Babim Jarze pod Kijowem. W latach 1941–1943 niemieckie oddziały SS wymordowały tam 70 tys. osób, głównie Żydów. Pod koniec ub.r. dyrektorem artystycznym kompleksu został Rosjanin Ilja Chrzanowski, który przedstawił projekt scenariusza muzeum. W jego zamyśle zwiedzający sami mają poczuć na sobie grozę tamtych dni. Będą więc m.in. zamknięci w klaustrofobicznym labiryncie bez wyjścia lub prowadzeni przez eskortę w nieznane ciemnymi korytarzami, gdzie panować mają wilgoć i zimno, rozlegać się będą niepokojące dźwięki i unosić nieprzyjemne zapachy. Poza tym będą oni zmuszani do udziału w psychologicznych eksperymentach, uznawanych dziś w świecie naukowym za nieetyczne (np. stanfordzki eksperyment więzienny Philipa Zimbarda, eksperyment Stanleya Milgrama czy eksperyment Robbers Cave).

Wizja Chrzanowskiego wzbudziła wiele zastrzeżeń naukowców zaangażowanych w tworzenie muzeum. Z prac wycofał się m.in. główny historyk Karel Berkhoff z Holandii, który uznał, że nowy projekt jest niemoralny i ignoruje wszystkie dotychczasowe ustalenia.

Kontrowersje budzi też dorobek artystyczny Chrzanowskiego, który nakręcił cykl filmów fabularnych „Dau”, przedstawiających nieludzkie oblicze systemu sowieckiego. 22 kwietnia na wniosek rzecznika praw obywatelskich Nikołaja Kuleby prokuratura w Charkowie wszczęła śledztwo przeciwko reżyserowi, zarzucając mu, że w trakcie kręcenia filmu doszło do prawdziwych scen przemocy wobec sierot oraz do rzeczywistego wykorzystania seksualnego aktorki. W jednej z sekwencji komsomolec (grany przez Maksima Marcinkiewicza – rosyjskiego neonazistę odsiadującego obecnie wyrok 10 lat łagru) naprawdę odcina żywej świni głowę.

Przyszłość Chrzanowskiego jako dyrektora w Babim Jarze jest więc niepewna. Jego los spoczywa w rękach czterech głównych sponsorów muzeum, oligarchów żydowskiego pochodzenia: Wiktora Pinczuka z Ukrainy oraz Michaiła Fridmana, Hermana Hana i Pawła Fuksa z Rosji.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bunt magistratów

Wierni poplecznicy Tuska, władarze kilku miast, za wszelką cenę chcą przeszkodzić w wyborach prezydenckich. Szykują bunt magistratów. Pucz się nie udał. Ciamajdan nie wypalił. Czarne macice zawiodły. Zbrukane togi poszły w szmaty. UBywatele przepadli. Kidawa sama się zbojkotowała... Jak żyć?

Światowy indeks wolności prasy ogłosił, że Polska jest na 62. miejscu, ponieważ „media publiczne są tubą rządu”. Wyjaśniamy, że media niepubliczne są tubą nierządu.

Krążą po kryzysowej Europie pomysły nowego planu Marshalla. Problem w tym, że nie można ich znaleźć, ani planu, ani Marchalla. Poszukiwania trwają.

Trzeba przyznać, że twarze polityków znanych jako „zakazane mordy” zyskały na maseczkach, ocenił gangster zwany „Buźka” vel „Pysk”.

O pewnej aktorce w rubryce plotkarskiej napisano, że jest w ciąży, lecz przez kilka lat ukrywała brzuszeczek. Kto jest sprawcą tej długoletniej ciąży? Będę zgadywać – słoń?



Jan
Pietrzak

Jakiś portal ogłasza: „Rząd funduje uczelniom rocznik stracony, nieprzeegzaminowany”. Typowe dla agenturalnych mediów obarczanie rządu winą za epidemię. Spytajcie, redaktorzy, swoich mowodawców, ile straconych roczników oni ufundowali Polsce.

Groteskowy marszałek Senatu wypowiedział się o zabójczych kopertach. Strumień podświadomości odezwał się w koperciarzu? Czyżby stary Freud miał rację...

Z opozycyjnej strony słyszymy, że wybory konieczne trzeba przełożyć na sierpień albo za dwa lata, żeby się do nich lepiej przygotować. Na przygotowanie wyborów prezydenckich konstytucja przewiduje pięć lat. Dla głuptasków to mało.

Pewien sąsiad, kiedy widzi wiecznie wściekłych celebrytów Budkę i Klatę, woła do telewizora: Budka do budy, Kłata do klatki! Prowokator czy jasnowidz? To mój sąsiad, z którym przytłoczeni aresztem domowym przez płot przerzucamy newsy. Kiedy dziś usłyszał Tuska nawołującego do bojkotu, zauważył: „Tusk się po prostu zestresował... w spodnie”.

Blżej niż z pierwszego rzędu

Z Zofią Nowakowską, wokalistką, aktorką musicalową, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

„Nie obiecuj nic...” – śpiewa pani w przeboju z musicalu „Piloci”, ale teraz chyba możecie coś widzom obiecać?

Zofia Nowakowska: Na szczęście nagraliśmy nasz spektakl w bardzo profesjonalny sposób, kiedy jeszcze był wystawiany na scenie Teatru Muzycznego Roma, i dziś można go oglądać zarazem w pełnej okazałości i krasie, jak i blżej niż z pierwszego rzędu. Myślę, że nawet ktoś, kto „Pilotów” już widział, odkryje w nich nowe rzeczy.

Spektakl „niesie widzów nad ziemią”, ukazując scenę z perspektyw niedostępnych widzowi.

Pełnowymiarowe nagranie udostępnione na platformie player.pl powstało dzięki użyciu licznych kamer umieszczonych wysoko, na różnego rodzaju wyciągach i na steadicamach, krążących między aktorami. Pozwoliło to na pokazanie wielu kadrów i planów. Także zbliżeń, dzięki

którym możemy zajrzeć każdej z postaci głęboko w oczy, zobaczyć jej historię jeszcze bardziej emocjonalnie.

Kim jest Nina?

Moja bohaterka to przedwojenna artystka rewiowa. Ma narzeczonego, pilota (gra go Janek Traczyk). Są szczęśliwi, zakochani, ale wybucha wojna i płacze ich losy, stawia przed trudnymi wyborami. Opowiadamy o niełatwych czasach (w których tle jest m.in. bitwa o Anglię), dlatego nie brakuje w spektaklu napięć i wzruszeń, ale można się też na nim dobrze bawić.

Do Romu niełatwo było się dostać...

...trwało to czasem miesiącami. Tu dostęp jest bezpośredni. I „Pilotów” można zobaczyć w różnych stronach Polski, nie wychodząc z domu.



BRONISŁAW WILDSTEIN

Polityka czasów zarazy

Wspominałem już, że wyjątkowe zagrożenia powinny wyzwalać solidarność wspólnoty i wieszając funkcjonujące w niej na co dzień spory. Są jednak także okazje do wykorzystania nieszczęścia dla partykularnych interesów. Taką postawę prezentuje dziś w Polsce opozycja. Możemy obserwować ją w wypadku PO i całego wielkiego frontu opiniotwórczego III RP, którego głównym celem jest, „aby było, jak było”. Ostatnio o palmę pierwszeństwa w licytacji na najbardziej absurdalny i odrażający tekst pod adresem rządu postanowił zawalczyć lider SLD Włodzimierz Czarzasty. „Będziecie siedzieli. Oskarżam PiS, oskarżam rząd. Oskarżam o sianie śmierci. W szpitalach umierają ludzie, a wy organizujecie wybory” – deklamował przed jednym ze szpitali.

Ta groteskowa szarża interesująca jest nie tylko z powodu poetyki. Ciekawa jest wolta lidera SLD, który wcześniej punkty zbijał na wstrzemięźliwości i deklarowanej potrzebie współpracy całości parlamentu. W przypadku Czarzastego, który karierę robił w PRL stanu wojennego, naiwnością byłoby uznać tę taktykę za powodowaną dobrem wspólnym. Jeśli jednak okazała się skuteczna, dlaczego postanowił ją zmienić?

Metamorfozę tę zobaczyć trzeba w perspektywie napięcia, jakie w polską politykę ostatnich tygodni wprowadził Jarosław Gowin. Oburza się on tym, że zamiast walką z zarazą i kryzysem gospodarczym zajmujemy się wyborami. To jednak jego działania prowadzą do takiego stanu. Gdyby zaakceptował konstytucyjny termin korespondencyjnych wyborów, to pomimo protestów opozycji – od tego ona jest – wszystko potoczyłoby się normalnym trybem: Andrzej Duda wybrany zostałby na kolejną kadencję i władze, do których Gowin należy, mogłyby w całości poświęcić się temu, do czego nawołuje. To, że powołany w ten sposób prezydent byłby kontestowany, niczego nie zmieniałoby. Establishment III RP neguje wszelkie nie swoje władze, choćby do ich wyborów nie można było zgłosić żadnego zastrzeżenia. Gowin wystąpił w stosunku do opozycji z niezwykle kompromisowym postulatem, czyli siedmioletnim prezydenckim mandatem, co potencjalnie odbierałoby Dudzie trzy lata urzędowania. Propozycja została jednak stanowczo odrzucona. Opozycja nie dąży do – niedającej jej specjalnych szans – demokratycznej normalności, ale do bezwzględnej wojny, którą, liczy, że



dzięki swoim środkom w kraju i za granicą potrafi przechylić na własną stronę. Dlaczego więc Gowin upiera się, że wybory majowe nie są możliwe?

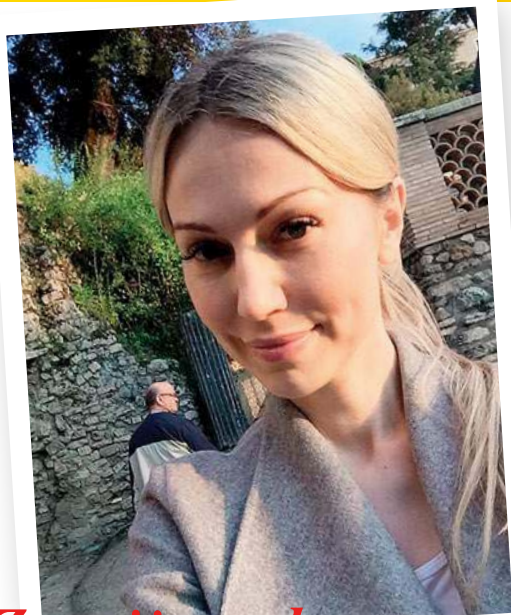
Akceptacja tego terminu byłaby przez niego przyznaniem się do porażki: okazałoby się, że wszystkie jego działania spełzły na niczym, a dodatkowo naruszyły tak potrzebną dziś stabilność obozu rządowego. Podkopałoby to pozycję lidera Porozumienia po stronie wyborców prawicowych, a nie dałaby żadnych atutów po stronie ich przeciwników. Albo więc Gowin, sporym kosztem dla kraju (z tym wiąże się stan wyjątkowy), potrafi narzucić swoje wyborcze terminy władzy, albo doprowadzi do nieprzewidywalnej destabilizacji sceny politycznej, co może uczynić go arbitrem w jej nowym wydaniu.

Gowin powtarzał zawsze, że nieszczęściem w naszym kraju jest zimna wojna domowa, efekt działania sił III RP, które usiłują delegitimizować wszystkich swoich przeciwników. Można założyć, że jeśli uda się mu wraz z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Pawłem Kukizem stworzyć nową jakość polityczną, to owa fatalna polaryzacja mogłaby zostać przezwyciężona. Nowy blok z równą łatwością potrafiłby porozumiewać się z PO, jak i z PiS. Przy obecnym politycznym układzie mógłby stać się elementem decydującym o tym, kto rządzi w kraju. W ten sposób osobiste ambicje Gowina zbiegłyby się z eksponowaną przez niego racją stanu. W poważnej polityce idee zawsze przenikają się z osobistymi motywacjami – trzeba sprawować władzę, aby móc realizować program.

Podchodząc jednak z najlepszą wolą do strategii Gowina, zauważyć trzeba, jak wielkim bagażem niepewności i ryzyka jest ona obciążona. Abstrahując już od nikłego prawdopodobieństwa stworzenia realnie nowego ugrupowania, przedsięwzięcie to prowadzić musi do zaognienia zamiast stonowania walki politycznej. Wystąpienie Czarzastego jest tego przykładem. W takich warunkach reforma, a nawet sprawne zarządzanie państwem zostaną radykalnie utrudnione. Działania władzy, zamiast koncentrować się na wychodzeniu z kryzysu, będą miały charakter walki o przetrwanie. Destabilizacja polityczna doprowadzi do mniejszościowego rządu i wcześniej czy później przyspieszonych wyborów. Wszystko to utrudni tak potrzebną w stanie zapaści gospodarczej koherentną politykę. Czy lider Porozumienia przemyślał te konsekwencje?

Fot. Andrzej Wiktor

ZDJĘCIA Z PODRÓŻY Magdaleny Ogórek PRZED KORONAWIRUSEM



Za spiżową bramą

Rzym był moim ogromnym zaskoczeniem – pierwszy raz byłam tam turystycznie jako 20-latką i nigdy nie przypuszczałam, że wrócę do Wiecznego Miasta w celach naukowo-badawczych cztery lata później. Miałam wówczas specjalną zgodę na prowadzenie badań z Spiżową Bramą. Po przekroczeniu Bramy św. Anny (jedno z kilku wejść do Watykanu) człowiek ma wrażenie, że przenosi się do kompletnie innego czasu i wymiaru. Mimo że na świecie są większe biblioteki, np. w Londynie czy Pradze, to tę watykańską uważam za najpiękniejszą. Sama świadomość znalezienia się w miejscu, które skrywa największe tajemnice świata, potęguje wrażenie wyjątkowości chwili, a człowiek chyli głowę wobec wielkości Kościoła.

Watykan to tylko jeden z moich przystanków na rzymskich trasach. Po Wiecznym Mieście poruszałam się z papierową mapą i Google Maps – tak nauczyłam się miasta. W archiwach zawsze okazywano mi pomoc – Włosi są bardzo otwarci, jeżeli chodzi o dostępność nawet do największych skarbów. Włoskie antykwiariaty skrywają prawdziwe rarytasy – wiele razy zdarzało się, że zawartość przywiezionego z Polski bagażu zostawiałam u jezuitów, by spakować zakupione książki. W Rzymie mam swoje miejsca i przyjaciół – obecnie, z uwagi na COVID-19, bardzo się o nich martwię.

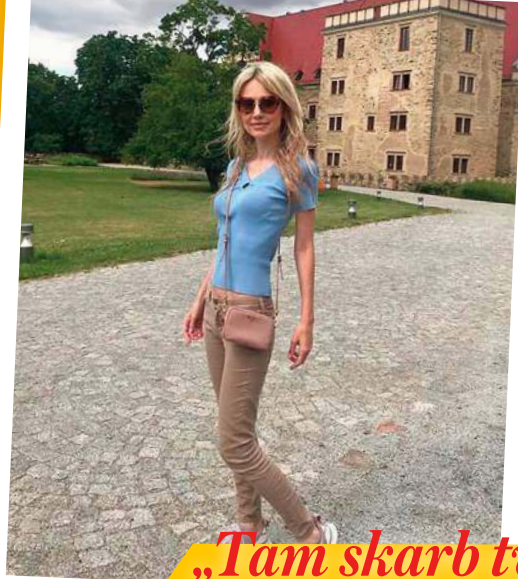
Mickiewicz w Wenecji

Drugim miejscem, do którego na pewno wrócę, gdy tylko skończy się era koronawirusa, będzie Wenecja. Miasto, do którego trafiłam ani naukowo, ani badawczo. Pewnego dnia podjęłyśmy z córką spontaniczną decyzję, że Dzień Matki spędzimy w Wenecji. Pomysł okazał się trafiony w dziesiątkę – miasto na wodzie rzuca na kolana.

Po zwiedzeniu bazyliki i Palazzo Ducale (Pałac Dożów) warto zajrzeć do niezwykłego miejsca pośrodku placu św. Marka. Znajduje się tutaj Caffè Florian, jedna z najstarszych kawiarni w Europie, działająca nieustannie od 1720 r. Niech nikogo nie zwiedzie plotka, że kawa kosztuje tutaj majątek (choć do tanich rzeczywiście nie należy). Wybór lodów, deserów i kaw zadowoli najbardziej wymagające podniebienie. Wybitnym specjalom towarzyszy duch historii – kawiarnia gościła na przestrzeni wieków wiele znamiennych osób. Tutaj swój stolik miał Goethe, na filiżankę kawy wpadał także Nietzsche, smakiem ciastek zachwycił się Słowacki i Mickiewicz, a także Byron.

Nie ma Wenecji bez Gallerii Akademii, która kryje wiele wybitnych dzieł sztuki, m.in. „Burzę” Giorgione – jeden z najbardziej tajemniczych obrazów na świecie. Galeria w swoich zbiorach posiada też wyjątkowy rarytas: „Człowieka witruińskiego” Leonarda da Vinci, którego sporadycznie wystawia na publiczny widok. My miałyśmy szczęście trafić na jego ekspozycję rok temu.





*„Tam skarb twój,
gdzie serce twoje”*

Ci, którzy śledzą mój Instagram, Twitter czy FB, doskonale wiedzą, że na Dolnym Śląsku zostawiłam serce. Wracam tam za każdym razem, gdy tylko nadarza się okazja. Dolny Śląsk to skarbnica zagadek historycznych – po każdej odkrytej okazuje się, że jest kolejna do zbadania. Dolny Śląsk kryje wciąż mnóstwo tajemnic z okresu II wojny światowej, które do dziś rozpalają wyobraźnię – i nie chodzi tu tylko o słynny złoty pociąg.

Wprawdzie kilka z nich zaraz po wojnie rozpracował aparat Urzędu Bezpieczeństwa, jednak wiele wciąż czeka na odkrycie. Do dzisiaj historycy nie są w stanie podać dokładnego celu powstania największego militarnego obiektu, jaki Trzecia Rzesza zbudowała na tamtym terenie – chodzi o kompleks Riese (niem.: Olbrzym). Gigantyczny podziemny labirynt, wydrążony w Górach Sowich rękoma więźniów obozu koncentracyjnego Gross Rosen, ale również więźniów zwożonych tam z terenów okupowanej Europy. Do tej pory w archiwach niemieckich nikt nie odnalazł żadnego dokumentu na temat przeznaczenia tego obiektu. Krążą legendy, że wszystkie dowody dotyczące prowadzonych tu prac zostały zniszczone w nieodległym pałacu w Jedlinie (gdzie do końca wojny rezydowała tajemnicza organizacja Todt, nadzorująca powstawanie Olbrzyma). Otwarte pozostaje pytanie, czy w pobliżu znajduje się dobrze zamaskowana sztolnia, gdzie Niemcy mogli ukryć bezcenne dzieła sztuki. W grudniu 1944 r. do Sichowa (wówczas Seichau) na Dolnym Śląsku skierowano transport zrabowanych najsłynniejszych polskich artefaktów, m.in. obraz Leonarda da Vinci „Dama z gronostajem” i „Portret młodzieńca” Rafaela Santiogo. W Sichowie znajdował się pałac barona Manfreda von Richthofena, w którym to Hans Frank kazał złożyć cały transport dzieł (miały zostać przewiezione później w głąb Niemiec). Dzisiaj po pałacu pozostały ruiny, a sam teren stanowi własność prywatną. Nikt tutaj nie zagląda.

W parku można odnaleźć wyblakłą już mocno tabliczkę, z zatartym nieco napisem, informującym, że w grudniu 1944 r. Niemcy złożyli tu najcenniejsze klejnoty kolekcji książąt Czartoryskich. To właśnie w tym miejscu urywa się ślad „Portretu młodzieńca” Rafaela Santiogo – najsłynniejszej dziś straty wojennej świata.

Wysłuchał i spisał **Michał Korsun**

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Addio rękawiczki

Zakryte różnokolorowymi płachetkami materiału twarze to jeden z symboli współczesnych czasów. Drugim są ręce okryte plastikiem i gumą. Dziesiątki rękawiczek z cieniutkiej folii fruwają po ulicach, wylatują z przysklepowych śmietników i wirują przed naszymi oczami. Nikt nie narzeka, choć podobno to one najokrutniej mordują ryby i ptaki.



**Dominik
Zdort**

Politycy występujący w swoich gumowych fioletowych rękawiczkach w Sejmie są raczej śmieszni niż ostrożni. Bo wiadomo, że nie chodzi o żadne działania antyseptyczne, to po prostu podlizywanie się wyborcom, przekonywanie, że posłowie i senatorowie trzymają się epidemicznych zasad i nikomu nie zaszkodzą. I co z tego, że zakładają te fuksjowe (i podobnych odcieni) rękawice, skoro dotykają nimi klamek, drzwi, poręczy, a potem swoich (a może i cudzych) twarzy. Tu dygresja – właściwie nie rozumiem, skoro są maseczki z naszytymi dla służb państwowych, policji, a nawet dla kiboli (tym się akurat przydadzą), to dlaczego brakuje podobnie zdobionych rękawiczek? Choćby takich z wyhaftowaną nazistowską błyskawicą, dla aborcjonistek.

Spieszmy się kochać rękawiczki – bo szybko odchodzą. Epidemia koronawirusa to ich łabędzi śpiew, ostatnia szansa na zabyśnięcie, pokazanie się przed ostatecznym zejściem ze sceny. Dziś są jeszcze przez chwilę symbolem popkulturowej mody, jutro ich nie będzie wcale. Dawno już przestały być znamię luksusu, mało kto z żyjących pamięta (chyba że z filmów) panie seksownie ściągające długie koronkowe rękawiczki czy dystygowanych panów rzucających konkurentom w twarz solidne skórzane rękawice z żądaniem „dania satysfakcji”. Zostaną nam tylko rękawice bokserskie, pewnie z latami coraz grubsze i miększe, żeby nie można było uszkodzić przeciwnika, może jeszcze bramkarskie, i kolarskie: ale co to za rękawice, bez palców.

Zmiany klimatyczne dobiły codzienne rękawiczki jesienne i zimowe, dobiły też narciarskie, bo przecież nie będzie śniegu – po co je kupować i zakładać, skoro w mroźne dni mamy 10 stopni Celsjusza? Właśnie zbankrutowała znana warszawska rękawicznia Kowalskich, zamordowana wspólnymi siłami przez ocieplenie klimatu i koronawirusa.

Ale nie żał mi rękawiczek – gubiłem je nałogowo od czasu, kiedy dorosłem i przestałem nosić połączone tasiemką przez rękawy kurtki. Na pamiątkę zostały mi cztery sztuki. Wszystkie lewe.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

OGNIEM NA WPROST

Żądze i metafory



Czyżby w Wielkiej Brytanii następowało otrzeźwienie? Tamtejsza minister ds. równości Liz Truss zapowiedziała, że jej rząd może podjąć kroki prawne mające na celu ochronę nieletnich przed decyzjami, których skutków nie da się odwrócić, takimi jak zmiana płci. Jeszcze tego lata rząd szykuje reformę, która pozwoli osobom cierpiącym na zaburzenie tożsamości płciowej zmieniać płeć prawną. „Wierzę, że dorośli powinni mieć swobodę prowadzenia swojego życia tak, jak uznają to za stosowne, ale uważam, że w czasie, gdy kształtują się jeszcze zdolności decyzyjne człowieka, należy chronić go przed podejmowaniem nieodwracalnych decyzji, których potem może żałować” – uważa pani minister. Choć organizacje pro-life wraz z normalnymi ludźmi chwalą decyzję, to sądzą, że zmiany powinny iść dalej. Chodzi o niebezpieczną indoktrynację dzieci w szkołach. „Należy chronić także młodzież przed szkodliwą propagandą LGBT, której patronuje rząd” – ocenił dr Tom Rogers, brytyjski działacz pro-life, kierownik ds. edukacji w Society for the Protection of Unborn Children (SPUC). Zaapelował, aby przywrócić rodzicom prawo do decydowania, czy ich dzieci będą uczestniczyć w obowiązkowych obecnie zajęciach z edukacji seksualnej, przeszyconych „ekstremizmem LGBT”, który w wielu szkołach „przeniknął niemalże cały program nauczania”. Do przełomu jeszcze droga daleka, ale to krok we właściwą stronę. Przeprane mózgi i terror homolobby wymagają niestety czasu, żeby powrócić do zdrowych korzeni. Ale nie od razu Kraków, przepraszam Londyn, zbudowano.

Sędzia z Bydgoszczy Jakub R. ma immunitet i niepohamowane żądze. Zapewnie przekonany o swojej bezkarności postanowił dać im upust. Wpadł więc do koleżanki i kiedy okazało się, że jej męża nie ma w domu – brutalnie ją zgwałcił. Po zająsci kobieta natychmiast poinformowała o dramacie swojego męża. Ze względu na silną traumę zwlekała jednak z zawiadomieniem organów ścigania. Teraz sprawą zajął się Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej, który złożył już wniosek o uchYLENIE immunitetu Jakubowi K. oraz jego tymczasowe aresztowanie. Kończą się już czasy bezkarności stróżów prawa w wymiarze sprawiedliwości. Sprawę trzeba śledzić, ponieważ chodzi nie tyle o ukaranie gwałciiciela, ile o wysokość wyroku i to, za jak długi czas on zapadnie. Będzie to jeden z papierków lakmusowych na funkcjonowanie prawa w czasach odbierania przywilejów kaście. Sędziemu, i to szybko, trzeba również odebrać możliwości orzekania, które w swej łaskawości ofiarował mu prezydent Bronisław Komorowski.

W wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej” ostro pojechał dr Zbigniew Martyka, ordynator oddziału zakaźnego w Dąbrowie Tarnowskiej. Z jego słów wynika, że pandemia to fikcja. W dużym skrócie. Po pierwsze: „powołując się na wyniki badań, można powiedzieć, że cztery piąte osób przecho-ruje w sposób bezobjawowy, więc na sto procent spotykamy się codziennie z osobami, które są zakażone koronawirusem i nie wykazują żadnych objawów chorobowych. Zatem my też

mogliśmy to przejść bezobjawowo” – uważa pan doktor. Po drugie: „Nie ma sensu zakaz aktywności fizycznej poza domem, bo ludzie powinni zażywać ruchu, a jesteśmy tego pozbawieni. Nie ma sensu zamykanie kościołów, gdy są czynne hipermarkety, bo takie same regulacje można było stosować do wszystkich miejsc publicznych”. Po trzecie: „bezsensowny jest też nakaz noszenia maseczek, bo maseczki nie chronią przed niczym”. A po czwarte: „więcej ludzi umiera na gripę, na inne choroby zakaźne umarło już w tym roku ponad 3 mln ludzi. I nie było paniki, izolatek, maseczek... Wystarczy zobaczyć statystyki WHO”. Po piąte i ostatnie, opierając się na doświadczeniu ze swojego szpitala, gdzie szereg osób zgłosiło się na wymaz, doktor stwierdził, że wyniki wskazały, iż „naprawdę niewielu ma koronawirusa”. „Prawie wszyscy łagodnie to przeszli, poza jedną osobą, która była ciężko schorowana”. O i proszę. Coraz więcej wskazuje na to, że Bał’ko Łukaszenka, który te prawdy ogłosił pierwszy, mógł mieć rację.

Rzadko na tych łamach cytuję metafory innych autorów. Ale ta w związku z politycznym przesileniem w naszym kraju jest wyjątkowo smaczna i trafna. Przywołał ją redaktor Piotr Zaremba: „Pewien komentator porównał dwóch Jarosławów – Kaczyńskiego i Gowina – do pary straceńców pędzących naprzeciw siebie w samochodach, w niesamowitym sprawdzianie, który pierwszy skreśli. Autor tej metafory zapomniał dodać, że prezes PiS jedzie wozem pancernym, a były wicepremier starą limuzyną”.

Andrzej Rafał Potocki

Czytanie zostanie?

Z okazji Międzynarodowego Dnia Książki Biblioteka Narodowa opublikowała dane dotyczące czytelnictwa w 2019 r. Wynika z nich, że 39 proc. Polaków zadeklarowało przeczytanie przynajmniej jednej książki, co w porównaniu ze statystykami w latach 2018–2015 (odpowiednio: 37 proc., 38 proc., 37 proc.) wskazywać ma na „trwałe zatrzymanie spadku czytelnictwa”. Liczba kupujących książki jest w naszym kraju wciąż niższa niż w krajach Europy Zachodniej. Czytelnicy deklarują, że przede wszystkim robią zakupy w księgarniach (41 proc.), a znaczna grupa pożycza literaturę od znajomych (35 proc.), dostaje książki z prezencje (31 proc.), odwiedza biblioteki (27 proc.) lub czerpie z rodzinnych księgozbiorów (20 proc.). Według autorów raportu Polacy sięgają po książki motywowani ekranizacjami kinowymi, serialowymi lub grami komputerowymi, a także sukcesem Olgi Tokarczuk, która otrzymała Nagrodę Nobla.

Rynek książki, podobnie jak wiele innych gałęzi gospodarki, odczuwa negatywne skutki pandemii. Ponad 70 proc. przedstawicieli polskiej branży księgarsko-wydawniczej odnotowało spadek sprzedaży, a niemal taki sam odsetek pytanym potwierdza, że grozi im kryzys płynnościowy. Obecnie w stosunku do sprzedaży książek drukowanych zastosowanie znajduje 5-procentowa stawka VAT. Obniżenie należności z tytułu podatku od towarów i usług za sprzedaż książek drukowanych spowodowałoby obniżenie ich cen, co w sposób oczywisty wpłynie na popyt zarówno wśród czytelników, jak i bibliotek, które będzie stać na zrobienie bogatszych zakupów.

W świetle obecnie obowiązujących zasad 5 proc. to najniższa możliwa do zastosowania stawka. Na podstawie unijnej dyrektywy w sprawie VAT państwa członkowskie UE mogą się ubiegać o zgodę Rady Unii Europejskiej (na wniosek Komisji) na wprowadzenie szczególnych środków stanowiących odstępstwo od przepisów tej dyrektywy. Postulat wprowadzenia zerowej stawki VAT na książki drukowane był formułowany przez wydawców, księgarzy, bibliotekarzy, pisarzy, ludzi kultury. Polski rząd wielokrotnie występował o wyeliminowanie przedmiotowej daniny, ale bez skutku. W ostatnich dniach – z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy i na wniosek ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego – premier Mateusz Morawiecki wystąpił do Komisji Europejskiej o umożliwienie wprowadzenia w Polsce stawki 0 proc. VAT na książki drukowane.

Ogólnoswiatowa kwarantanna spowodowała zmianę sposobu spędzania wolnego czasu, która z pewnością znajdzie odzwierciedlenie w wynikach tegorocznych badań czytelnictwa. Według jednej z popularnych sieci księgarń w czasie pandemii liczba nowych klientów kupujących książki wzrosła aż dwukrotnie. Obniżenie cen książek za sprawą wprowadzenia zerowej stawki VAT mogłoby jeszcze radykalnie zmienić statystyki.

Odnotowywany w ostatnich tygodniach wzrost zainteresowania dotyczy przede wszystkim publikacji dla dzieci, literatury



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

pięknej, kryminałów, literatury obyczajowej i o tematyce epidemii. Oferta wydawców skierowana dla najmłodszych stała się znacznie bardziej różnorodna i ciekawa niż jeszcze kilka lat temu. Wzrosła liczba autorów i zadbano o jakość ilustracji tak bardzo istotnych u czytelników zaczynających swoją podróż z książkami. Sięgamy po najnowsze powieści, a także odświeżamy pozycje należące do kanonu literatury światowej i pozwalające lepiej zrozumieć czas pandemii, takie jak „Dżuma” Alberta Camusa czy np. „Miłość w czasach zarazy” Gabriela Garcíi Márqueza. Na marginesie warto wspomnieć, że w połowie kwietnia przypadła rocznica śmierci kolumbijskiego noblisty. Polskie Radio przypomniało biografię pisarza i jej szczególnie ciekawy epizod związany z Polską.

W 1959 r. Márquez podróżował po krajach bloku komunistycznego i odwiedził Warszawę. Wspomnienia z wizyty nad Wisłą zebrał w felietonie „Ze wzrokiem utkwionym w kipiącą Polskę”, w którym sportretował nas następującymi słowami: „Są trudni, nie łatwo nimi sterować, a przy tym obdarzeni niemal kobiecą wrażliwością i skłonnościami intelektualnymi”.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



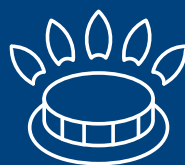
**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

520420/F

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**

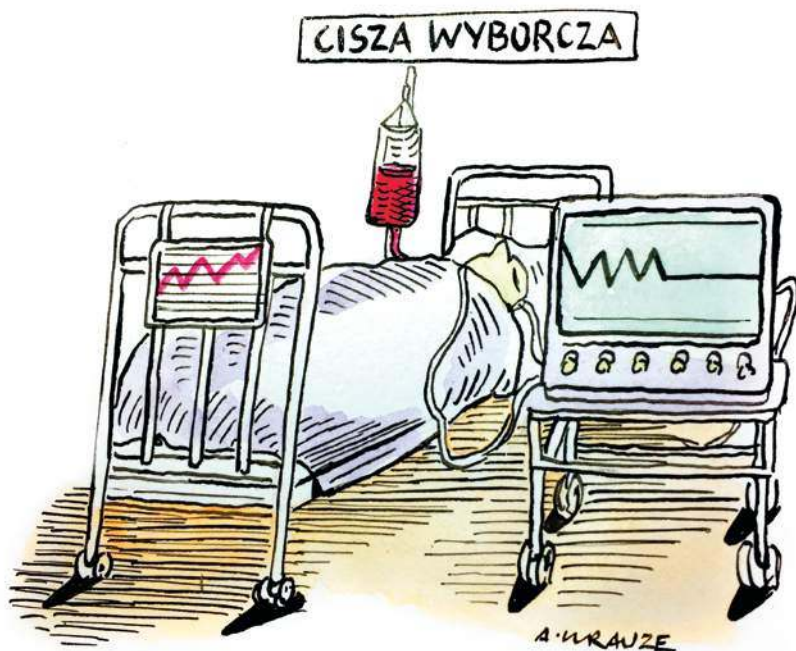


**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FJOLEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRISTINA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANEKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEK
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYKJA: ANNA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTŁOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJEĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI RODZAJ PRENUMERATY
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

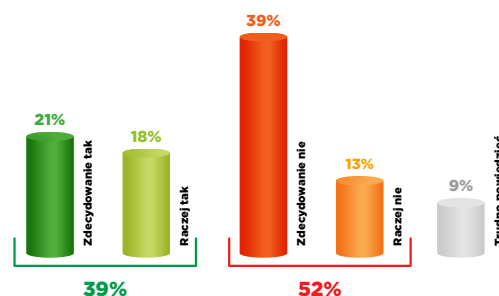


FOT. NA OKŁADCE: ARTUR SZCZEPANISZ/REPORTER, ŁUKASZ SZŁAG/REPORTER,
WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, M. CZUTKO, SHUTTERSTOCK

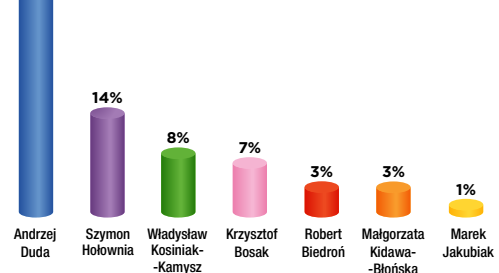


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

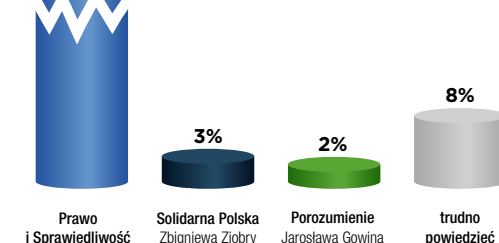
Wyobraź sobie, że w najbliższą niedzielę odbywają się korespondencyjne wybory prezydenckie i każda osoba uprawniona do głosowania może zgłaszać korespondencyjnie. Czy wzięłaby Pani/wziąłby Pan udział w korespondencyjnych wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się w najbliższą niedzielę?



Gdyby w najbliższą niedzielę odbywały się korespondencyjne wybory na prezydenta RP, na kogo oddałaby Pani/oddąłby Pan głos? (bez niezdecydowanych)



Którą z partii wchodzących w skład Zjednoczonej Prawicy popiera Pani/Pan najbardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1081.

Zakres czasowy badania 24–27 kwietnia 2020 r.

Nie znam sformułowania „nie da się”

Przygotowujemy się do terminu wyborów zarządzanego na 10 maja. Jeśli będziemy mieli kompletny spis wyborców ze wszystkich gmin, to damy radę. Szacujemy, że na przeprowadzenie akcji kolportażu 30 mln pakietów wyborczych potrzebujemy trzech dni

*Jacek Karnowski rozmawia z **Tomaszem Zdzikotem**, prezesem Poczty Polskiej SA*

Należy powiedzieć, że podjął się pan misji specjalnej. Wysłano pana na najtrudniejszy odcinek, zlecono rozwiązywanie gardłowego problemu.

Tomasz Zdzikot: Zarówno w Wojsku Polskim, jak i w służbach mundurowych – a to są moje doświadczenia zawodowe z ostatnich lat – unika się używania słowa „problem”. I ja też zdecydowanie bardziej wolę słowo „wyzwanie”. Chodzi o to, by szukać rozwiązań, a nie skupiać się na odpychaniu od siebie czy wyolbrzymianiu zadań, które przed nami stoją. Nawet jeśli są one rzeczywiście poważne.

Ale jednak konieczna okazała się zmiana prezesa Poczty Polskiej. Czy to nie oznacza, że był jakiś problem?

Na pewno nie jestem człowiekiem, który unika wyzwań czy wymagających projektów. Tym się zajmowałem i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji, i w Ministerstwie Obrony Narodowej. Często chodziło o sprawy z wieloletnią, skomplikowaną historią, które jednak udawało mi się doprowadzić do dobrego finału.

Czyli jednak człowiek do zadań specjalnych?

Raczej człowiek, który lubi pracować w ciszy, który woli, by to efekty jego pracy o nim świadczyły. Skoro minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który nadzoruje Poczta Polska, zdecydował się zaufać mi w takim momencie, to jest to dla mnie duże wyróżnienie. Zrobię wszystko, by wywiązać się z tego zadania jak najlepiej.

Czym konkretnie zajmował się pan w poprzednich miejscach pracy?

W MON zajmowałem się przede wszystkim cyberbezpieczeństwem. Jednym z sukcesów jest szeroko zakrojony program Cyber.mil.pl, którego celem jest podniesienie zdolności Sił Zbrojnych RP do działania w cyberprzestrzeni, poczynając od edukacji, a skończywszy na tworzeniu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni. To duże przedsięwzięcie, które uważam za swoje „dziecko”. Które rzecz jasna nie mogłoby powstać, gdyby nie zaangażowanie ministra Mariusza Błaszczaka. Wcześniej, w MSWiA, zajmowałem się zwalczaniem cyberprzestępczości. Powołaliśmy specjalne biuro w Komendzie Głównej Policji. Porządkowałem także sferę związaną z bezpieczeństwem doku-

mentów publicznych czy sprawę specjalnej łączności dla służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo.

Swoją karierę zaczynał pan u boku śp. Sławomira Skrzypka?

Rozpocząłem swoją karierę w biurze prezydenta Warszawy, w czasie gdy był nim śp. prof. Lech Kaczyński. Moim bezpośrednim przełożonym był człowiek tytanicznej pracy – Sławomir Skrzypek, późniejszy prezes Narodowego Banku Polskiego. Miałem więc od kogo uczyć się etosu służby państwowej. To była jednak bardzo ciężka praca.

Gdy zaproponowano panu przejście do Poczty Polskiej, nie wahał się pan? To miejsce, które znalazło się w centrum bitwy, i jak to na wojnie, każdy atak jest możliwy.

Wahałem się tylko dlatego, że zależało mi na projektach, które wcześniej rozpocząłem. Ale przyjąłem tę propozycję. Jesteśmy w sytuacji szczególnej, związanej z pandemią, kilka miesięcy temu trudnej do wyobrażenia. Teraz skupiam się na wyzwaniu związanym z wyborami korespondencyjnymi. Uważam, że nie jest to



coś, co przekraczałoby obecne możliwości Poczty Polskiej lub też znacząco odbiegało od tego, co Poczta robi na co dzień. Jest to także rozwiązanie najbezpieczniejsze, najlepiej chroniące życie i zdrowie Polaków.

Poczta prowadzi przygotowania do wyborów, ale właściwie na jakiej podstawie prawnej? Ustawy jeszcze nie ma.

Opieramy się na poleceniu wydanym przez premiera, które nakłada na nas obowiązek podjęcia działań niezbędnych do przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych; chodzi w nim o zapewnienie infrastruktury, zasobów ludzkich, przygotowanie się do procesów logistycznych. Z kolei w kontaktach z samorządami opieramy się na art. 99 ustawy o tzw. tarczy antykryzysowej, który upoważnia Poczta Polskę do uzyskania pewnych danych. Oczywiście ostateczna możliwość przeprowadzenia wyborów będzie zależała od woli ustawodawcy,

Potwierdzanie odbioru pakietu wyborczego niosłoby z sobą spore ryzyko. To musi być doręczenie bezdotykowe. I tak to ujęto w projekcie ustawy. Nie trzeba będzie niczego podpisywać

czyli Sejmu. Chciałbym wyraźnie podkreślić, że Poczta Polska nie jest kreatorem rozwiązań prawnych, tylko ich wykonawcą.

Wspomniał pan o potrzebie uzyskania danych. Poczta ma dostęp do bazy PESEL, ale wiele samorządów odmówiło wydania spisów wyborców. Czy bez tych danych można przygotować wybory korespondencyjne?

W naszym przekonaniu podstawa prawna do udostępnienia danych ze spisów wyborców istnieje już w tej chwili. I wiele samorządów tak uznało, przekazując nam odpowiednie informacje. Opinia Państwowej Komisji Wyborczej jest w tej sprawie jednoznacznie pozytywna. Jeśli w życie wejdzie ustawa, która obecnie znajduje się w Senacie, wówczas ten obowiązek zostanie wprost nazwany, będzie skonkretyzowany. Samorządy będą musiały wydać spisy w dniu wejścia w życie nowego prawa.

Czy jednak brak spisów wyborców nie blokuje przygotowań?

Dziś mamy rejestr PESEL. To są dane, które umożliwiają podjęcie przygotowań takich jak wskazanie węzłów logistycznych, podział wyborców na poszczególne urzędy pocztowe, ustalenie rejonów doręczeń, wyważenie obciążenia pracą, kwestie transportu, ochrony. To wszystko przygotowujemy, ale cały proces ruszy rzecz jasna dopiero po decyzji Sejmu. Zgodnie z procedurą

ustawą będą to przesyłki nieregistrowane i zostaną dostarczone według spisu wyborców, prowadzonych przez gminy w ramach zadań zleconych.

Czy to, że Poczta Polska otrzyma pełen spis wyborców dopiero 7 maja, nie oznacza, że nie zdąży z dystrybucją 30 mln pakietów przed 10 maja?

Przygotowujemy się do terminu wyborów zarządzanego przez marszałka Sejmu, a więc na 10 maja.

Czy to realna data? Czy dacie radę?

Jeśli będziemy mieli kompletny spis wyborców ze wszystkich gmin, to tak, damy radę. Poczta Polska dystrybuje dziennie 6 mln przesyłek, a w okresach świątecznych znacznie więcej. Te 30 mln pakietów nie stanowi więc istotnego problemu. Szacujemy, że na przeprowadzenie całej akcji kolportażu wszystkich pakietów potrzebujemy trzech dni.

W przypadku utrzymania 10 maja będzie na styk. Ustawa może wejść w życie 7 maja.

Może też wejść w życie wcześniej. Ale zgoda, nie wszystko zależy od nas. My, jako Poczta Polska, mamy odpowiedni potencjał. Ponad 7,5 tys. placówek codziennie dostarcza listy, paczki, przekazy. W sumie ponad 1,5 mld przesyłek rocznie. Co ważne, epidemia nie wpłynęła znacząco na naszą pracę, jedynie przeorganizowaliśmy ją, dostosowując ją do realiów życia i pracy w czasie epidemii.

Kto przygotowuje same karty wyborcze? Czy Poczta już je dostała?

Poczta Polska nie odpowiada za druk kart wyborczych, instrukcji o sposobie głosowania ani oświadczeń o oddaniu głosu.

Ale przygotowuje pakiety wyborcze?

Tak, to zadanie Poczty.

Czy pakiety wyborcze zostaną wrzucane do skrzynek, czy też każdy wyborca będzie musiał potwierdzić ich odbiór?

Nie. To przeczyłoby idei wyborów korespondencyjnych, które mają być bezpieczne zarówno dla ogółu mieszkańców Polski, jak i dla pracowników Poczty. Potwierdzenie odbioru niosłoby z sobą spore ryzyko. To musi być doręczenie bezdotykowe. I tak to ujęto w projekcie ustawy. Nie trzeba będzie niczego podpisywać.

Czy na kopertach będą dane adresata-wyborcy, choćby nazwisko i imię?

Nie. Według projektu ustawy będą to przesyłki nieregistrowane.

W naszym przekonaniu podstawa prawna do udostępnienia danych ze spisów wyborców istnieje już w tej chwili. I wiele samorządów tak uznało, przekazując nam odpowiednie informacje. Opinia PKW jest w tej sprawie jednoznacznie pozytywna

Co jeśli ktoś nie ma skrzynki pocztowej?

Zgodnie z prawem posiadanie skrzynki pocztowej jest obowiązkowe. To implementacja prawa europejskiego, która nastąpiła w roku 2003. Owszem, są gospodarstwa domowe, które skrzynek nie mają, ale przecież i tak trafiają do nich przesyłki.

Wypełniony pakiet wyborczy wyborca wkłada do załączonej koperty i wrzuca do specjalnej skrzynki. Czy to może być dowolna skrzynka Poczty Polskiej?

Nie, to będą specjalne skrzynki pocztowe. Naszym zdaniem najlepiej byłoby, aby stały one w tych samych miejscach, w których zazwy-

czaj głosują Polacy. Oczywiście nie w pomieszczeniach, ale – ze względów bezpieczeństwa – na zewnątrz budynków. To będzie wygodne z wielu względów, także komunikacyjnych i informacyjnych. To będzie trzon naszej sieci. Rozważamy też lokalizacje w innych miejscach, np. w placówkach Poczty Polskiej, a także punkty mobilne, które pomogą mieszkańcom tych terenów, na których sieć komisji wyborczych jest rozproszona.

Te skrzynki trzeba jednak wyprodukować. Czy Poczta już je zamówiła?

Według naszych szacunków lokali wyborczych, czyli miejsc, gdzie pracowały obwodowe komisje wyborcze w obwodach otwartych, było w czasie ostatnich wyborów ok. 22 tys. Najlepszym rozwiązaniem byłoby wykorzystanie dotychczasowych urn wyborczych, które są dziś w posiadaniu jednostek samorządu terytorialnego. Zwróciliśmy się już do wszystkich gmin w Polsce z propozycją współpracy i z prośbą o ich udostępnienie. To jest rozwiązanie transparentne, najkorzystniejsze.

Co jeśli część samorządów odmówi?

Mamy nadzieję, że nie będzie ich wiele, bo dostajemy bardzo dużo odpowiedzi pozytywnych. To nie są przecież wybory Poczty Polskiej, ale wybory prezydenta Rzeczypospolitej, zarządzane zgodnie z konstytucją. W tej trudnej sytuacji powinniśmy przeprowadzić je wspólnie. Jeśli jednak gdzieś spotkamy się ze stanowczą odmową użyczenia urny, też sobie poradzimy.

Czy te skrzynki będą strzeżone?

Ustawa o tym nie wspomina, ale wydaje się to potrzebne.

Co jeżeli ktoś wrzuci kopertę ze swoim głosem do zwykłej, czerwonej skrzynki Poczty Polskiej?

Pomyśleliśmy o tym. Nasze czerwone skrzynki – a jest ich w kraju kilkanaście tysięcy – będą w dniu wyborów

odpowiednio oznaczone i zaklejone. Nie będzie więc możliwości pomyłki w tej sprawie.

Jak często będą opróżniane skrzynki wyborcze?

To zależy od tego, jaka będzie potrzeba. Będziemy mieli system monitorujący i jeśli się okaże, że skrzynka się zapelnia, podjedzie specjalny samochód Poczty Polskiej i zabierze głosy, po czym dostarczy je natychmiast do gminnej komisji wyborczej. Jeśli zajdzie taka potrzeba, podjedzie jeszcze raz.

Pakiet wyborczy dostanie każdy wyborca. Czy nie niesie to ryzyka np. kupowania bądź wyłudzenia tych dokumentów od osób, które zazwyczaj nie głosują?

Wierzę w uczciwość Polaków. Pakiety wyborcze będą przesyłkami o specjalnym znaczeniu. Tego typu działania teoretycznie są możliwe także przy tradycyjnym systemie głosowania. Podkreślam: naszym zadaniem będzie dostarczenie pakietów wyborczych i my się z tego zadania wywiążemy. Chcemy także, by pakiety wyborcze dostarczali nie pojedynczy listonosze, ale specjalne zespoły doręzeniowe. To znacznie zwiększy bezpieczeństwo całego procesu. Co ważne, procedury głosowania korespondencyjnego nie odbiegają od tego, co praktykuje się w dojrzałych demokracjach zachodnich.

Niektórzy obawiają się o bezpieczeństwo danych, które zostaną użyte w procesie głosowania. Czy dane, np. PESEL, nie wypłyną gdzieś na zewnątrz i nie zostaną użyte np. do wyłudzenia kredytu?

Poczta Polska codziennie posługuje się olbrzymim zasobem danych, ma kontakt prawie z wszystkimi obywatelami, jest także dużym operatorem przekazów pieniężnych, przesyłek sądowych, komorniczych. A jednak, wyjąwszy incydenty, nie dochodzi do przestępstw w oparciu o te dane. To także źródła wielkiego zaufania do naszej firmy. Nikt nie bierze kredytów w oparciu o te informacje.

Fot. Andrzej Wiktor



Co z wyborcami, którzy nie mieszkają w miejscu zameldowania?

To samo, co zawsze: ważny jest nie adres zameldowania, ale adres w spisie wyborców. Te spisy funkcjonują w każdych innych wyborach. Można będzie głosować na terenie gminy, w której spisie wyborców jesteśmy umieszczeni, bądź w przypadku Warszawy na terenie dzielnicy. Na pewno warto się zastanowić, czy w przyszłości powinien powstać centralny spis wyborców.

Czy Poczta będzie wiedziała, jak każdy z nas głosował?

Nie ma takiej możliwości. Poczta Polska nie będzie miała dostępu do kart wyborczych. Będziemy dostarczali do komisji skrzynki ze znajdującymi się wewnątrz zaklejonymi kopertami. Będziemy o tym wszystkim informowali obywateli, gdy ustawa już wejdzie w życie.

Część mediów podnosi także obawy co do bezpieczeństwa listonoszy. Jaki jest obecnie poziom zachorowań na koronawirusa wśród tej grupy zawodowej?

Kwarantanną jest objętych obecnie 122 pracowników na 80 tys. zatrudnionych pracowników Poczty, co stanowi 0,15 proc. W większości chodzi zresztą o kontakty rodzinne, a nie zawodowe. Wśród samych listonoszy to są promile. Nie mamy przypadku, by któryś z nich zaraził się koronawirusem, roznosząc przesyłki. Listonosze bardzo rzadko wchodzą przecież do domu. Na tym polu nie widzę zagrożenia. Poczta to ludzie. Dbamy, by nasi pracownicy czuli się bezpiecznie. W marcu i kwietniu wydaliśmy ponad 50 mln zł na środki zabezpieczenia dla pracowników, a więc rękawiczki, maseczki, środki dezynfekujące. Już dziś pracujemy nad bezpieczeństwem tych pracowników, którzy będą pracowali w dniu wyborów, choć nie będzie to operacja znacząco inna od naszych codziennych obowiązków.

Jak do tej sprawy odnoszą się pracownicy Poczty, listonosze? Część**mediów miała nadzieję, że dojdzie do buntu pracowników.**

Działu u nas 85 związków zawodowych, z czego dwa reprezentatywne. Rozmawiamy ze wszystkimi, głównie o bezpieczeństwie. Wszystko odbędzie się zgodnie z najwyższymi standardami. Mamy zapewnienie instytucji państwowych, że wszystkie nasze potrzeby zostaną zaspokojone. Uważam także, że skoro jest to usługa o charakterze szczególnym, to powinna być zorganizowana wyjątkowo profesjonalnie.

Ważny jest nie adres zameldowania, ale adres w spisie wyborców. Można będzie głosować na terenie gminy, w której spisie wyborców jesteśmy umieszczeni, bądź w przypadku Warszawy na terenie dzielnicy

Czy będą dodatkowe pieniądze, premie dla pracowników?

Tak, skoro pracownicy będą mieli dodatkowe obowiązki, to powinni też otrzymać dodatkowe wynagrodzenie. O wysokości tego wynagrodzenia rozmawiamy obecnie z naszym właścicielem, czyli z ministrem aktywów państwowych.

Co z osobami, które przebywają na kwarantannie?

Pracownicy, którzy będą odbierali głosy od tych osób – które przecież nie mogą wychodzić z domów ani mieszkają – będą odpowiednio zabezpieczeni. To będą specjalne zespoły dysponujące specjalnymi skrzynkami, tak by nie było żadnych wątpliwości co do bezpieczeństwa. Nie będzie mieszania tych głosów z głosami ze zwykłych skrzynek. Na kwarantannie przebywa obecnie poniżej 80 tys. osób, a więc

znacznie mniej, niż się spodziewano. Poczta Polska dociera obecnie także do nich, dostarczając choćby przelewy pieniężne.

Czy planuje pan wykorzystanie np. wojska w procedurze wyborczej?

Nie. Poczta Polska jest w stanie poradzić sobie z zadaniami bez sięgania po taką pomoc. Jesteśmy największą spółką infrastrukturalną w kraju. Nawet jeśli zespoły doręczeńiowe będą dwuosobowe, nie będzie problemu.

Przed epidemią narzekanie na Poczcie Polską było dość powszechnym zjawiskiem. Jak pan ocenia dziś sprawność tej instytucji?

W czasie gdy wiele firm zawiesiło działalność, Poczta Polska pracuje normalnie. Pracownicy nie uciekają od obowiązków, nie szukają wymówek czy zwolnień. W sprawie wyborów jest pełne zaangażowanie i pełna mobilizacja. Jesteśmy jedną drużyną. To są bardzo obowiązkowi pracownicy, mający świadomość, jak ważne funkcje wykonują. Jest bardzo wielu pocztowych patriotów, którzy noszą Poczcie Polską w sercu. Ich szczególnie bardzo bolą niesprawiedliwe ataki polityczne i medialne. Tym bardziej że z punktu widzenia spółki to jest także szansa biznesowa. Możliwe przecież, że wybory korespondencyjne staną się stałym elementem krajobrazu wyborczego.

W sumie sprawa wyborów korespondencyjnych to także test na to, czy Polska jest krajem, w którym „da się”, czy też krajem, w którym „nie da się”. Czy pan też tak to postrzega?

Ja rzeczywiście nie znam sformułowania „nie da się”. Wykreśliłem je ze słownika. Przy odpowiednim nastawieniu i ciężkiej pracy można osiągnąć bardzo wiele. A ja w pracę, którą wykonuję, i w Poczcie, i w innych miejscach, wkładam zawsze całe serce. Dlatego jestem przekonany, że damy radę. Poczta Polska da radę.

ADuda i tak wygrywa

Co sprawiło, że Andrzej Duda stał się niekwestionowanym królem prezydenckich sondaży, zajmując pozycję, której w przewidywalnej przyszłości raczej nikomu nie uda się podważyć?

Andrzej Duda wygrałby każde wybory, jakie odbyłyby się w perspektywie pozwalającej na prognozowanie. To znaczy zarówno w maju, czerwcu, lipcu bądź ostatecznie – na początku sierpnia, czyli w terminach jako tako „normalnych”, bo przypadających przed upływem obecnej kadencji prezydenckiej. Ale także jesienią br., jeśli owa kadencja zostałaby wydłużona za sprawą jakichś decyzji politycznych albo zmian konstytucyjnych.

NA DOBREJ POZYCJI

Ta dość oczywista i niewymagająca wielkiej przenikliwości prognoza przekłada się logicznie na ocenę tego wszystkiego, co robią obecnie główni aktorzy na polskiej scenie politycznej.



JAN ROKITA

Po pierwsze zatem, nie ma dostatecznego uzasadnienia dla uporu Kaczyńskiego, aby wybory odbyły się w maju. A po drugie, na zupełnie bezrefleksyjną wygląda taktyka Budki (i większości opozycji), który gotów prawie że wysadzić w powietrze państwo, byle tylko wybory odbyły się „nie-w-maju”. Takie oceny narzucają się same z siebie, o ile oczywiście założyć (zgodnie ze wskazówkami wszelkich teorii racjonalnego

wyboru publicznego), że istotnym motywem działania obu stron w konflikcie o termin wyborów jest ich interes polityczny, czyli w tym wypadku – wpływ daty głosowania na jego rezultat. Otóż mniej więcej od miesiąca (a może już nawet nieco wcześniej) jest właśnie tak, że faktyczny rezultat wyborów stał się niezależny od ich terminu. I co kluczowe, stało się tak tylko w znikomym (o ile w ogóle) stopniu na skutek zarazy i związanych z nią anormalnych warunków kampanii wyborczej.

Na obecną pozycję przedwyborczą Andrzeja Dudy składają się trzy faktory. Najpierw stan politycznych spraw w Polsce sprzed zarazy i następującego w ślad za nią lockdownu. Już wówczas, czyli u początków obecnego roku, Duda był zdecydowanym faworytem

Fot. Andrzej Wiktor

wyborów, choć liczne sondaże na temat drugiej tury nie dawały mu zbyt wielkiej przewagi nad murowaną w tamtych warunkach konkurentką z Platformy. Za Dudą przemawiały jednak już wtedy niemal wszelkie okoliczności. Jego partia (czyli PiS) zachowywała bezwzględną dominację nad konkurencją, a jej przewaga nad Platformą we wszystkich badaniach znacząco przekraczała 10 pkt. Na rzecz Dudy przemawiał jego charakterystyczny styl publicznego działania, dobrze opisywany metaforą „polityka grzybiarza”, tzn. takiego, który bez obaw o upadek korony z głowy zwykł nisko schylać się po każdej nadgryzionej przez robaka opieńkę, a nie szukać w kampanijnym lesie samych borowików. Przed pięcioma laty ówczesny kandydat do prezydentury dał prawdziwy popis tej swojej „demokratycznej cnoty”, gdy do znudzenia wygłaszał patetyczne mowy do 30 gapiów, jacy gromadzili się wokół niego na małomiasteczkowych rynkach.

A co najważniejsze, sondażowa siła kandydatki PO w drugiej turze zakładała, że w toku kampanii wszyscy kandydaci opozycyjni będą traktować się nawzajem według reguły „kochajmy się”, w efekcie czego nastąpi pełna konsolidacja antypisowskich głosów w drugiej turze. Taki pogląd to jednak przesąd. Nigdy w demokratycznych wyborach nie dzieje się tak, aby przegrywający nie rzucali się sobie nawzajem do gardła, w związku z czym nigdy też nie następuje w drugiej turze realna konsolidacja głosów. Przykład pierwszy z brzegu. Biedroń o Kidawie-Błońskiej jeszcze na samym starcie kampanii: „Ten eksperyment z kandydatką Koalicji Obywatelskiej po prostu nie wyszedł”.

Kiedy nastała zaraza, wydawało się początkowo, że sam jej fakt wywoła zjawisko rosnącego utożsamiania się zagrożonych ludzi ze swoim państwem, a co za tym zazwyczaj idzie – efekt zwiększonej akceptacji dla władzy. Zarówno PiS, jak i Duda powinni byli stać się beneficjentem owego dobrze znanego i opisanego zjawiska społecznego, jakie zwykło towarzyszyć wojnom i katastrofom, gdy następuje

rozchwianie zbiorowego poczucia bezpieczeństwa.

Co bardzo ciekawe, tak się jednak tym razem w Polsce nie stało. I to mimo że – zwłaszcza w początkowych dniach wprowadzanego przez państwo lockdownu oraz ochronnej „tarczy” – prezydent dwoił się i troił, aby pokazać się jako ten, który dba o każdą grupę społeczną i pamięta szczególnie o tych, o których rząd zapomniał przez przeoczenie albo nawał pracy (np. gwałtowna interwencja w sprawie rolników). Całkiem możliwe, że w polskim, sztywno spolarzowanym społeczeństwie nie ma po prostu zbyt wielkiego marginesu dla takich przesunąć poparcia. A zyskanie

Lawinowy wzrost poparcia dla kandydatury Dudy nastąpił, gdy kandydatka PO na prezydenta ogłosiła zamiar bojkotu wyborów, chwilę później oznajmiając, że w bojkotowanych przez siebie wyborach jednak weźmie udział

wyrazistej przewagi przez jedną stronę jest możliwe tylko wtedy, gdy następuje gwałtowne załamanie wiarygodności drugiej.

I jeśli uważnie śledzić sondaże, to widać z nich wyraźnie, iż lawinowy wzrost poparcia dla kandydatury Dudy nie nastąpił bynajmniej pod wpływem owej ostentacyjnej zapobiegliwości i troski prezydenta, ale dopiero chwilę później, gdy kandydatka Platformy ogłosiła zamiar bojkotu wyborów, oznajmiając, że w bojkotowanych przez siebie wyborach jednak weźmie udział. Co prawda purnonsens w demokratycznej polityce wcale niekoniecznie przynosi porażki swoim ojcom – w końcu łaska ludu nigdy nie była ani nie jest nagrodą za rozum i logikę. Jednak w tym wypadku

miara została z pewnością przebrana. A to z tej racji, że absurd sytuacyjny, w jakim znalazła się jedyna realna konkurentka wyborcza Dudy, unaocznili kompletny brak zdecydowania nie tylko samej kandydatki, ale także głównej partii opozycyjnej.

Taki stan rzeczy trwa od tygodni i nie dokonał jego odmiany nawet mocny apel Tuska o bojkot wyborów, w którym były premier (nawiasem mówiąc, kompletnie bezzasadnie) posłużył się argumentacją ze sfery moralnej. Owo hamletyczne usposobienie kandydatki i jej partii trwało stanowczo za długo, aby nie zrujnować ducha walki wśród wyborców PO i nie wywołać nieodwracalnej demobilizacji opozycyjnego elektoratu. I to dopiero ten trzeci faktor uczynił Dudę niekwestionowanym królem wszelkich sondaży prezydenckich. Aż w końcu dał mu dzisiejszą pozycję, której w przewidywalnej przyszłości raczej nikomu nie uda się podważyć.

POGUBIONA PO

W jakimś sensie można zrozumieć ową niezdolność Budki i Kidawy do podjęcia stanowczej decyzji. Pierwotny argument przeciw majowym wyborom miał mieć charakter sanitarny. Tyle tylko, że przedkładając ustawę o głosowaniu poprzez pocztę, PiS wytrąciło go opozycji z ręki. Co prawda opozycyjna propaganda nie porzuciła tego argumentu, przeobrażając tylko jego formę w groźbę „przysłania koronawirusa do domu”, ale wiadomo, że u milionów ludzi co najmniej raz w miesiącu przyjmujących w domu listonosza, także w trakcie zarazy, trudno na serio wytworzyć strach przed dostarczeniem bądź wysłaniem jeszcze jednej pocztowej przesyłki.

Skądinąd znamienita jest w tej sprawie rekomendacja, jaką na czas zarazy dał ostatnio wszystkim demokratycznym krajom tygodnik „The Economist”. Pokazując liczne ryzyka wiążące się z pomysłami na wybory przeprowadzane przez internet, redakcja konkluduje: „Na dziś jedyną bezpieczną i wykonalną alternatywą dla osobistego głosowania obywateli jest głosowanie

poprzez pocztę, chociaż i ono stawia nas przed poważnymi problemami prawnymi i organizacyjnymi”.

W kierownictwie Platformy coraz bardziej świadomym, że wynik kandydatki może spaść poniżej najczarniejszych oczekiwań, musiał się pojawić jakiś pomysł na częściowe choćby „usprawiedliwienie” post factum tak złego, a spodziewanego rezultatu. Tym usprawiedliwieniem mógłby być masowy strach przed aktem głosowania, radykalnie zanizający frekwencję. Skoro idea wyborów poprzez pocztę musiała ów strach istotnie zmniejszyć, Platformie pozostawał już tylko bojkot. Tylko on bowiem w jakiejś przynajmniej mierze uwalniałby szefostwo partii od obowiązku tłumaczenia się dzień po wyborach z bardzo kiepskiego wyniku.

Ale z kolei idea bojkotu stwarzała od początku ryzyko, iż to PSL z Kosinią-Kamyszem albo Lewica z Biedroniem mogą z impetem wkroczyć na scenę, spychając trwale Platformę na margines polityki. To właśnie ta kwadratura koła sprawiła, że tak długo przywództwo PO nie było w stanie powiedzieć, co naprawdę chce zrobić. Partia zapowiadała bojkot, a gdy przychodziły sygnały, że inni się doń mogą nie zastosować, natychmiast równała szereg i na powrót ruszała do wyborczego boju. Ów zabójczy w polityce brak zdolności do podjęcia realnego ryzyka wpełchnął Platformę i jej kandydatkę w obecną dziwną i mocno ryzykowną na przyszłość sytuację.

USZTYWNIONE PiS

Z kolei obóz władzy manifestuje, jak dotąd zdecydowanie zbyt niską elastyczność w reagowaniu na rozwój zdarzeń, klinując się na coraz bardziej nonsensownym terminie 10 maja. Przeciw temu terminowi nastąpiła właśnie pełna mobilizacja opozycji. A można nawet odnieść wrażenie, iż opór wobec tej daty jest jedynym elementem wspólnoty łączącej dziś PO, PSL, Lewicę, Konfederację i Porozumienie Gowina. Na dodatek otwarta zapowiedź sabotażu majowego głosowania ze strony licznych prezydentów miast – czyli w polskich warunkach jedynych dysponen-

tów wiarogodnych spisów wyborców, przesądziła de facto o niewykonalności aktu powszechnego głosowania w takim terminie.

Co prawda, można się zastanawiać nad tym, dlaczego w z informatyzowanej rzeczywistości nie istnieje, choćby w Państwowej Komisji Wyborczej czy w Ministerstwie Cyfryzacji, aktualizowany na bieżąco centralny rejestr wyborców? Albo analizować niewątpliwie



szkodliwe dla przyszłości samorządu terytorialnego w Polsce skutki odmowy przez miasta współpracy przy wyborach. Tyle tylko, że ani jedno, ani drugie na krótką metę nie pozwala rozwiązać faktycznych kłopotów z majowym terminem. W wyborach zrobionych na podstawie danych z PESEL miliony uprawnionych (wśród nich np. także niżej podpisany) nie będą mogli wziąć udziału, bo poczta nie dowie się, gdzie należy im dostarczyć „pakiety wyborcze”. Już sam ten nagi fakt, niezależnie

od oceny postawy prezydentów miast, winien przesądzać o jednoznacznej decyzji Kaczyńskiego.

Można oczywiście kombinować, jakby tu fuksem („kupując” senatorów albo posłów) przepchnąć ustawę korespondencyjną przez Senat albo odrzucić senackie stanowisko w izbie niższej, na przekór Gowinowi bądź nawet zmuszając w finale zbuntowanego byłego wicepremiera do uległości. Całkiem możliwe, że w najbliższych dniach któryś z takich manewrów mógłby się nawet PiS udać.

Można także przygotowywać się na ostry kryzys polityczny w razie przegranych przez PiS obu głosowań nad ustawą korespondencyjną, zarówno w Senacie, jak i w Sejmie, prowokując spektakularną dymisję gabinetu Morawieckiego i zapewne groteskowe w efekcie próby powołania rządu przez opozycję, z wiadomym z góry i kompromitującym dla niej rezultatem.

Można nawet spekulować nad ostatecznością wprowadzenia na krótko w kraju stanu wyjątkowego (o ile na taki ryzykowny dla siebie manewr chciałby pójść prezydent Duda), oskarżając opozycję i władze miast o wywołanie (jak mówi art. 230 konstytucji) „zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa”. Można. Pozostaje tylko pytanie po co? Komu miałyby się przysłużyć taki ostry kryzys?

Prawdę mówiąc, ryzyko przy tych wszystkich ostrych wariantach jest na tyle duże, że z góry nie sposób przewidzieć, której ze stron konfliktu mogłoby ono wyjść na dobre. Jedno jest natomiast pewne. Nikt spośród zwyczajnych obywateli nie chce takiego kryzysu. A Polsce summa summarum w żaden sposób nie może on się opłacić.

W przypadku prezesa PiS o wiele bezpieczniejsze jest dziś trzymanie się prostszych, bardziej przewidywalnych i o wiele mniej gwałtownych scenariuszy. Będzie na to jeszcze krótka chwila po „sprawdzających” głosowaniach w Senacie i w Sejmie nad ustawą korespondencyjną. Choć jeśli PiS oba te głosowania by przegrało, pokusa wkroczenia na drogę twardego kryzysu będzie silniejsza niżli teraz. Mimo że Duda przecież tak czy owak wygrywa następną kadencję.

Jarosław Gowin i Wojciech Maksymowicz

Małe (nie)Porozumienie

„Przelicytował”, „zakiwał się”, „ma jakiś plan, ale nikomu go nie zdradza” – Jarosław Gowin zdziwiłby się, gdyby wiedział, jak wielu działaczy jego partii, w tym również posłów, tak myśli. Co będzie z Porozumieniem? Czy partia przetrwa? Wreszcie, jak będzie wyglądała większość w Sejmie i czy Zjednoczona Prawica wciąż będzie miała przewagę? Odpowiedzi na wszystkie pytania poznamy w tym tygodniu podczas głosowania nad ustawą o wyborach korespondencyjnych

Czy Porozumienie jeszcze istnieje? – tak postawiona sprawa irytuje wielu naszych rozmówców z ugrupowania Jarosława Gowina. – Przy okazji głosowania zobaczy pan, czy jesteśmy, czy nas nie ma! – słyszymy w odpowiedzi, która brzmi prawie jak groźba. Okazja nadarzy się najprawdopodobniej 7 maja, stawką będą wybory prezydenckie w formule całkowicie korespondencyjnej 10 maja, jak chce Prawo i Sprawiedliwość. Kolejny możliwy termin to następna niedziela 17 maja, a ostateczny – sobota 23 maja, na tyle pozwala konstytucja.

Do przegłosowania ustawy potrzeba w parlamencie zwykłej większości (231 głosów), tę PiS ma wraz z posłami Gowina (w sumie 235 szabel), ale czy to stan wciąż aktualny? Nie wiadomo. W Porozumieniu frakcje są trzy, poza stojącymi murem za szefem partii są jeszcze „pisowcy”, czyli zwolennicy głosowania korespondencyjnego w maju, i niezdecydowani. „Wyborów w maju nie będzie, a na pewno nie będzie ich głosami polityków Porozumienia” – mówi w telewizji wPolsce.pl poseł Michał Wypij, jeden z gowinowców. – Przysięgam, że to stwierdzić, ale większość naszych młodych kolegów, a szczególnie tych, którzy tak uparcie stoją za szefem, nie ma pojęcia, o co chodzi w tej grze – ripostuje w rozmowie z nami jeden z „pisowców”.

ZMIANA MARSZAŁKA?

Wspólne wystąpienie na konferencji prasowej miało znaczenie więcej niż symboliczne. Tak było, gdy przed Salą Kolumnową Sejmu stanęli obok siebie Jarosław Gowin, Władysław Kosiniak-Kamysz i Paweł Kukiz. Czy było to tylko wypełnienie zapowiedzi byłego wicepremiera, że chce naprawdę szeroko konsultować pomysł przełożenia wyborów, czy coś więcej? Wyobraźnię obserwatorów polskiej sceny politycznej skutecznie zawładnął Jan Filip Libicki, senator PSL, który napisał na Twitterze, że „w Sejmie jest jednak nowa większość”. I jeszcze sugestie, że Gowin powinien być kandydatem na marszałka izby niższej.

Nie do końca wiadomo, czy był to tylko bluff Libickiego, ale udało mu się zachwiać Zjednoczoną Prawicą. Po-



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

mruk niezadowolenia PiS w postaci wypowiedzi wicemarszałka Ryszarda Terleckiego trudno nazwać udaną dyplomacją. Napisał on o „szeregowym pośle” Gowinie, „chorych ambicjach” i „tzw. Porozumieniu”. Wystarczająco grube słowa, by mniej doświadczeni parlamentarzysty Porozumienia poczuć się śmiertelnie dotknięci.

„Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby Jarosław Gowin został marszałkiem Sejmu, pod warunkiem że zostanie wybrany głosami tej większości parlamentarnej, która dzisiaj sprawuje rząd. Jednak ani on nie aspirował do tej roli z rekomendacji Zjednoczonej Prawicy, ani tym bardziej nie leży to w kręgu jego zainteresowań politycznych” – mówi portalowi wPolityce.pl poseł Jacek Żalek.

„Wszystkie dywagacje, również prowadzone przez moich kolegów, nie mają dzisiaj sensu. Dla bezpieczeństwa naszych rodaków i procesu wyborczego liczy się głosowanie nad przyjęciem uchwał Senatu dotyczących korespondencyjnego głosowania” – stwierdza z kolei w rozmowie z RMF FM Władysław Kosiniak-Kamysz.

Rewelacje zdementowane obustronnie. Po sprawie? Nic bardziej mylnego. Pod warstwą oficjalnych komunikatów kryje się realna polityka.

W CO GRA GOWIN?

Rozmawialiśmy z kilkunastoma parlamentarzystami Porozumienia – ze wszystkich trzech frakcji – mówią chętnie i dużo, ale często proszą o anonimowość. Pytamy więc nieoficjalnie: „Co się dzieje w partii?”. – Trudno powiedzieć, bo wszyscy zaklinają rzeczywistość, że chcą jedności i trwania w koalicji. A Jarek ma swój pomysł, nie do końca wiadomo jaki, bo go nie zdradza. Chyba się zaciął – słyszymy.

Jaką grę miał prowadzić? To już wyjaśnia kolejna osoba. – Wymyślił sobie, że dogada się z Kosiniakiem i nie stworzy co prawda trwałej koalicji, ale na postrzelenie PiS i zwiększenie naszego znaczenia w koalicji powinno wystarczyć. I nawet wstępnie się porozumieli, ale... Władkowi zaczęło rosnąć – mówi nasz informator. – Na początku kampanii prezydenckiej PSL był bardzo otwarty na „nowych przyjaciół”, mile widziany był każdy, kto mógł w jakikolwiek sposób pomóc kandydatowi, z którego się wyśmiewano. Potem się okazało, że Kidawa jest dramatycznie słaba, zaczęli to dostrzegać nawet posłowie PO i pojawiła się opcja „przytulenia” przez lidera PSL nawet 50–60 głosów z Koalicji Obywatelskiej. Tyle że już bez Gowina i jego kilku posłów, bo to mogłoby nowemu porządkowi przeszkodzić. Matematyka wygrała, Jarek został na lodzie – opowiada kolejny parlamentarzysta Porozumienia.

Z informacji portalu wPolityce.pl wynika, że za planem rozbicia Zjednoczonej Prawicy miał stać Michał Kamiński, kiedyś jeden ze spin doktorów PiS, polityczny obieżyświat zakotwiczony obecnie w fotelu senatora PSL. – Michał to sprawny polityk, uwielbiający takie kombinacje. Ma też osobiste motywy: niechęć do Jarosława Kaczyńskiego, który wbrew wielu jego prognozom zdobył władzę, i chęć dobicia Platformy, która go nie chciała po wyjściu z PiS – mówi portalowi polityk znający kulisy operacji.

Plan się raczej zdeaktualizował, ale Kamiński utrzymuje, że jakaś gra z Gowinem jest jeszcze do przeprowadzenia. „Polska od pięciu lat idzie wolniej lub szybciej w kierunku takiej czy innej dyktatury. Trzeba ten trend odwrócić i zrobić pierwszy krok. Czy można go zrobić z Gowinem? Tak i dlatego trzeba go zrobić z Gowinem” – mówi w rozmowie z Gazeta.pl.

CZYJ TO POMYSŁ?

– Kosiniak od początku wie, że wyborów nie wygra. Dziś walczy jednak o to, by być liderem opozycji. Wystąpienie Tuska namawiające do bojkotu wyborów jest tak naprawdę definitywnym zatopieniem kandydatury Kidawy.

Na naszych oczach dzieją się rozbiory Platformy i budowanie jakiegoś nowego ruchu opartego na Kosiniaku, być może na Tusku, trochę na ludziach z początków PO, ale bez słabego Gowina. Bo on tylko przeszkadzałby Władowi utrzymywać co najmniej poprawne relacje z posłami KO zainteresowanymi zasadniczą zmianą – słyszymy od ważnego polityka Porozumienia.

Rzeczywiście dziś już retoryka Władysława Kosiniaka-Kamysza wobec niedoszłego partnera jest mniej płomienna. „Jedyne, co oferujemy Jarosławowi Gowinowi, to przystąpienie do frakcji zdrowego rozsądku, która zgłasza za przesunięciem terminu wyborów 10 maja, żeby odbyły się w terminie bezpiecznym, w którym będzie można rzetelnie przeprowadzić wybory” – oświadczył kandydat Koalicji Polskiej na prezydenta w RMF FM.

O zbliżenie Gowina z szefem ludowców pytamy posła Mieczysława Baszkę, dziś w Porozumieniu, ale w poprzedniej kadencji w PSL: – Celem Kosiniaka było rozbić prawiacy. Przecież to widać jak na dłoni. Podpompowali go trochę w sondażach i zaczęło się „wielkie halo”. A wreszcie senator Libicki wystrzelił z rzekomym stanowiskiem marszałka dla Jarosława Gowina. Ale przecież gdyby było coś na rzeczy, toby tego nie ujawniano. Pytałem o to na naszym spotkaniu i otrzymałem jednoznaczną odpowiedź: nie było rozmów z opozycją o marszałku Gowinie.

O ciekawych zakulisowych grach opowiada nam inny parlamentarzysta Porozumienia, zdecydowanie zastrzegający anonimowość: – Moim zdaniem to Maksymowicz uknuł całą intrygę, żeby odsunąć Szumowskiego albo przynajmniej zniechęcić go do dalszego ministrowania. Liczył na to, że z biegu wejdzie na jego miejsce. Dlatego to były minister zdrowia w rządzie Buzka najgłośniej krzyczał, że nie da się przeprowadzić wyborów. To on wciągnął w tę grę Gowina, grał na kryzys wewnątrz PiS i swój awans.

Nazwisko wiceszefa resortu nauki i jednego z najbliższych współpracowników Gowina pojawia się w ustach na-

szego kolejnego rozmówcy. – Kolejność zdarzeń była taka: premier z ministrem zdrowia są zaniepokojeni, że te wybory mogą być w maju nie do przeprowadzenia, proszą Gowina, żeby to przeanalizował, bo ma zaplecze eksperckie w postaci naukowców. Ten zleca analizy Maksymowiczowi, a wiceminister rozkręca się na cztery fajerki. Jak już się rozkręcił, to teraz trudno mu się odkręcić.

Polityk zauważa, że zarówno Maksymowicz (nie odebrał od nas telefonu), jak i Sośnierz byli i do dziś są bardzo krytyczni wobec Łukasza Szumow-

Senator Libicki wystrzelił z rzekomym stanowiskiem marszałka dla Gowina. Pytałem o to na naszym spotkaniu i otrzymałem jednoznaczną odpowiedź: nie było rozmów z opozycją o marszałku Gowinie – stwierdza poseł Baszko z Porozumienia

skiego i wcale tego nie ukrywają: – Zachowują się dziwnie. Są w tym rządzie, ale jednocześnie w niego nachrzaniają. Ja się z nimi zgadzam, że powinno być więcej testów, że powinniśmy skuteczniej oddzielać zakażonych od zdrowych, ale może w takim razie ci panowie by się tym zajęli?

O postawę wymienionych dwóch posłów pytamy ich sejmowych kolegów z Porozumienia. Jak zawsze koncyliacyjny Włodzimierz Tomaszewski widzi rozwiązanie, z którego zadowolony byłby każdy: – Gowin powinien wrócić jako czwarty wicepremier, zając się odmrażaniem gospodarki i działaniami w zakresie bardziej efektywnej walki z wirusem. Niechaj będą jego ministrami panowie Maksymowicz oraz Sośnierz i niech rządzą, zamiast zajmować się terminem wyborów.

Ten ostatni na rządzenie ma ewidentną chrapkę. W rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Andrzej Sośnierz jest bardzo rozemocjonowany: – Czy pan nie widzi klęski żywiołowej wokół siebie? Czy naród funkcjonuje normalnie? Do opanowania tej epidemii konieczne jest wprowadzenie „planu Sośnierza”. Wiem, jak uchronić nas od tej zarazy, która męczy naród i gospodarkę i zrobię to w 40 dni. Ale w obecnym stanie zarządzanie państwem jest kompletnie nieefektywne i szkoda byłoby to zacząć. Wprowadzenie stanu klęski żywiołowej jest potrzebne do zmiany zasad zarządzania epidemią. Wtedy się uda, a przy okazji będzie to miało wpływ na przełożenie daty wyborów.

„Plan Sośnierza” coraz mocniej promuje też Gowin. Czyżby to była dziś stawka negocjacji wewnątrzkoalicyjnych?

KOALICJA NA WŁOSKU

Wolta szefa Porozumienia spowodowała najgłębszy kryzys w Zjednoczonej Prawicy od jej powstania. Naturalne jest pytanie, czy koalicja przetrwa. Wszystko zdecyduje się przy procedowaniu ustawy o powszechnych wyborach korespondencyjnych, która wróci z Senatu. Poseł Sośnierz przypomina: – Nasze zdyscyplinowanie pokazaliśmy już w poprzednim głosowaniu. To nie był przypadek, dobrze to policzyliśmy. To nie myśmy się pomylili, tylko koledzy z PiS.

Ale nie wszyscy stojący murem za Gowinem są tego zdania. Iwona Michałek, wiceszefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej, na pytanie o zagrożenie dla losów koalicji odpowiada: – To już musi pan koalicjanta pytać. My jesteśmy za Zjednoczoną Prawicą i nadal chcemy w niej być. Ale jesteśmy przeciw majowym wyborom, bo one są nie do zrobienia. Gdyby PiS się uparło, to trudno. Wezmą za to odpowiedzialność. Jeżeli słyszę, że w tej chwili w wielu miastach mówi się, jak to będą rozrzuć te koperty, jak ludzie będą je sobie nawzajem przekazywać, to to jest obłęd. Trzeba mieć trochę rozsądku.

Wiceminister dodaje, że „Porozumienie jest przeciwko wyborom 10 maja” i kończy: – Ja też jestem przeciwko. 17 czy 23 maja nic nie zmieni.

Według naszych analiz dziś Jarosław Gowin może liczyć na 4–6 posłów Porozumienia, którzy sprzeciwią się majowemu głosowaniu. Jeśli cała ta grupa by tak postąpiła, czeka nas chaos nie tylko w obozie władzy, lecz w całym kraju, bo trudno będzie znaleźć dobry sposób na przeprowadzenie wyborów zgodnie z prawem i bez gigantycznych kłopotów logistycznych.

Prezydent Andrzej Duda w środę na spotkaniu z internautami zapytany o możliwość upadku rządu opowiadał o spotkaniu z parlamentarzystami Porozumienia: „Jarosław Gowin bardzo mocno zaakcentował, że on absolutnie nie chciałby, aby jego ugrupowanie opuszczało koalicję Zjednoczonej Prawicy, że absolutnie nie ma zamiaru doprowadzić do tego, żeby rozpadła się Zjednoczona Prawica”.

Czy ta deklaracja okaże się wiążąca? Kilku parlamentarzystów Porozumienia jest niezdecydowanych, jak jeden z wiceministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego: – Do środy jest wieczność. Nie wiem jeszcze, jak zagłosuję. Na pewno zgodnie ze swoimi przekonaniem i poczuciem odpowiedzialności za losy Polski.

– Każdy jest oczywiście zaniepokojony sytuacją w koalicji, ale nie przewidyuję, by miała się rozpaść. Mogę powiedzieć za siebie: na pewno nie przyłożę ręki do jej rozbicia – jednoznacznie deklaruje poseł Baszko.

Włodzimierz Tomaszewski zaś przestrzega: – Jestem pięć lat starszy od Gowina. W związku z tym bardziej bezpośrednio przeżyłem upadek kolejnych rządów – Olszewskiego, Suchockiej, a później Buzka, który nie miał kontynuacji w kolejnej kadencji. Pamiętając o tamtych zdarzeniach, dziś musimy zrobić wszystko, by rząd utrzymać. Jeżeli dziś mówimy o nowym otwarciu dla gospodarki, skuteczniejszej walce z wirusem, to potrzeba jest do tego silnego rządu, a nie przepychanek i jakichś iluzji, że można stworzyć jakąś inną koalicję.

Łódzki poseł dodaje, że byt Porozumienia jest nierozdzielnie związany z prezydentem Andrzejem Dudą: – Osłabianie prezydenta to droga do likwidacji Porozumienia. Jest oczywistością, że jeśli wybory majowe zostaną uniemożliwione, to grozi nam również scenariusz przyspieszonych wyborów parlamentarnych. Jeżeli posłowie Porozumienia sobie tego nie uzmyslowią, to powielą – w trochę innym kształcie – błędy prowadzące do upadku tamtych rządów. A przy okazji sami się pozbawią mandatów. Przecież nikt ich nie wpuści na inne listy. Partia podzieli los Kukiza.

Moim zdaniem to Maksymowicz uknuł całą intrygę, żeby odsunąć Szumowskiego i wejść na jego miejsce. To on wciągnął w tę grę Gowina, grał na kryzys wewnątrz PiS i swój awans – słyszymy od polityka Porozumienia

W REGIONACH SIĘ GOTUJE

Podczas gdy wszyscy skupiają się na sejmowej arytmetyce i liczeniu szabel Gowina w parlamencie, w regionalnych strukturach Porozumienia wrze. Dotarliśmy do treści uchwały „w sprawie wyborów prezydenckich” podjętej przez bydgoskie władze partii. Czytamy w niej m.in. o konieczności utrzymania jedności w koalicji: „Rekomendujemy zatem zakończenie rozmów i zwracamy się do posłów Porozumienia z apelem o poparcie uzgodnionego w ramach Zjednoczonej Prawicy terminu wyborów”.

– Same rozmowy, nawet z przeciwnikami politycznymi, to oczywiście nic złego, ale w połączeniu z informacjami, że buduje się jakąś nową większość w Sejmie, uznaliśmy już za powód do niepokoju. Tym bardziej że nam

w regionach nikt niczego oficjalnie nie wyjaśnia – mówi tygodnikowi „Sieci” Andrzej Walkowiak, przewodniczący rady regionalnej Porozumienia w woj. kujawsko-pomorskim.

Nie tylko z tego regionu od jakiegoś czasu dochodzą głosy, że „Jarosław Gowin poszedł na jakąś wojnę, ale nikomu nie powiedział, na jaką, z kim i o co się bije”. Prezes partii w terenie nie bywa i tylko częściowo można to wytłumaczyć sytuacją związaną z koronawirusem. Pewne ruchy przestał już konsultować nawet z kierownictwem ugrupowania. Jak zdradził w „Kwadranse politycznym” TVP Adam Bielan, przewodniczący Konwencji Krajowej Porozumienia, po raz ostatni z szefem partii rozmawiał osiem tygodni temu.

A wracając do losów uchwały polityków z Kujaw. Jej treść została rozesłana do członków Porozumienia w okręgu bydgoskim i opublikowana na profilu na Facebooku. Po niedługim czasie z Warszawy nadeszła sugestia, by ją zdjąć. I zdjęli.

Niezadowolone z działań Gowina pobrzmiwa też w innych regionach. Szef struktur Porozumienia w warmińskim Pieniężnie napisał do szefa partii ostry list, w którym czytamy m.in.: „Obserwowana (w mediach) w ostatnim czasie Pana działalność polityczna jest nie tylko niepokojącą działalnością dla członków Porozumienia w terenie, ale przede wszystkim jest niedopuszczalną działalnością – mającą cechy jedynie (bliżej nieokreślonej – mamy nadzieję) »gry politycznej«, a nie służby społecznej na rzecz dobra wspólnego”. W piśmie pojawia się zarzut „bardzo niebezpiecznego rozmontowania polskiego systemu politycznego” i żądanie „zaniechania działań, które osłabiają obóz Zjednoczonej Prawicy”.

Nic dziwnego, że Kamil Bortniczuk mówi nam: – Wolę w najbliższym czasie nie komentować tego, co się dzieje, bo mam wrażenie, że teraz każdy tekst o Porozumieniu robi nam więcej złego niż dobrego.

Jarosław Gowin gra dziś o wiele więcej, niż na początku mogło mu się wydawać. Stawką staje się też utrzymanie własnej partii.

Nienasycenie, czyli rzecz o Tusku

Oto plan: nie dopuścić do wyborów aż do momentu takiego rozchwiania państwa, zaszkodzenia społeczeństwu, że możliwy stanie się bunt przeciwko stworzonemu w ten sposób chaosowi: bunt, w którym władzę dostaną wreszcie „właściwi ludzie”



ANDRZEJ NOWAK

Tak gnije demokracja” – w artykule pod tak poważnym tytułem redaktor Jacek Żakowski jako szczególny objaw sygnalizowanego zjawiska wskazał „wypowiedzi Donalda Tuska, który mówi otwarcie, że nawet dla jego własnego stronnictwa trudny jest wybór między demokratycznym etatyzmem i autorytarnym liberalizmem” („Gazeta Wyborcza”, nr 275/1994).

37-letni wówczas polityk z Gdańska miał już kilka etapów swojego politycznego dojrzewania za sobą. Magister historii, współtwórca gdańskiego

ruchu liberalistów, zdążył już zabłysnąć w 1987 r. swoim głosem w ankiecie miesięcznika „Znak”, gdzie potwierdził, iż „polskość to nienormalność”. Z takich głosów nie dało się wtedy jeszcze wyżyć. Utrzymywał się więc Donald Tusk z pracy fizycznej w spółdzielni Światlik, której założycielem był Maciej Płażyński. W 1994 r. był Donald Tusk już w drugiej partii. Pierwszą – Kongres Liberalno-Demokratyczny – współzakoładał i był jej przewodniczącym. Pozwoliło mu to odegrać istotną rolę w obaleniu rządu Jana Olszewskiego, kiedy KL-D przez niego kierowana, dołączyła do koalicji antylustracyjnej. W 1993 r. KL-D jednak nie dostała się do parlamentu. Wtedy Donald Tusk zdecydował się wejść (razem z KL-D) do drugiej partii: Unii Wolności. Tam, dość brutalnie rozpychając się łokciami, został wiceprzewodniczącym.

Wtedy właśnie padły cytowane przez Jacka Żakowskiego słowa.

To bardzo ważne słowa, w których Tusk streścił swoją filozofię polityki: albo demokratyczny etatyzm, albo liberalizm, nawet autorytarny, obchodzący się bez demokracji. Sam wybierał zdecydowanie to drugie rozwiązanie. Liberalizm przez niego reprezentowany krytykuje etatyzm, państwa. Ale także połączone z jego właściwym funkcjonowaniem pojęcie dobra wspólnego, solidaryzmu, polityki sołecznej, mające wspomóc słabszych, mniej zaradnych. Wraz z poglądem – istotnie dobrze streszczonym przez formułę „polskość to nienormalność” – oznacza taka postawa także nieprzysiężanie szczególnej wagi do państwa polskiego, do jego roli strażnika zarówno pewnego partykularnego interesu, nazywanego w języku politologii „interese narodowym”, jak też depozytariusza pewnej tradycji, kultury, dziedzictwa, tożsamości. To są fikcje, w dodatku kosztowne, obciążające

wolność jednostki – tak to interpretuje liberalizm typu KL-D.

Podziela ten pogląd wielu ludzi. Na ogół jednak nie dość wielu, by dać demokratyczną legitymację w wyborach ugrupowaniu, które głosi taki program – emancypacji od państwa, od polskości (nienormalności), od dzielenia się ze słabszymi. I tu właśnie wchodzi pokusa połączenia liberalizmu z autorytaryzmem. Skoro nie możemy wygrać wyborów, a władza nam się należy, bo mamy jedynie słuszny program – to jest liberalny – zatem trzeba tę władzę zdobyć inaczej. I już jej nigdy nie oddać.

To nie jest program Jarosława Kaczyńskiego – ten jest doskonałym przykładem „demokratycznego etatysty”, który w dodatku ceni sobie szczególnie państwo polskie, jego interes polityczny i jego rzeczywistą pozycję na arenie międzynarodowej, w trudnej grze interesów z innymi podmiotami na tej arenie. W istocie nienasycona żądza władzy, władzy autorytarnej, pozbawionej możliwości odwołania przez demos (składający się wszak ze „słabych, głupich, niedoświadczonych do programu emancypacji”) – to istota postawy, którą najlepiej reprezentuje Donald Tusk. Oczywiście wiemy: umiał wygrywać wybory parlamentarne, choć nie uzyskał dla swego programu i przywództwa większości bezwzględnej (zarówno po wyborach 2006 r., jak i 2010 r. potrzebna mu była do sprawowania urzędu premiera koalicja z innymi partiami). Nie umiał jednak nigdy pogodzić się z przegraną, z rolą demokratycznej opozycji.

Najbardziej znanym przykładem tej postawy stała się jego reakcja na sromotnie i niespodziewanie przegrane z Lechem Kaczyńskim wybory prezydenckie: zbudowany wtedy pod dyktando Tuska przemysł pogardy (z takimi narzędziami tego przemysłu, jak Janusz Paliłko), wymierzony w konkurenta, który znalazł większe uznanie wyborców.

Warto jednak przypomnieć inne, wcześniejsze przykłady tej samej postawy, w której nie ma miejsca na fair play, na akceptację możliwości porażki: jest bezwzględne dążenie do destrukcji każdego rywala, który stoi na drodze do autorytarnej władzy. Przykład pierw-

szy, dość niewygodny dla dzisiejszych piewców Donalda Tuska. Grudzień 2000 r. Tusk rzuca wyzwanie prof. Bronisławowi Geremekowi w wyborach na przewodniczącego Unii Wolności. Przegrany. Co robi w tej sytuacji? Niszczy rywala i jego partię: w styczniu 2001 r. występuje z Unii i zakłada nową partię – Platformę Obywatelską. Monika Olejnik pyta wtedy, 13 stycznia 2001 r., zbolalym głosem: „Panie marszałku [Tusk był wówczas wicemarszałkiem Senatu], dlaczego pan wprost nie powiedział swoim kolegom z Unii Wolności, że zamierza pan Unię opuścić?”. Donald Tusk zaczyna swoją odpowiedź jakże charakterystyczną frazą: „Nie czuję się niełojalną osobą”. Prawdziwy liberał, pokroju Tuska, zna tylko jedną lojalność, której jest

**Prawdziwy liberał pokroju
Tuska zna tylko jedną lojalność,
której jest zawsze wierny:
to jest lojalność wobec siebie,
swojego interesu, swojej
kariery. Nic więcej się nie liczy**

zawsze wierny: to jest lojalność wobec siebie, swojego interesu, swojej kariery. Nic więcej się nie liczy.

Potwierdził tę postawę, w efektywny sposób eliminując kolejno dwóch współzałożycieli nowej formacji: Macieja Płażyńskiego (przy okazji, jak już wspomnieliśmy, swojego chlebodawcę i dobroczyńcę z chudych lat 80.) oraz Andrzeja Olechowskiego. Przydatny w tych rozgrywkach Jan Maria Rokita zostaje w nie mniej błyskotliwy sposób wyeliminowany z gry o przywództwo w Platformie Obywatelskiej w następnej kolejności. Polityczny trup ściele się gęsto na tej drodze w górę, w nicość – moralną.

Potem był kwiecień roku 2010. Donald Tusk, w ramach kampanii prezydenckiej, która miała poniżyć jego

zwycięskiego rywala sprzed pięciu lat, zdecydował się oddzielić – przy okazji tak, zdawałoby się, jednoczącej nas okrągłej rocznicy Katynia – swoją wizytę w Smoleńsku od wcześniej zaplanowanej wizyty prezydenta RP. Chciał jasno dać do zrozumienia, że ta druga nie ma już tak oficjalnego ważnego znaczenia jak jego – premiera Tuska, chętnie goszczonemu przez Putina. O tej tragicznej historii nie będę tutaj pisał, bo czyniłem to już nieraz. Ten moment jednak na pewno określa dalszą eskalację politycznej nienawiści Donalda Tuska. Odtąd skierowana jest ona, wraz z całym gigantycznym aparatem kłamstwa, który jej służy, przeciwko tym wszystkim zwłaszcza, którzy chcieliby upomnieć się o prawdę o jego postawie unijonej kolaboracji z Putinem przeciw prezydentowi własnego państwa. Zapomniałem: dla Donalda Tuska nie ma czegoś takiego jak własne państwo, chyba że chodziłoby o jego prywatną własność.

Potem, przypomnijmy jeszcze dla porządku następne, na szczęście bezkrwawe ofiary jego nienasyconej żądzy władzy, przyjdzie kolej na doskonale wystrychniętego na dudka Radosława Sikorskiego. Temu ostatniemu zdawało się, że matka partia, tj. Platforma i jej lider, Donald, popierają go w wyścigu do prestiżowego fotela sekretarza generalnego NATO. W styczniu 2014 r. polskie dzienniki donoszą: „Z nieoficjalnych informacji wynika, że premier Donald Tusk prowadzi rozmowy sondujące, czy kandydatura Radosława Sikorskiego na sekretarza generalnego NATO ma szansę powodzenia”. Kandydat żywił poważne nadzieje na sukces. Tymczasem jego rzekomy promotor, premier Tusk, walczył w istocie o stanowisko dla siebie: przewodniczącego Rady Europejskiej. I wywalczył, upokarzając przy okazji ambitnego ministra.

Stanął więc nasz autorytarny liberał na szczycie europejskiej struktury politycznego prestiżu. Żaden inny poważny polityk europejski nie porzucił aktualnie piastowanego stanowiska premiera rządu w swoim kraju i wiążąc się z tym odpowiedzialności przed

obywatelami – swoimi wyborcami; zrobił to jako pierwszy Donald Tusk. Zgodnie ze swoją polityczną filozofią: zawsze wierny sobie. W kraju zostawił spadającą na łeb na szyję popularność swojej partii, a na jej czele Ewę Kopacz. Wybory, najpierw prezydenckie, a potem parlamentarne w Polsce, wygrywa dotychczasowa opozycja: kandydaci PiS. Czy można się z tym pogodzić, jak to w demokracji być powinno? Nie. Następuje totalna delegitymizacja tej władzy, ale wraz z tym także państwa polskiego, jego prawa do delegowania demokratycznie wybranej reprezentacji wobec Europy i obrony na forum Unii Europejskiej własnego, opartego na werdykcie wyborczym, głosu.

Pomaga w tym UE, która – przypomnijmy: jeszcze przed nadejściem Tuska zdążyła nawet zdiagnozować swoją największą bolączkę: „deficyt demokracji”. Właśnie ten deficyt pozwala jej reprezentantom powoływać się – przeciw wyrokowi demokracji – na inne wartości, zgodnie z ich interesem i przez nich tylko interpretowane. Na ich szczycie jest oczywiście liberalizm. Taki, który można ostatecznie skonfrontować z demokracją. Wystarczy nazwać „niesłuszne werdykty” tej ostatniej populizmem. Kiedy wygrywają nasi – jest demokracja, kiedy przegrywają – jest populizm. Tak to działa. Dokładnie tak, jak teraz ujawnia to prosty instruktaż przedstawiony przez jedno z obecnie użytecznych narzędzi tego systemu, mec. Giertycha. Jego instrukcja na wybory w Polsce brzmi tak: kiedy wygra je Andrzej Duda – należy uznać je za nieważne i zaskarżyć do Sądu Najwyższego. Kiedy natomiast wygra kandydat/-ka zjednoczonej opozycji – należy werdykt wyborczy zaaprobować i zalegalizować.

Ten system może być skuteczny dzięki wsparciu imponującego rozmachem kłamstwa i manipulacji aparatu medialnego. Jak u Orwella jest on w stanie odwrócić najbardziej nawet, zdawałoby się, oczywisty obraz rzeczywistości. Kreacją tego orwellowskiego aparatu jest teraz np. powtarzana stale teza o nienasyconym dążeniu PiS, Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy do władzy. Potwierdzeniem tego ma być chęć

przeprowadzenia w wymuszonym przez konstytucję terminie wyborów prezydenckich. A przecież to PiS ma teraz (uzyskaną i potwierdzoną w kolejnych wyborach) władzę, a w dodatku wszystkie sondaże wskazywały i wskazują, że zdecydowanym faworytem w zbliżających się wyborach prezydenckich jest znowu kandydat tej partii. Czy można pożądać władzy, którą się już ma, i są wszelkie podstawy, by sądzić, że demokratyczny werdykt pozwoli ją utrzymać? W istocie jest dokładnie odwrotnie, niż powtarzają Onet, WP, „GW”, TVN, „Newsweek”, wszystkie codzienne gazety regionalne w Polsce (własność jednego koncernu: Passauer Neue Presse). Pożąda władzy ten, który jej nie ma, a chce ją za wszelką cenę zdobyć. Skoro sondaże nie dają opozycji szans na zdobycie jej drogą demokratyczną – to trzeba to zrobić inaczej. Nie dopuścić do wyborów aż do momentu takiego rozchwiania państwa, zaskłodzenia społeczeństwu, że możliwy stanie się bunt przeciwko stworzonemu w ten sposób chaosowi: bunt, w którym władzę dostaną wreszcie „właściwi ludzie” i stojący nad nimi liberalny „narcyzizm”. To jest właśnie gra „twardego rdzenia” obecnej opozycji, którego rzecznikiem, a właściwie najważniejszym natchnieniem i otuchą zarazem jest dzisiejszy szef Europejskiej Partii Ludowej, Donald Tusk i jego dyszące nieskrywaną już nienawiścią tweety.

Ile jeszcze będzie ofiar na tej drodze? Nie wiem. Wiem, że jak najbardziej świadomie, na zimno skalkulowaną przez Tuska, najnowszą ofiarą okazała się Małgorzata Kidawa-Błońska. Od początku jej kampanii widać było z jego wypowiedzi, że traktuje jej kandydaturę jak zającą w wyścigu, który wygrać ma ktoś inny. Wskazywał Tusk, że może to być pan Hołownia albo przewodniczący Kosiniak-Kamysz. Czy jednak nie chodzi o powrót do prawdziwej władzy samego autora sloganu o „polskości jako nienormalności”? Czy ostatecznie nie chodzi o możliwość wywarcia wreszcie upragnionej zemsty na tych, którzy od tej władzy dwukrotnie go odsunęli? I zemsty na tej „nienormalnej” Polsce, która ogranicza możliwości ideowego liberała, wiernego tylko sobie i swojej woli mocy?



W tych dniach ukazała się książka prof. Andrzeja Nowaka pod tytułem „Kłęska imperium zła. 1920”. Tytuł oczywiście nawiązuje do określenia Ronalda Reagana w odniesieniu do Związku Sowieckiego. Tego samego państwa, które w 1919 r. rozpoczęło wojnę z II Rzeczypospolitą i na szczęście w 1920 r. przegrało. Dało to odrodzonej Polsce dwie dekady wolności i poczucie siły. Warto docenić, że nasz wielki dziejopis prof. Andrzej Nowak za swój obywatelski obowiązek uznał przerwanie na chwilę pracy nad kolejnymi tomami „Dziejów Polski”, by włączyć się swą wiedzą i swym talentem pisarskim w obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej.

Książka zawiera wiele dotychczas nieznanych faktów, które profesor zebrał podczas kwerend w archiwach rosyjskich, brytyjskich i amerykańskich. Na tej podstawie autor „Kłęski imperium zła” m.in. obala powstałe w ciągu ostatniego wieku mity i stereotypy dotyczące wydarzeń politycznych wokół wojny. Sam opis przebiegu Bitwy Warszawskiej jest zaiste mistrzowski.

Książkę można nabyć w księgarniach. Ze względu na to, iż w czasie epidemii to dla wielu utrudnione, odsyłamy także na stronę wydawnictwa Biały Kruk: www.bialykrak.pl.

GIM

*Władysław
Kosiniak-
Kamysz, tak
jak Wincenty
Witos w 1923 r.,
chce stworzyć
parlamentarną
większość
i rząd wokół
PSL*



Chjeno-Piast bis



STANISŁAW JANICKI

Władysław Kosiniak-Kamysz zamierza dojść do najwyższych urzędów w państwie i do władzy jako chrześcijański demokrat. Wyszło mu, że chadek ma w 2020 r. największe szanse w konfrontacji z Andrzejem Dudą w wyborach prezydenckich i chadek może stanąć na czele nowego rządu lub mieć na kształt tego rządu decydujący wpływ, gdyby doszło do przyspieszonych wyborów. A także w perspektywie wyborów po upływie pełnej kadencji, czyli w 2023 r. Chadek, czyli umiarkowany

konserwatysta w rodzaju tych znanych w skandynawskich partiach ludowych, szczególnie w tej postaci, w jakiej funkcjonowały w latach 90. XX w. Chadeckość ma być ucieczką od lewicowości, a jednocześnie od statusu partii klasowej (chłopskiej) oraz wiejskiej. Chadeckość ma dawać największe szanse w oskubaniu z wyborców politycznych konkurentów: Prawa i Sprawiedliwości, Koalicji Obywatelskiej oraz Konfederacji i, w znacznie mniejszym stopniu, Lewicy. Chadeckość ma też dawać uniwersalną koalicyjną zdolność, a także pewien powab, w którym zgubi się zarówno przeszłość z czasów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, jak i z czasów rządów w lewicowych koalicjach. Władysław Kosiniak-Kamysz uznał, że mając 38 lat, politycznie nadal jest chadeckim przebraniem. Dlatego deklaratorywnie jest chadekiem numer 1 we współczesnej polskiej po-

lityce. I ma wizję rządów podobną do tej, jaką w 1923 r. miał wielki patron PSL Wincenty Witos.

CHADECJA BEZOBJAWOWA

O tworzeniu nowej chadecji Kosiniak-Kamysz zaczął myśleć wiosną 2017 r., gdy w Sejmie klub Polskiego Stronnictwa Ludowego połączył się z kołem Unii Europejskich Demokratów. Wtedy była to jednak chadeckość w dużym stopniu bezobjawowa. Objawy zaczęły być widoczne dwa lata później, gdy się okazało, że nic nie dał PSL udział w lewicowo-liberalnej Koalicji Europejskiej, zawiązanej w lutym 2019 r. na wybory do Parlamentu Europejskiego (odbyły się 26 maja 2019 r.). W tej koalicji partia Kosiniaka-Kamysza uzyskała w skali kraju zaledwie 4,55 proc. głosów (zdobyła trzy mandaty). I po wyborach w szeregach PSL rozpętała się krytyka

„skrętu w lewo”. Nie słaby wynik wyborczy był bowiem najgorszy, lecz firmowanie skrajnie lewicowych pomysłów nie tylko SLD, Zielonych i Nowoczesnej (w ramach Koalicji Europejskiej), ale też Wiosny Roberta Biedronia, która miała dołączyć do wielkiej opozycyjnej koalicji na wybory parlamentarne w październiku 2020 r., do czego ostatecznie nie doszło. Przestraszony słabym wynikiem w wyborach europejskich Kosiniak-Kamysz zaczął się odcinać od wszelkiej lewicowości, by od czerwca 2019 r. tworzyć nową chadecję pod hasłem Koalicja Polska. I podkreślać przywiązanie do tradycyjnych wartości, rodziny, Kościoła, polskości, patriotyzmu. Co czyni go (przynajmniej w deklaracjach) większym chadeckiem, niż kiedykolwiek był Witos.

Objawami wzmożonej chaddeckości PSL, a potem Koalicji Polskiej miały być: przyjęcie konserwatywnych „uchodźców” z PO (z Markiem Biernackim na czele) oraz koalicyjne porozumienie z ruchem Kukiz’15 (z 8 sierpnia 2019 r.), który po drodze wypłukał się z narodowców. W wyborach parlamentarnych w październiku 2019 r. nowa chadecja zdobyła 8,55 proc. głosów i 30 mandatów. Wystawienie w grudniu 2019 r. Kosiniaka-Kamysza jako kandydata na prezydenta miało umacniać i chaddeckość, i Koalicję Polską jako partię wagi ciężkiej. Tak by stała się ugrupowaniem co najmniej kilkunastoprocentowym, czyli silniejszym od Lewicy. Fatalny wybór Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na kandydatkę Koalicji Obywatelskiej na prezydenta oraz kryzys w PO, pogłębiany jeszcze przez nowego lidera Borysa Budkę, stworzyły Kosiniakowi-Kamyszowi szansę przejścia do drugiej tury wyborów prezydenckich, a Koalicji Polskiej okazję do stania się najsilniejszym ugrupowaniem po stronie opozycji. Kosztem m.in. PiS, a właściwie Zjednoczonej Prawicy. A wtedy żadna rządząca większość nie mogłaby powstać bez Koalicji Polskiej. Nawet gdyby Kosiniak-Kamysz jakimś zrządzeniem losu bądź kryzysu związanego z pandemią został prezydentem. Wówczas notowania i powab Koalicji Polskiej byłyby nawet większe.

POWTÓRKA Z ROKU 1923

Przez lata zamiar powtarzania posunięć politycznych Witos, szefa Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” (działającego w latach 1913–1931), przypisywano Waldemarowi Pawlakowi. Witos trzykrotnie był premierem II Rzeczypospolitej, choć po raz ostatni tylko cztery dni, a Pawlak zaczynał od urzędowania przez nieco ponad miesiąc (w 1992 r.). I Pawlak miał ambicje wyrównania rekordu Witos. Ale mimo że prezes „Piasta” był najważniejszym patronem obecnej wersji Polskiego Stronnictwa Ludowego od początku jego istnienia (od maja 1990 r.), partia była bez porównania bardziej lewicowa

Chjeno-Piast w wersji z 2020 r. poza elektoratem PSL i Kukiz ’15 miałby żerować na KO, PiS i Konfederacji, a specjalną ofertę składać Porozumieniu, które wydaje się mu politycznie najbliższe

niż ta z czasów Witos. I współrządziła albo z lewicą (w latach 1993–1997 oraz 2001–2003), albo z liberałami (w latach 2007–2015). Kosiniak-Kamysz chciałby to radykalnie zmienić, nawet jeśli odpowiada za bardzo ważne i niedobre przyjęte posunięcia rządów Donalda Tuska, czyli podniesienie wieku emerytalnego oraz przejęcie środków z OFE (153 mld zł). Jako nowoczesny chadek Kosiniak-Kamysz jest już znacznie bardziej socjalny i opiekuńczy. I gotów na przejęcie władzy. Tym bardziej gotów, że pandemia koronawirusa stworzyła mu nowe możliwości. Dlatego nowa chadecja, budowana wokół PSL, Kukiz’15, uchodźców z PO, Unii Europejskich Demokratów i adresowana do Porozumienia Jarosława Gowina, świadomie lub nie (to nieważne, skoro liczą się konsekwencje) to nawiązanie do rządów tzw. Chjeno-Piasta z 1923 i w mniej-

szym stopniu powtórki tej koncepcji w rozszerzonej formie w 1926 r.

Gdy 28 maja 1923 r. prezydent Stanisław Wojciechowski powoływał rząd Chjeno-Piasta z premierem Witosem, na politycznej scenie panował niebywały rozgardiasz, a sytuacja gospodarcza była fatalna. I to był główny powód zmiany. Wiosną 2020 r. opozycja, w tym Koalicja Polska, też zakładają na tyle trudną sytuację, by zaistniały podobne warunki zmiany, jak przed 97 laty. W maju 1923 r. minęło zaledwie pięć miesięcy od destabilizacji wywołanej zamordowaniem prezydenta Gabriela Narutowicza. Rząd gen. Władysława Sikorskiego nie był w stanie zapanować nad wzburzonymi nastrojami społecznymi. A wewnętrzne spory polityczne zaogniały zle wieści ze świata – zawarto groźny dla Polski sowiecko-niemiecki układ w Rapallo. Zmiany musiały jednak zająć trochę czasu, by prawica (Związek Ludowo-Narodowy i Chrześcijańska Demokracja) porozumiała się z PSL „Piast”. Różne polityczne podchody w kwietniu i na początku maja 2020 r. można porównać do tamtego czasu, czyli do poufnych rozmów, które rozpoczęły się w lutym 1923 r., a najważniejszą rolę grał w nich Witos. Kosiniak-Kamysz nosi obecnie głowę równie wysoko jak wtedy

prezes PSL „Piast”. I obiecuje Porozumieniu Gowina równie wiele, jak Witos obiecywał prawicy, co by oznaczało, że gdzieś w gabinetach tworzy się nowy pakt lancoroński. Nie wiadomo tylko, jak podzielone będą role, które wtedy odgrywali Stanisław Głąbiński i Marian Seyda (Związek Ludowo-Narodowy), Wojciech Korfanty i Józef Chaciński (Chrześcijańska Demokracja) czy Władysław Kiernik i Wincenty Witos (PSL „Piast”). Ważne, że pakt lancoroński zapewnił większość ok. 240 mandatów w 444-osobowym Sejmie. Powtórka z tego paktu miałaby w maju 2020 r. dać nową większość sejmową i stanowisko marszałka Sejmu dla Gowina. Pomysłodawcy powtórki z Chjeno-Piasta chyba nie do końca zdają sobie sprawę, że w 1923 r. kryzys zdecydowanie przerósł jego możliwości. W efekcie jesienią 1923 r. Polską

wstrząsnęła fala strajków, doszło do walk z policją i wojskiem, było kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych. Chjeno-Piast sobie nie poradził, a 14 grudnia 1923 r. jego rząd stracił większość parlamentarną. Witos musiał się podać do dymisji i wtedy powstał pozaparlamentarny rząd Władysława Grabskiego. A mający uratować Polskę gabinet Witosza przeszedł do historii jako ten, który poległ w starciu z naprawą gospodarki i jako ten, który kazał strzelać do robotników. O drugiej wersji Chjeno-Piasta nie warto się rozwodzić, ponieważ porozumienie PSL „Piast”, Związku Ludowo-Narodowego, Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego, Polskiego Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej skasował zamach majowy.

NOWE BEZIDEOWE CENTRUM

Chjeno-Piast w wersji z 2020 r. poza elektoratem PSL i Kukiz'15 miałby żerować na KO, PiS i Konfederacji, a specjalną ofertę składać Porozumie-

niu, które wydaje się mu politycznie najbliższe. A gdyby Gowin zdecydował się na ostateczne robienie Zjednoczonej Prawicy, Koalicja Polska byłaby dla niego jedyną dostępną przystanią. Nowy Chjeno-Piast miałby być partią obrotową, tym razem znacznie bardziej chadecką niż narodową. Obrotową nie tylko w stylu PSL „Piast” z lat międzywojnia czy PSL w wersji lewicowej z lat 90. i po roku 2001 (koalicja z SLD) oraz liberalnej po roku 2007 (koalicja z PO), ale także w wersji centrowej z otwarciem na wszystkie polityczne kierunki. Wersja lewicowa nie rokuje już żadnych szans powrotu do władzy, więc wybrano wersję chadecką – Chjeno-Piasta bis – jako najlepsze przystosowanie do roli partii obrotowej po rządach Zjednoczonej Prawicy, które przesunęły całą scenę polityczną na prawo. W Chjeno-Piaście bis liderem byłby Kosiniak-Kamysz, kandydat na przyszłego premiera (jak w czasach Pawlaka i koalicji z SLD), chyba że zostałby prezydentem, a wtedy premierem mógłby być np. Adam Jarubas. I obecny prezes PSL byłby bezdyskusyj-

nie pierwszym, a nie tylko tym drugim (jak za koalicji PO-PSL). Co oznacza, że gdyby do Chjeno-Piasta bis przystąpił Gowin, nadal byłby tylko jednym z kilku innych. Nowy Chjeno-Piast miałby się wzmocnić kosztem partii obecnie zasiadających w parlamencie i stać się najważniejszą partią opozycji, zdolną do stworzenia koalicji rządzącej, o charakterze niejako-centrowym, czyli nową bezideową partią władzy, mimo że deklaratorywnie chadecką.

Utworzenie Chjeno-Piasta bis zakłada rozbięcie Zjednoczonej Prawicy, przyspieszone wybory parlamentarne i rząd w dowolnej konfiguracji, byleby z Kosiniakiem-Kamyszem jako premierem, nawet w koalicji z osłabionym PiS albo ze zwasalizowaną PO. Pomysłodawcy Chjeno-Piasta bis są tak zafiksowani na punkcie przejęcia władzy (niezależnie od tego, czy bardzo szybko – jeszcze w 2020 r., czy „dopiero” w 2021 r.), że nie zastanawiają się nad swoją zdolnością do rządzenia i walki z kryzysem. A wiele wskazuje na to, że są do tych zadań tak przygotowani, jak był rząd Witosza w 1923 r.

REKLAMA



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Wszystkie samorządy terytorialne chcą jak najlepiej wykorzystać własny budżet. Obecna sytuacja związana z pandemią niestety sprawia, że wpływy do ich kas są mniejsze i mogą uszczuplić dochody nawet o 10 proc. Samorządy muszą więc zweryfikować swoją politykę finansową, a mogą to zrobić w dziedzinie ubezpieczeń i skorzystać z oferty towarzystw ubezpieczeń wzajemnych (TUW-ów).

– Samorządy terytorialne zaczęły dostrzegać olbrzymią szansę w tym, że decydując się na współpracę z towarzystwem ubezpieczeń wzajemnych, nie muszą organizować przetargu – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych. – Samorząd chcąc skorzystać z oferty komercyjnych ubezpieczycieli, musi ogłosić przetarg. Inaczej sprawa wygląda w przypadku TUW-ów, z którymi po prostu bez przetargu samorząd może wynegocjować warunki umowy ubezpieczeniowej. Właśnie takie rozwiązanie samorządy coraz częściej wybierają.

TUW-y dla samorządów terytorialnych

To także spore uproszczenie proceduralne, ale i oszczędność czasu, tak cenne w obecnej sytuacji – wyjaśnia prezes FWUW.

Oprócz większego wpływu na warunki współpracy samorządy, decydując się na ofertę TUW-ów, zyskują możliwość rozliczenia składki na podstawie faktycznej szkodowości – na zasadzie systemu dopłat i zwrotów. Oznacza to, że jeśli nie ma szkód lub są niewielkie, członkowie TUW zyskują, jeśli szkody są wysokie, towarzystwo może wnioskować o dopłatę. Jednak z tej drugiej opcji rezygnuje ze względu na dobro dalszej współpracy z klientem.

– Dla samorządu TUW nie musi oznaczać tylko możliwości skorzystania z oferty ubezpieczeniowej na analogicznych zasadach jak u komercyjnego ubezpieczyciela. Taki samorząd może mieć swój własny TUW, w którym ubezpieczony będzie sam samorząd oraz jednostki mu podległe – zauważa Jarosław Bierecki. – Oznacza to konsolidację podmiotów w jednym zakładzie ubezpieczeniowym, co z kolei przekłada się na możliwość pełnej kontroli nad wydatkami związanymi z ubezpieczeniami oraz nad właściwym zakresem ochrony ubezpieczeniowej. Dzięki temu obniża się nie tylko wydatki związane

z obsługą ubezpieczeń, lecz także unika dublowania ubezpieczeń w ramach samorządu. Ważne jest również, że taki samorządowy TUW może z łatwością pozyskiwać dodatkowe środki z funduszu prewencyjnego, który jest tworzony na poczet finansowania działań mających zapobiegać powstawaniu szkód. Fundusz taki tworzony jest z 1 proc. wpłaconych składek – a to są niemałe kwoty, którymi można sfinansować np. zabezpieczenie posiadanego majątku – wyjaśnia prezes FWUW.



Jarosław Bierecki,
prezes FWUW



Raport z obleżonego świata

Nareszcie. Zniesienie 4 i 6 maja sporej części restrykcji jest bardzo dobrym krokiem. Zaczynamy zdejmować pęta, które – zbyt długo zacisnięte – mogłyby przynieść ogrom nieszczęść większości z nas

Nareszcie zapadła decyzja o zniesieniu poważnej części obostrzeń. Argumentów za tym krokiem jest wiele, są bardzo różne. Najważniejsze, byśmy – nie lekceważąc epidemiologicznego zagrożenia – wyzwolili się z paraliżującego strachu, jakim do 28 kwietnia codziennie karmiły nas prawie wszystkie media, brnąc wraz z nami w cywilizacyjny absurd.

Dziennie na świecie umiera 160 tys. osób. W ciągu pięciu i pół miesiąca koronawirusowej rzekomej „pandemii” uznano, że na COVID-19 zmarło 225 tys. ludzi. To tyle, ile w skali świata umiera w ciągu... 34 godzin. W tym samym czasie, w owe pięć „pandemicznych” miesięcy z różnych przyczyn zmarło na świecie 26 mln ludzi. W tym na inne cho-



MACIEJ PAWLICKI

roby zakaźne (grypa, malaria, zapalenie płuc, gruźlica, AIDS) ok. 5,5 mln. Chorzy na COVID-19 stanowią zatem 0,7 proc. wszystkich zgonów i 4 proc. zgonów spowodowanych przez choroby zakaźne. Ale nie odczuwamy żadnej grozy z powodu owych 99,7 proc. i 96 proc. zgonów, właściwie ignorujemy je. Skoncentrowani jesteśmy na 0,7 proc. Codziennie karmimy się porcją strachu. Zatrzy-

maliliśmy świat, poddaliśmy się ograniczeniom, które szybko zmieniają nasze obyczaje, społeczne relacje, życiowe perspektywy i psychikę. Bez wystarczającej publicznej debaty nad konsekwencjami, które będą złe i czasem nieodwracalne. Na szczęście od kilku dni to już, przynajmniej częściowo, przeszłość. Choć zagrożenie pandemią strachu i utraty rozsądku nie mija.

Nie chcę uwłaczać pamięci zmarłych, dramatom ich rodzin, nie chcę lekceważyć cierpienia chorych i ich najbliższych, ani bohaterstwa (tak, tego słowa trzeba używać) służb medycznych. Ale w Polsce umierają dziennie 1134 osoby. Każdego dnia. Od 4 marca, gdy zdiagnozowano w Polsce pierwszy przypadek COVID-19, umarło w Polsce ok. 70 tys.

osób, z tego na COVID-19 – 624. A więc niecały 1 proc. Na samo zapalenie płuc umiera w Polsce przeciętnie 1 tys. osób miesięcznie. Zgony tych 99 proc. Polaków nie są mniej dramatyczne, mniej godne naszej uwagi i współczucia niż śmierć owego 1 proc. Zwłaszcza że część z nich jest spowodowana koronawirusowym medialnym szaleństwem. Nie wiemy, do ilu zgonów przyczyniły się wywołane przez rzekomą „pandemię” stres, strach, depresja, zerwanie relacji, osamotnienie, wymuszona nieobecność najbliższych, zablokowanie wielu służb, zaniechanie terapii. Wiele innych nadgorliwości niszczyło funkcjonujące mechanizmy opieki, powodując krzywdę podopiecznych. Np. zakazy opieki wolontariuszy nad dziećmi w domach preadopcyjnych sprawiały, że płaczące 0–2-latkę wystawia się na korytarze, by nie budziły innych dzieci. Płaczą więc godzinami, całymi dniami, nabawiając się choroby sierocej, urazów na całe życie. Mam nadzieję, że ten proceder ustanie.

Dobrze, że Polska zareagowała szybko, jako jedna z pierwszych wprowadzając ograniczenia. I dobrze, że jako jedna z pierwszych je zdejmując, gdyż straty spowodowane ich trwaniem wielokrotnie przekroczyłyby straty spowodowane przez epidemię. Także w liczbie zgonów. Rząd to – jak rozumiem – ważył i kalkulował nieustannie i wreszcie 29 kwietnia zdecydował się na spory krok: znaczne otwarcie handlu (co oznacza powrót do zamówień dla wytwórców), hoteli (a więc turystyki), przedszkoli i żłobków, części życia kulturalnego.

Z jednej strony przymusowy pobyt w domach jest ciekawą, czasem nawet piękną chwilą przerwy w codziennej gonitwie, na jaką zgadzamy się w „normalnym” świecie. Z drugiej jednak powoduje falę zjawisk negatywnych – bezradność, depresję, alkoholizm, przemoc, utratę poczucia bezpieczeństwa i środków do życia.

RAPORT Z KALIFORNI

22 kwietnia dwaj kalifornijscy lekarze dr Daniel W. Erickson i dr Artin

Massihi odbyli briefing, na którym przedstawili swoje wnioski po dwóch miesiącach walki z COVID-19, wyłączone na podstawie własnych danych z kliniki, którą prowadzą w Kern County. Film z ich konferencji po kilku dniach osiągnął 5 mln wyświetleń i został usunięty przez YouTube. Komentujący to specjalista od mediów z uniwersytetu w Arizonie prof. Joseph Russomanno wyjaśnił, że lekarze sami są sobie winni, bo „zaprezentowali poglądy, które nie są zgodne z poglądami większości środowiska medycznego”. Oto, co mówią.

„Mamy wykształcenie z mikrobiologii, biochemii, immunologii, od 20 lat praktykujemy je i nieustannie się ich uczymy, lecząc pacjentów – w przeciwnieństwie teoretyków z wieży z kości

Coś mi się wydaje, że ten czas globalnego samoparaliżu przejdzie do historii świata jako pomyłka wszech czasów albo najpotężniejsza akcja marketingowa w historii. Dowód, że można miliardom ludzi wmówić strach tak wielki, by zdecydowali się na zbiorowe samobójstwo

śloniowej, którzy od 20 lat nie widzieli pacjenta. Chcemy postępować zgodnie z nauką. A cóż to takiego nauka? Studiowanie świata naturalnego przez obserwację. I właśnie to robimy – badamy, żeby zrozumieć, co się naprawdę dzieje. W Kalifornii szpitale są praktycznie puste, zamknięte są oddziały, urlopowani pacjenci, urlopowany personel, system medyczny został w wielu miejscach niemal zlikwidowany. W Nowym Jorku system pracuje na maksimum wydajności, w Kalifornii na wydajności minimalnej, pozbywając się lekarzy i pielęgniarek, bo nie ma pacjentów.

(...) Znając przewidywania wielkiej liczby zgonów, początkowo zachowaliśmy się prawidłowo, wprowadzając ograniczenia. Ale po dwóch miesiącach wiemy, że przewidywania okazały się nietrafione, śmiertelność jest 20-krotnie mniejsza, niż przewidywano, faktycznie jest na poziomie corocznej grypy. Jak wynika z naszych własnych danych – szansa na śmierć z powodu koronawirusa wynosi w Kalifornii 0,03 proc., dlatego uważamy za niecelowe dalsze zamknięcie życia gospodarczego, dewastację firm, bezrobocie. Kryzys i związane z nim negatywne zjawiska wielokrotnie przewyższą złe skutki epidemii COVID-19.

(...) Rozmawiamy z wieloma lekarzami w całym kraju. Mówią oni, że przez administrację szpitala i lokalne władze wywierana jest na nich presja, by jak najwięcej zgonów klasyfikowali jako COVID, nawet wtedy gdy mają inne zdanie. Mówią, że ponieważ wszyscy koncentrujemy się na COVID, ludzie z chorobami serca, rakiem, nadciśnieniem i wieloma groźnymi chorobami decydują się nie pojawiać u lekarzy – ze strachu, że zostaną zarażeni wirusem. Zresztą lekarzy nie ma, bo są na urlopowach. Jest więc wiele ubocznych efektów COVID, o których się nie mówi.

Kwarantanna jest dla chorych, tymczasem my stosujemy kwarantannę wobec zdrowych, bez objawów, zamykamy ich w domach. To nie ma nic wspólnego z immunologią i mikrobiologią, z nauką.

(...) Chcemy mieć mocny system odpornościowy każdego z nas czy słaby? Izolacja domowa, kwarantanna ludzi zdrowych nie ma sensu, gdyż osłabia ich system odpornościowy. Człowiek nieustannie nabywa odporności właśnie przez rozmaite wirusy i bakterie, które są naszymi »przyjaciółmi«. Zamknięcie ludzi w domach, izolacja, noszenie maseczek sprawiają, że nasz system immunologiczny staje się coraz słabszy, nasza odporność maleje. Po co nam to?»

Odpowiedź: ucieszą się jedynie producenci i sprzedawcy szczepionek, bo w populacji pozbawionej odporności łatwiej będzie przekonać



o „niezbędności” produktów farmaceutycznych koncernów.

STRASZENIE TOTALNE

Operacja straszenia trwa na wielu poziomach. Media przemilczają, że średni wiek zmarłych „na koronawirusa” wynosi 80 lat. Młodszy chorują także, prawdopodobieństwo zgonu ludzi młodych istnieje, ale jest minimalne. Media mylą nazwę wirusa SARS-CoV-2 Severe acute respiratory syndrome coronavirus 2 z chorobą COVID-19 Coronavirus Disease 2019. A różnica jest zasadnicza. Wedle różnych szacunków 80–90 proc. nosicieli wirusa nawet o tym nie wie, że go ma, nosi go bezobjawowo. Na ostrą chorobę układu oddechowego COVID-19 zapada – wedle różnych szacunków – kilka do kilkunastu procent nosicieli SARS-CoV-2. Tymczasem większość mediów – jakby triumfalnie – obwieszcza codziennie kolejne „sukcesy” w pozyskaniu nowych zakażonych wirusem, stwarzając wrażenie, że wszystko to już choroby na COVID-19, co nie jest prawdą.

W Polsce rozumiem, że przekaz histerii strachu kreuje TVN i wszystkie media, które chcą udowodnić, że rząd sprowadza na Polaków armagedon, planując przeprowadzenie wyborów w konstytucyjnym terminie. Natomiast dlaczego ten sam ton permanentnego straszenia tak długo dominował w TVP? Na szczęście w ostatnich dniach się to zmienia i pojawiają się wyważone zestawienia. Wszak na tle świata Polska poradziła sobie bardzo dobrze, liczba zgonów jest wielokrotnie mniejsza niż w innych dużych krajach Europy, koronawirusowe szpitale są zapełnione tylko w części.

Może wreszcie zacząć informować, że ogromna większość zmarłych miała mocno zaawansowane choroby przewlekłe (rak, nadciśnienie, choroby płuc, choroby serca) i zdaniem części lekarzy wypisujących akty zgonu to właśnie one były główną przyczyną śmierci, a obecność w organizmie wirusa SARS-CoV-2 nie miała wpływu na zgon. Jest jednak decyzja Światowej

Organizacji Zdrowia, by wszystkie takie przypadki, gdy stwierdzi się obecność SARS-CoV-2, klasyfikować jako „ofiary COVID-19”.

Może wreszcie media zaczną przytaczać dane, które wskazują, że dla osób w wieku produkcyjnym szanse śmierci spowodowanej COVID-19 wynoszą 1:10 000, są więc wielokrotnie mniejsze od prawdopodobieństwa śmierci w wypadku drogowym. Z powodu niebezpieczeństwa wypadków drogowych nie zatrzymujemy społecznego życia, nie rujnujemy domowych budżetów i życiowych szans milionów ludzi.

Dlaczego media – ogromną intensyfikacją informacji o 0,7 proc. zgonów, pomijając pozostałe 99,3 proc. zgonów, starają się wywołać powszechny strach przed koronawirusem? Może by zachęcić ludzi do zachowania dystansu, izolacji, traktowania serio ograniczeń. Jeśli

Z jednej strony przymusowy pobyt w domach jest ciekawą, czasem nawet piękną chwilą przerwy w codziennej gonitwie, na jaką zgadzamy się w „normalnym” świecie. Z drugiej jednak powoduje falę zjawisk negatywnych – bezradność, depresję, alkoholizm, przemoc, utratę poczucia bezpieczeństwa i środków do życia

nawet założymy, że intencje są dobre, a obraz fałszywy, to jednak kłopot. To traktowanie odbiorców jak dzieci, którym, by zrozumiały, trzeba mówić „Jak nie będziesz mył rączek, to cię porwie Baba Jaga”. Dorosłym należy się prawda.

Prawdę poznamy po liczbach. Ale nie liczbach zarażonych koronawirusem, bo tych nie poznamy nigdy. Tymcza-



sem mamy tej wiosny 20-procentowy spadek zachorowań na gripę i zapalenie płuc. Prawdziwy obraz zatem da dopiero podsumowanie wszystkich zgonów w całym półroczu w skali globalnej i w każdym kraju. Możliwe, że koronawirus dokłada do ogólnej liczby zgonów swoje żniwo, ale dziś jeszcze tego nie wiemy.

W pierwszym okresie reakcja była właściwa i skuteczna, Polska jest na chwałebnym, czwartym od końca miejscu w Europie jeśli idzie o liczbę zgonów na 1 mln mieszkańców. Ale siła zagrożenia jest 20-krotnie mniejsza, niż przewidywano, w ciągu dwóch miesięcy zmarło 600 osób. Tyle w Polsce umiera w ciągu pół dnia każdego dnia.

Młodszy czasem chorują także, ale generalnie COVID-19 jest chorobą osób w wieku poprodukcyjnym, seniorów. Najbardziej narażonych trzeba strzec, wspomagać, wspierać. Ale w sytuacji, gdy śmiertelność wirusa okazała się kilkudziesięciokrotnie mniejsza, niż pierwotnie przewidywano, dalsze drastyczne zatrzymywanie życia ludzi młodych, zdrowych oraz osób w średnim wieku jest bezcelowe, a wręcz szkodliwe. Takie myślenie nie ma nic wspólnego ze „społecznym darwinizmem”, brakiem troski



o zagrożonych czy zgodą na masową, koronawirusową eutanazję. Wręcz odwrotnie: jest troską o wszystkie ofiary i wszystkie osoby zagrożone tą epidemią i tym, co się wokół niej dzieje.

GOSPODARKA TO LUDZIE

Załamanie gospodarki może mieć skalę x, 5x, 10x lub 100x. To zależy od nas. Od tego, jak długo wsłuchiwać się będziemy w tam-tamy wbijające nam do głowy, że najbezpieczniejsze dla strusia jest wetknięcie głowy w piasek. Na szczęście wychodzimy już z tej hipnozy.

Coś mi się wydaje, że ten czas globalnego samoparaliżu przejdzie do historii świata jako pomyłka wszech czasów albo najpotężniejsza akcja marketingowa w historii. Dowód, że można miliardom ludzi wmówić strach tak wielki, by zdecydowali się na zbiorowe samobójstwo.

Nie wiem, czy to prawda, ale mam wrażenie pewnego napięcia między premierem Morawieckim a ministrem Szumowskim, który w ostatnich tygodniach stał się osobą kluczową w rządzie, kimś w rodzaju plemiennego czarownika, z którym wódz musi uzgadniać każdy ważny krok. A gdy czarownik jest aktywny, ambitny i ma swoją wizję, może wodza zmarginalizować. Jednak za całość odpowiada premier, to on ma zważyć wszystkie niebezpieczeństwa

w krótkiej i długiej perspektywie. I to on ma podjąć właściwe decyzje.

Ktoś nazwał ministra Szumowskiego „Balcerowiczem medycyny”. Zastanawiające porównanie. Opisuje kogoś teoretycznie fachowego, mocno zaangażowanego w swoją misję, przekonanego o jej słuszności. Ale realizującego swój plan bez liczenia się ze społecznymi skutkami, które wykraczają poza jego wąsko pojętą specjalizację. Efektowna – jak się wielu wówczas wydawało – reforma Balcerowicza, w długiej perspektywie okazała się dla Polski i Polaków klęską, a potulna zgoda na doktrynerskie podejście i bezwzględność arcyministra – nauczką na przyszłość.

Wierzę, mam nadzieję, że minister Szumowski nie jest „Balcerowiczem medycyny”, nie będzie aplikował nam środków niepotrzebnych i szkodliwych, a ostatnie decyzje rządu świadczą, że premier Morawiecki nie pozwoli na mordowanie gospodarki zbyt daleko idącymi, zbyt długo trwającym ograniczeniami.

SZCZEPIONKA?

Ponoć w 73 miejscach świata trwają prace nad szczepionką na SARS-CoV-2. Niektórzy działają bardzo szybko i już, już za chwilę szczepionka będzie. Ewentualne przyjęcie szczepionki

jest ryzykiem – każdy będzie musiał odpowiedzieć sobie sam, czy się na nie zdecyduje. Przy dzisiejszej wiedzy o skali poszczepiennych powikłań i poszczepiennych zgonów pomysł „szczepień obowiązkowych dla wszystkich” jest tak upiorny, że nie będę go nawet komentował.

Wyścig o szybkie rzucenie na rynek szczepionki przypomina mi scenę teleturnieju z filmu Stanisława Barei, gdzie dwie rywalizujące drużyny chirurgów operują pacjentów, kto szybciej. Nikt przytomny nie chce szczepionki robionej w pośpiechu, która nie zostanie prawidłowo przetestowana przez instytucje niezależne od producentów. Sądzę, że chcemy wszyscy, by w Polsce – jeśli będą chętni, by taką szczepionkę przyjąć – była przetestowana przez laboratoria i naukowców, którzy nie byli ani nie są w związku biznesowo-sponsoringowo-szkoleniowym z żadnym z koncernów produkujących szczepionki, z żadną z jego pokrewnych firm. By wszyscy badający ową szybkobieżną szczepionkę złożyli takie pisemne oświadczenia, co jest standardem w cywilizowanych krajach. Dzisiaj w Polsce badacze szczepionek takich oświadczeń składać nie muszą, niektórzy nawet publicznie głoszą, że ich finansowe powiązania z koncernami farmaceutycznymi nie mają nic do rzeczy.

Bill Gates oświadczył, że szczepionki nie będzie można podawać, dopóki rządy nie wezmą na siebie pełnej odpowiedzialności za ewentualne powikłania, koszty ich leczenia i ewentualnych odszkodowań, by koncerny nie ponosiły żadnej odpowiedzialności, gdy coś pójdzie nie tak. Dopiero wtedy miliony (miliardy?) szczepionek ruszą w świat. Postulat Billa Gatesa jest w Polsce spełniony od zawsze. Jesteśmy chyba ostatnim krajem w Europie, w którym – mimo wielu lat walki – wciąż nie ma instytucji ani mechanizmu, który zmusza koncerny, by pokrywały koszty leczenia i odszkodowań dla ofiar poszczepionkowych powikłań. Naciekająca ochota, by szczepić masowo, to najwyższy czas, by – jak to jest w cywilizowanych krajach – polscy podatnicy nie płacili za błędy farmaceutycznych koncernów. Najwyższy czas.

Trzeba się cieszyć, jeżeli jest dobrze, ale przygotowywać na najgorsze

Udało się nam spowolnić i ograniczyć zasięg epidemii. Nie mamy kryzysu w liczbie miejsc szpitalnych i powoli zbliżamy się do punktu, gdzie liczba osób, które zachorowały, zbliża się do liczby tych, które wyzdrowiały. I to będzie punkt przełomowy, bo będzie można lepiej zająć się chorymi. Dopóki tego nie ma, trzeba myśleć o miejscach w szpitalach dla następnych chorych

**Z prof. dr. hab. Włodzimierzem Gutem,
wirusologiem, rozmawia Aleksandra Jakubowska**

Ponad 180 państw walczy już z epidemią koronawirusa...

Włodzimierz Gut: ... właściwie wszystkie.

Widać jakąś wspólną strategię w ich działaniach?

Sytuacja jest nowa, więc każde stosuje metodę prób i błędów. Trzeba uwzględnić swoje możliwości, funkcjonujący system opieki zdrowotnej, szpitalnictwo, możliwości kontroli społeczeństwa. Chiny mogły pozwolić sobie na bardzo ostre ograniczenia, w innych krajach różnie to wygląda.

W Chinach zastosowano bardzo restrykcyjne metody w stosunku do społeczeństwa, z drugiej strony mamy przykład Szwecji, która postawiła na tzw. odporność społeczną.

Raczej na odpowiedzialność obywatelską. To jest charakterystyczne nie tylko dla Szwedów, dla Skandynawów w ogóle.

Czyli nie ma jakiejś jednej ogólnoświatowej strategii walki z tym wirusem?

W takiej nowej sytuacji można co najwyżej próbować przenosić z tych kra-

jów, które w miarę dobrze sobie radzą z epidemią, sprawdzone rozwiązania.

A kto w tej chwili, np. w Europie, może być takim wzorem?

Szwajcaria i Austria, które szybko sobie poradziły z tym problemem. My również mamy pewne osiągnięcia, np. mniejszą liczbę zachorowań niż państwa mające niższą liczbę ludności, ale znacznie dłużej zmagamy się z epidemią.

A czy to, jak kto sobie radzi, nie zależy od szybkości reakcji? Państwa, które



PROF. WŁODZIMIERZ GUT

WIRUSOLOG

KORONAWIRUS: REALNE ZAGROŻENIE CZY TYLKO PANIKA?

szybko wprowadziły różnego rodzaju zalecenia dla obywateli i ograniczenia, są w znacznie lepszej sytuacji niż te, które długo z tym zwlekały, np. Wielka Brytania.

Jeżeli jedynymi metodami możliwymi do zastosowania w tej sytuacji są dystans, samoizolacja, kwarantanna, badania robione po to, by wychwycić chorych, higiena i restrykcje w gromadzeniu się, to rzeczywiście moment wprowadzenia tego rodzaju mechanizmów ma istotne znaczenie w rozprzestrzenianiu się zakażeń i wynikających z nich zachorowań. Kraje wprowadzają restrykcje w bardzo różny sposób. Od zakazu zgromadzeń powyżej 50 osób do zakazu kontaktów w ogóle i dostarczania żywności do domów, tak jak było w Chinach. Jakies ograniczenia w kontaktach międzyludzkich muszą być i one z reguły są stosowane.

W stosunku do wszystkich? Przecież już wiemy, które grupy są szczególnie narażone na tę chorobę. Na przykład osoby starsze.

Nie da się tak izolować. Mam na myśli grupy zagrożone ciężkością choroby, bo zakażeniu mogą ulegać ludzie we wszystkich grupach wiekowych. Ograniczenia muszą być ogólne, dotyczące wszystkich albo nikogo. Przykładem na nieskuteczność izolowania grup pod-

wyższonego ryzyka jest to, co wydarzyło się w domach pomocy społecznej. To dowód na to, że nie da się izolować żadnej populacji wiekowej w sposób ścisły. Nawet jeśli zakazano w nich wizyt rodziny, to codziennie przychodzili osoby, które tam pracowały, a czasami pracowały w wielu miejscach o znacznie większym ryzyku zakażenia. I mechanizm przenoszenia wirusa zadziałał.

Od pierwszego przypadku w Europie minęły trzy miesiące i wszyscy się zastanawiają, kiedy spadek zachorowań i zgonów osiągnie taki poziom, że będziemy mogli powiedzieć, iż już nadszedł czas powrotu do normalności.

Do normalności wrócimy w momencie, kiedy będziemy mieli jedną osobę chorującą na milion mieszkańców. Jak w Polsce będzie dziennie 38 chorych, to naprawdę da się tak zabezpieczyć tę grupę, że nie będzie żadnego problemu dla reszty. Bronimy się, jak możemy, inne kraje przeszły takie etapy gorzej, inne, jak wspomniane przeze mnie Szwajcaria i Austria, lepiej. Szwajcarzy zastosowali dość ciekawe rozwiązanie, udało im się połączyć chińską metodę namierzania komórek z obowiązującymi w ich kraju prawami dotyczącymi anonimowości ludzi. Zawarli fantazyjną umowę z firmami telekomu-

nikacyjnymi: jeżeli gdzieś na 100 mkw. namierzyły one więcej niż pięć komórek, natychmiast interweniowały siły porządkowe.

Przy założeniu, że obywatel ma przy sobie komórkę, bo zawsze może zostać w domu.

To już jest kwestia dyscypliny obywateli.

Oprócz kryzysu zdrowotnego mamy sytuację społeczno-psychologiczno-gospodarczą. Istnieje takie niebezpieczeństwo, że my się z tym wirusem oswoiimy, tak jak z grypą, HIV, malarią, innymi zakaźnymi chorobami. I ta tolerancja dla ograniczeń może się nagle skończyć. Jak nie doprowadzić do momentu, kiedy cierpliwość społeczeństwa się wyczerpie?

Czyli kiedy społeczeństwo przestaje słuchać zaleceń i zaczyna lekceważyć ograniczenia? Może do tego dojść. Aby temu zapobiec, trzeba uświadomić wszystkim, że im mniejsze zdyscyplinowanie, tym dłużej to będzie trwało, że nie ma żadnych wyjątków, wszyscy muszą stosować te same reguły gry. Także promowanie pożądanych wzorców zachowań jest bardzo istotną sprawą.

Spotkałam się z opinią, że SARS-CoV-2 nie jest znacznie groźniejszy niż zwykła grypa i mniej groźny od



wielu innych chorób zakaźnych. Skąd zatem taka ogólnoświatowa psychoza, strach przed koronawirusem? Bo jeżeli sobie porównamy dane dotyczące śmiertelności spowodowanej innymi chorobami, to w tym samym okresie mamy: koronawirus – 170 tys., grypa 150 tys., malaria 300 tys., HIV/AIDS pół miliona, 2,5 mln zgonów z powodu raka, a na inne choroby zaraźliwe – prawie 4 mln.

Problem sprowadza się do tego, że to jest rzecz nowa, medialna, w pierwszym momencie również polityczna, bo należy sobie przypomnieć, że wybuchła w Chinach w trakcie gospodarczych negocjacji chińsko-amerykańskich. I była w tym momencie argumentem. Z punktu widzenia wirusologa nie jest to jakiś straszny wirus, ale wywołany przez niego początek epidemii został potraktowany zbyt ulgowo. Obszar zagrożenia był jeden, więc działania powinny być najprostsze pod słońcem, ale nikt tego nie zrobił.

Rzeczywiście, te ograniczenia, jeżeli chodzi o podróże z Chin, zostały wprowadzone dość późno. Powiedział pan w jednym z wywiadów, że mamy teraz taki wybór: „biedny i zdrowy czy bogaty i martwy”. Rzeczywiście tak jest?

To mocno przerysowana opinia dla uświadomienia, że trzeba sobie poradzić z dwiema rzeczami naraz. Z ekonomią i chorobą. Jeżeli zajmujemy się wyłącznie ekonomią, to zapłacimy wysoką cenę w postaci zmarłych i tych, którzy będą mieli ubytek zdrowia po przebyciu koronawirusa. Nie ludźmi się, zapalenie płuc o ciężkim przebiegu nie przechodzi bez śladu. Jednak jeżeli wszystkie siły rzucimy na walkę z epidemią, to koronawirusa pokonamy, ale jeżeli przeciągniemy to w czasie, to znajdziemy się w sytuacji, w której część ludzi zarobi na testach, na maseczkach, na różnych innych pożądanym w czasie zarazy rzeczach, ale większość straci.

Cynicznie mówiąc, na każdej epidemii ktoś zarabia, a ktoś traci.

Tak jak na wojnie. Ale wracając do konieczności zachowania pewnych proporcji między ochroną zdrowia

a ekonomią, niestety trzeba dokonać wyboru. I to jest właśnie cały problem. Nie chciałbym być rządzącym ani politykiem, żeby być zmuszonym do dokonywania takich wyborów.

Wielu myśli, że jedyną skuteczną metodą ochrony przed wirusem jest szczepionka. Czy ten nacisk, ten pośpiech, to żądanie szczepionki i przekonanie, że kiedy już będzie, to jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki wirus zniknie, nie spowoduje, że możemy dostać produkt, który będzie bardziej szkodliwy niż wirus?

Szczepionkę trzeba sprawdzić. Po pierwsze, czy jest w stanie zahamować chorobę, bo przed zakażeniem nigdy nie ochroni, a po drugie, czy nie będzie gorsza od samej choroby.

Do normalności wrócimy w momencie, kiedy będziemy mieli jedną osobę chorującą na milion mieszkańców. Jak w Polsce będzie dziennie 38 chorych, to naprawdę da się tak zabezpieczyć tę grupę, że nie będzie żadnego problemu dla reszty

HIV też jest koronawirusem i też jest wirusem odzwierzęcym, ale już od ponad 30 lat borykamy się z nieszczęściem wywołanej przezeń choroby AIDS i dotąd nie wynaleziono szczepionki. Czy możemy mieć nadzieję, że w przypadku koronawirusa taka szczepionka powstanie, czy też będziemy się musieli z tym oswoić i tak jak w przypadku AIDS skupić się na hamowaniu choroby?

HIV jest wirusem człowieka, który ma swoją charakterystykę, swój cykl namnażania, zakażenia itd., a koronawirus jest typowym zoonotycznym wirusem, który przełamał barierę gatunkową i dostał się do populacji ludzkiej, tak

jak SARS czy MERS, i są duże szanse, że zniknie tak jak one.

Nie będzie wracał sezonowo, tak jak grypa?

Jeżeli dopuścimy do sytuacji, że ten wirus zacznie krążyć od kraju do kraju, bo nie zamkniemy w którymś miejscu jego obiegu, to trzeba liczyć się z tym, że będzie wracał. Chiny bronią się teraz przed jego powrotem, bo wiedzą, że może tak się zdarzyć. SARS-CoV-2 nie zakaża wszystkich, tylko określony odsetek populacji. Jeśli dopuścimy do tego, że wciąż będą źródła zakażenia, to będzie krążył po dzisiejszej globalnej wiosce. Jeśli wyeliminujemy go całkowicie, zniknie.

Przyjdzie taki moment, kiedy granice zostaną otwarte, linie lotnicze zaczną funkcjonować. Ze zdumieniem przeczytałam informację jednego z polskich biur podróży, że ma więcej rezerwacji na zagraniczne wakacyjne wyjazdy niż w ub.r.

Na szczęście układa się to tak, że dysponujemy szybkim obiegiem informacyjnym o sytuacji w innych krajach i mamy już pewne doświadczenie w zwalczaniu tej choroby. Jeżeli w którymś kraju będzie nowy ośrodek zakażeń, uda się to zablokować.

Polscy lekarze byli w Lombardii, udali się teraz do USA i Słowenii. Z jednej strony jesteśmy dumni z tego, ale z drugiej słyszy się krytyczne głosy, że polscy lekarze potrzebni są tu, na miejscu.

Jadą z kilku powodów. Po pierwsze, obserwują na miejscu, jak wygląda sytuacja, jakie mogą być konsekwencje poszczególnych działań i jak należy podchodzić do pacjentów w sytuacjach powieźmy wzrostu zachorowań czy wtedy, kiedy obowiązuje już teoria katastrof, tzn. trzeba dokonać selekcji pacjentów i leczyć tych, którzy mają szansę przeżyć. Po drugie, to sprawdzenie stosowanych środków zabezpieczeń, bo dane ochrony zdrowia na temat zachorowań mamy ze wszystkich krajów i wygląda to bardzo różnie. Trzeba cieszyć się, jeżeli jest dobrze, ale przygotowywać na najgorsze.

Polski biznes jest mocno zmartwiony tym, co się dzieje, przedsiębiorcy wystosowali apel do rządu o przyspieszenie odmrażania gospodarki. Twierdzą, że niedługo nie będzie do czego wracać.

Dyskutowałem z ekonomistą, jaki kształt litery przyjmie rozwój gospodarczy w kraju. Czy będzie to „V”, czyli szybki spadek, szybkie odbicie, czy „U” z przedłużonym okresem odbicia, ale ja najbardziej boję się litery „W”, czyli będzie spadek, my się rozkręcimy, a potem wróci koronawirus i trzeba będzie powoli znowu z tego wychodzić.

Obawia się pan zbyt wczesnego rozluźnienia ograniczeń?

Tak, bo wtedy kryzys trzeba będzie gasić mocniejszymi restrykcjami i może być gorzej, bo np. będziemy jedyni w Europie w takiej sytuacji. I wtedy nas zablokują.

Ale niektóre europejskie kraje już luzują te ograniczenia. Czesi, Francuzi, Włosi zapowiadają takie rozwiąza-

nia już na początku maja. W przypadku Włoch szczególnie chodzi o branżę turystyczną, bo to znacząca część dochodu narodowego...

...która jest jednocześnie najbardziej ryzykowna. Zobaczmy, do czego to doprowadzi. Bardziej się martwię tym, że mamy u siebie dość liczną siłę roboczą zza wschodniej granicy, a na Ukrainie epidemia dopiero się zaczyna. Wolałbym, żeby na Ukrainie fala zakażeń się skończyła, zanim otworzymy granicę.

Na tym etapie epidemii, jaki mamy w Polsce, które ograniczenia możemy znieść przy zachowaniu naszego poczucia bezpieczeństwa, a jakie w dalszym ciągu utrzymać?

Udało nam się spowolnić i ograniczyć zasięg epidemii. Nie mamy kryzysu w liczbie miejsc szpitalnych i powoli zbliżamy się do punktu, gdzie liczba osób, które zachorowały, zbliża się do liczby tych, które wyzdrowiały. I to będzie punkt przełomowy, bo będzie można lepiej zająć się chorymi. Dopóki

tego nie ma, trzeba myśleć o miejscach w szpitalach dla następnych chorych.

Sądzi pan, że tak jak w Chinach trzy miesiące od pierwszych zachorowań to ten okres, po którym już można powiedzieć, że epidemia wygasa? Są też opinie, że będziemy się z tym zmagać przez najbliższe dwa lata.

Nie wiem, jak długo będziemy się zmagać. Od momentu spadku będziemy się zmagać dwa razy dłużej, niż doszło do osiągnięcia szczytu. I tyle. Jeżeli szczyt będzie szybko, czyli już, to oznacza, że w ciągu półtora miesiąca to opanujemy i w sierpniu będzie można jechać na wakacje.

Pana prognoza jest bardzo optymistyczna. Nawet jeśli uporamy się z tą odmianą koronawirusa, to nie mamy żadnej pewności, że nie pojawi się następny odzwierzęcy wirus, który nas zaatakuje.

Nawet mamy pewność, że tak będzie. Jest tylko pytanie kiedy i jaki wirus. 

REKLAMA

Finanse w Porządku w bezpiecznym, polskim banku!

Korzystaj z banku zdalnie.
www.pocztowy.pl

infolinia 801 100 500, 52 34 99 499
opłaty zgodnie z taryfą operatora

Bank Pocztowy S.A. to bezpieczny bank o wyłącznie polskim kapitale. Informacje zawarte w niniejszym materiale reklamowym nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Poczta Polska S.A. jest pośrednikiem kredytowym Banku Poczтового S.A. i jest uprawniona do dokonywania w imieniu i na rzecz Banku Poczтового S.A. czynności faktycznych i prawnych związanych z zawarciem umów kredytu konsumenckiego, umów rachunku bankowego oraz umów o kartę. Poczta Polska S.A. nie współpracuje z innymi kredytodawcami niż Bank Pocztowy S.A. Szczegóły oferty na stronie www.pocztowy.pl oraz w placówkach Banku Poczтового S.A. i Poczty Polskiej S.A.

 Bank Pocztowy / 30 lat





Etap szoku za nami. Będzie trudno, ale damy radę

*Początek był trudny i wiem też, że wciąż panuje oczekiwanie, by było tak jak przed kryzysem. Nie będzie. Będzie trudniej, ale wiemy, co trzeba zrobić, żeby temu podolać. Damy radę, przejdziemy przez ten kryzys związany z pandemią – mówi **Zbigniew Jagiello**, prezes PKO BP, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem*

Widzi pan od środka reakcję gospodarki na epidemię: co nas czeka?

Zbigniew Jagiello: W najbliższych kwartałach musimy przejść przez cztery etapy funkcjonowania społeczeństwa i gospodarki. W pierwszym etapie powoli kończymy romantyczny zryw w obronie funkcjonowania społeczeństwa i gospodarki. Dziś wszyscy poszukujemy sposobu na przejście do nowego etapu – stabilizacji funkcjonowania w obecności koronawirusa.

Co to znaczy?

Wirus został częściowo rozpoznany i wiemy, jaki ma wpływ na nasze społeczeństwo. Szczęśliwie, jeśli chodzi o kwestie zdrowotne, cierpimy mniej niż inne kraje: mamy mniej osób

zakażonych i mniej ofiar. Nasza stabilizacja w tym okresie polega na rozsądnym otwieraniu się gospodarki, przy pewnej trudnej kohabitacji z koronawirusem.

Pytanie za grube miliardy złotych: jak to zrobić?

Na polu gospodarki podjęliśmy jako kraj trzy dobre decyzje. Pierwsza to tarcza antykryzysowa, druga to program płynnościowy Banku Gospodarstwa Krajowego, a trzecia to tarcza finansowa Polskiego Funduszu Rozwoju. Wszystkie te trzy elementy pozwolą polskiej gospodarce relatywnie lepiej obronić miejsca pracy Polaków i poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego w najbliższych kwartałach.

Na ile skutecznie? Wicepremier Jadwiga Emilewicz mówi wprost, że czeka nas dwucyfrowe bezrobocie na koniec roku. Suchą stopą tego kryzysu nie przejdziemy.

To prawda. Niektórzy wciąż oczekują, że będzie tak jak przed kryzysem. To niemożliwe. Żadne decyzje ani działania nie mają takiej mocy, aby w przewidywalnej przyszłości przywrócić stan polskiej gospodarki sprzed kryzysu. Nie uda się to też nikomu na świecie.

I rządzący powinni nam dziś powiedzieć wprost, jak Churchill, że czekają nas krew, pot, znoj i łzy?

I tak, i nie. To nie jest wojna z wielką liczbą ofiar ludzkich. Czekają nas poważny kryzys gospodarczy z dużo większym bezrobociem niż obecnie. Pierwsza recesja po 28 latach nieprzerwanego wzrostu gospodarczego. Wszystko to przełoży się w negatywny sposób na nasze życie. W większości będziemy zarabiali mniej niż w minionych latach. Mamy oczywiście sektory gospodarki obecnie odporne na wpływ koronawirusa, ale są one w zdecydowanej mniejszości.

Co to znaczy, że są odporne?

Zwycięzcą, o ile można użyć tego słowa, całej tej sytuacji kryzysowej są procesy digitalizacji i pracy zdalnej. Pandemia przyspieszyła procesy, dzięki którym zaczęliśmy masowo korzystać ze zdalnych form komunikacji i zawierania transakcji na odległość. To oczywiście nie zostanie w stu procentach po pandemii, ale na pewno zmiany będą znaczne i trwałe.

ROZMOWA
Fijołka





Rozmawiamy jednak cały czas o pierwszym etapie. A co dalej? Gdzie miałby się zacząć kolejny?

Pierwszy etap trwa, ale już się kończy i pomału wkraczamy w drugi – fazy stabilizacji. Po nim przyjdzie czas na etap trzeci, w którym koronawirus stanie się jedną z wielu chorób, z jakimi ludzkość boryka się od wielu lat, jak ospa czy gruźlica. Mamy na nie leki i szczepionki, wiemy, jak się zachowywać. Kiedy będziemy mieli szczepionkę na koronawirusa i wiedzę, jak izolować ludzi, którzy zachorują na tę chorobę, to będziemy mogli powiedzieć, że żyjemy w nowym normalnym świecie. A wtedy trzeba będzie szukać możliwości do przejścia do czwartego etapu – okresu wzrostu gospodarczego i poczucia lepszej satysfakcji z życia. Koniec końców nie tylko wzrost PKB jest miernikiem sukcesu funkcjonowania społeczeństwa.

Naszkicuje pan jakiś horyzont czasowy?

Etap stabilizacji życia z koronawirusem potrwa pewnie jeszcze parę kwartałów, w czasie których będziemy się uczyć, jak lepiej rozpoznawać osoby chore i skutecznie leczyć je już dziś, mimo braku leku czy szczepionki. Krótko mówiąc,

będziemy lepiej reagowali na tę chorobę. Potrwa to jeszcze jakiś czas, być może do końca przyszłego roku, kiedy na rynku pojawią się leki lub szczepionka. Wtedy będziemy chcieli przejść do kolejnego etapu. Mam nadzieję, że to będzie już przyszły rok.

A te najbliższe kwartały? Mamy wystarczająco dużo pieniędzy, sił i rozpędu, by dać radę. Co będzie z gospodarką naszego kraju?

Nikt na świecie nie ma wystarczających możliwości ani narzędzi, których szuka pan redaktor. Polska też ich nie ma. Nasze możliwości organizacyjne i finansowe musimy przymierzyć do tego wyzwania, a więc jeszcze lepiej zorganizować ochronę zdrowia, jeszcze bardziej odpowiedzialnie żyć jako społeczeństwo. Trzeba też pamiętać o naturalnych różnicach: mamy branże, które są zamknięte na sto procent – musimy je powoli otwierać. Dotyczy to usług, gastronomii, handlu czy też turystyki. Ten ostatni sektor może ruszyć w ograniczonym zakresie, w określonym regionie kraju, ale otwarcie się na podróże międzynarodowe jeszcze długo będzie trudne do przeprowadzenia.



Czyli jeśli uda się nam zaoszczędzić parę groszy, to raczej Bieszczady, a nie Chorwacja. Zapytam jednak szerzej o postulaty lewicy, ale i papieża Franciszka, dotyczące dochodu podstawowego. Pobrażmiera w tym pewna zmiana paradygmatu w reakcji na kryzys: czyta pan to jak aberrację czy dostrzega w tym jednak coś interesującego?

Jestem przeciwnikiem podejmowania radykalnych rozwiązań. Trzeba szukać konsensu w taki sposób, aby i pracodawcy, i pracownicy – zwłaszcza na poziomie firm – wiedzieli, w jakiej są sytuacji i co ich czeka. Takie kwestie mogą być rozważane raczej na poziomie zakładów czy lokalnych społeczności. Nie ma bowiem rozwiązania, które pasowałoby wszędzie. Trudno porównywać np. funkcjonowanie hotelu do działalności zautomatyzowanego zakładu pracy. W tym drugim przypadku mamy łatwość utrzymania dystansu między ludźmi, trudno o kontakt z osobami z zewnątrz. I o ile takie zakłady mogą zacząć produkcję, np. branża auto-moto, o tyle trudno powiedzieć, że tak samo mogą ruszyć hotele.

Czyli raczej punktowo, w niektórych sektorach czy branżach.

Tak jest. Jestem przeciwnikiem formuły one size fits all, czyli dopasowania tej samej reakcji do wszystkich wyzwań. Bardziej różnicowane podejście jest o wiele trudniejsze niż generalne rozwiązanie dla wszystkich, lecz skuteczniejsze. Musimy pamiętać, że epidemia koronawirusa różnie uderza w poszczególne branże i sektory. Trzeba dopasowywać konkretne narzędzia.

W jednym z ostatnich wywiadów wskazywał pan, że nasze potrzeby konsumpcyjne szybko nie wrócą do poziomu sprzed epidemii. Na co mają się przygotować nasi czytelnicy? Na powrót do lat 90.? Roku 2000, 2010?

Muszą się przygotować na rok 2021. Idziemy do przodu, a analogie zawsze obciążone są błędem. Głównym wyzwaniem są nasze aspiracje. Jeśli mieliśmy plany i nadzieje wynikające z nieustannej poprawy naszej sytuacji finansowej, to trudno nam się będzie pogodzić z tym, że pewne decyzje musimy odłożyć w czasie albo z nich zrezygnować.

Trudno się dziwić. Biegliśmy jako kraj i gospodarka za Niemcami, doganialiśmy Portugalie i Włochy, a dziś? Łódź na głowę?

Doświadczenia ostatnich 30 lat są takie, że mimo różnego rodzaju kryzysów polska gospodarka radziła sobie relatywnie lepiej niż inne kraje Unii Europejskiej. Nawet w ostatnim czasie mieliśmy tytuł „europejskiego championa

wzrostu”. Wierzę w to, że i z tego kryzysu możemy wyjść relatywnie lepiej niż inni.

Co ma pan na myśli?

Dystans między nami a krajami, które gonimy, może się zmniejszyć. Ale to nie jest pewne – wszystko zależy od tego, jak wykorzystamy czas, który jest przed nami. Jeśli w przyszłości chcemy ten dystans nadal zmniejszać, potrzebne jest elastyczne podejście do niektórych rozwiązań ustanowionych w przeszłości. Mamy różnego rodzaju ustalenia, zobowiązania i przepisy, które krępują nas w warunkach nadzwyczajnych. Trzeba sobie zadać pytanie: jak możemy, w zgodzie społecznej, uelastyczyć te przepisy, by było więcej pracy dla Polaków.

Coś konkretnego?

Na pewno wiele przepisów dotyczących kwestii pracodawca – pracownik, ograniczeń związanych z przepisami dotyczącymi relacji konsument – przedsiębiorca wymaga innego spojrzenia na ten okres pod podstawowym warunkiem: uchronić jak najwięcej miejsc pracy i rozwinąć się lepiej niż inne kraje.

W teorii brzmi dobrze. Jak miałyby to wyglądać w praktyce?

Banki w Polsce konkurują między sobą, podobnie jest na poziomie państw lub bloków społeczno-gospodarczych. Jednak poza konkurowaniem potrzebna jest współpraca. Najjaśniejszym symbolem tego zjawiska z ostatnich lat w sektorze bankowym jest wspólny standard płatności – BLIK. On powstał na zasadzie współpracy, a nie konkurencji. Podobnie Polska ma takie obszary, gdzie konkurujemy, ale też

takie, gdzie współpracujemy z innymi krajami. Na poziomie UE premier Morawiecki podniósł kwestię rajów podatkowych i moim zdaniem trzeba to podnieść nie tylko na poziomie europejskim, ale i globalnym. Raje podatkowe nie służą rozwojowi społeczeństw, krajów ani całych bloków gospodarczych.

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że zacznie pan mówić, jaki armagedon nas czeka...

Ja już jestem optymistą! Dobrze oceniam obecną sytuację. Przeszliśmy etap szoku i wiemy, co robić. Wiemy też, że będzie trudno. Skoro mamy wiedzę, co nas czeka i co robić, to oznacza, że potrafimy przez to przejść. Początek był trudny i wiem też, że nadal panuje oczekiwanie, by było tak jak przed kryzysem. Nie będzie. Będzie trudniej, ale wiemy, co zrobić, żeby temu podołać. Damy radę, przejdziemy przez ten kryzys związany z pandemią.

Problemy z „odmrażaniem kościołów”

Jak będzie wyglądało życie religijne w czasie wychodzenia z kwarantanny? Czy wierni powrócą do świątyni? Jak zmieni się Kościół?



GRZEGORZ GÓRNY

Od niemal dwóch miesięcy Kościół katolicki znajduje się w sytuacji bez precedensu w swojej historii. Na całej kuli ziemskiej – z powodu zagrożenia epidemicznego – ustał niemal w ogóle kult publiczny. Z dnia na dzień miliony katolików na wszystkich kontynentach pozbawione zostały możli-

wości uczestniczenia w mszy, przystępowania do sakramentów i świętowania Wielkanocy.

W swoistej hibernacji znajdują się niemal wszystkie sfery życia publicznego. Wiadomo, że stan powszechnej kwarantanny nie może się przedłużać w nieskończoność i konieczne będzie stopniowe wychodzenie z lockdownu. Jak będzie wyglądało „odmrażanie” w przypadku Kościoła? Z pewnością nie będzie to powrót do sytuacji sprzed epidemii. Głównym ograniczeniem w działalności Kościoła staną się normy bezpieczeństwa sanitarnego nałożone przez państwo, do których trzeba będzie dostosować duszpasterstwo. Dziś nie wiemy, jak będą one wyglądały i jak długo potrwają.

„ZAMRAŻANIE KOŚCIOŁÓW”

Samo „zamrażanie” życia kościelnego w różnych krajach odbywało się fazami. Na przykład w Polsce na początku pandemii Episkopat nie podjął decyzji o zawieszeniu mszy, lecz jedynie udzielił dyspensy osobom w podeszłym wieku, z objawami infekcji, dzieciom i młodzieży szkolnej oraz dorosłym sprawującym nad nimi pieczę, a także tym, którzy odczuwają obawę przed zarażeniem. Opuszczenie niedzielnej mszy przez wspomniane grupy nie miało im być poczytane za grzech. Zalecono również na czas epidemii przyjmowanie komunii na rękę, znaku pokoju przez skinienie głowy zamiast podania dłoni, powstrzymanie się od całowania lub dotykania krzyża i relikwii, niekorzystanie z kropielnic z wodą święconą czy używanie folii ochronnych na kratkach konfesjonałów podczas spowiedzi.

Później zapadła decyzja o ograniczeniu liczby wiernych mogących wziąć udział w nabożeństwie do 50 osób. Jednocześnie

Fot. Jurga Jot / Shutterstock





zachęcano księży, by odprowadzali jak najwięcej mszy. Episkopat Polski zdecydowanie się wyróżniał w tym czasie na tle wielu krajów Europy, gdzie niedzielne celebracje zostały w ogóle zawieszone.

Po dwóch tygodniach rząd wymusił na Kościele kolejne zaostrzenie przepisów. Tym razem dopuszczalna liczba uczestników zmniejszona została do pięciu. Ten krok wywołał niezadowolenie licznych katolików wskazujących na stosowanie przez władze podwójnych standardów. W tym samym czasie o wiele więcej osób mogło bowiem przebywać w sklepach lub środkach transportu niż w świątyniach, których powierzchnia była znacznie większa. Jeden z księży żartował nawet, że gdyby wynajął autobus, to mógłby w nim odprawić mszę dla 25 osób i nie złamałby przepisów sanitarnych, natomiast nie mógłby tego zrobić w swoim olbrzymim kościele.

Kolejnym etapem stała się decyzja władz „odmrażająca” nieco działalność Kościoła, zwiększająca mianowicie limit osób mogących wziąć udział w nabożeństwie. Od 20 kwietnia zależy on od wielkości świątyni, dopuszczając obecność jednej osoby na 15 mkw. Jeden z warszawskich proboszczów opowiada, że co tydzień na sześciu niedzielnych mszach zjawiało się u niego ok. 4 tys. wiernych. Teraz może wpuścić do środka naraz maksymalnie 70 osób. Oznacza to, że – stosując się do obowiązujących przepisów sanitarnych – na wszystkich Eucharystiach w niedzielę może być u niego ok. 400 osób, a więc 10 proc. z tych, co przed epidemią.

Nikt nie wie, kiedy nastąpi kolejny etap „odmrażania kościołów”, ponieważ sytuacja jest dynamiczna. Otwarcie świątyni nie gwarantuje też automatycznie, że napłyną do nich wierni. Wiele osób nadal bać się będzie zarażenia. Tym bardziej że sami często słyszeli zachętę od biskupów, by w dobie pandemii powstrzymać się od udziału we mszach.

WIRUSOLOGIA I LITURGIKA

Stopniowe „odmrażanie kościołów” niesie z sobą wiele komplikacji. Widać to na przykładzie archidiecezji mediolańskiej, gdzie tamtejszy arcybiskup powołał specjalną grupę roboczą, która opracowuje

założenia drugiej fazy kwarantanny. Podstawowe pytanie, jakie stawia ona przed sobą, brzmi: jak pogodzić możliwość celebrowania Eucharystii z wymogami bezpieczeństwa zdrowotnego?

Pojawiają się tam m.in. takie propozycje, jak rozciągnięcie obowiązku udziału w niedzielnej mszy na cały tydzień, całkowite zwolnienie od tego wszystkich osób starszych (powyżej 65 lat) oraz schorowanych, możliwie częste odprowadzanie Eucharystii na otwartej przestrzeni (np. na boiskach, polach czy cmentarzach). Pojawiają się też pytania, jaki odstęp powinien być zachowany między wiernymi,

Tam, gdzie rodziny nie staną się Kościołami domowymi, przekaz wiary może zaniknąć. To jedna z podstawowych lekcji, jakie współczesnym duszpasterzom daje epidemia koronawirusa

czy mogą być obecni ministranci, czy można zmieniać miejsce podczas mszy, czy podczas komunii ludzie mają podchodzić do kapłana, czy też on do nich.

Już teraz we włoskich kościołach niektórzy księża podają hostię nie dłońmi, lecz wysterylizowaną pęsetą, przy wejściu do świątyni stoją stoliki z płynami odkażającymi, a wszystkie przybory liturgiczne są przed każdą mszą i po niej dezynfekowane, przykrywane oraz ustawiane w bezpiecznej odległości od celebransy. Nawet wysokość mikrofonu przy ambonie nie może być samowolnie regulowana (odpowiada za to specjalnie wyznaczona osoba w jednorazowych rękawiczkach).

O tym, że obawy włoskich duchownych nie są przesadzone, przekonuje przykład cerkwi prawosławnych podporządkowanych patriarchatowi moskiewskiemu, zarówno w Rosji, jak i na Ukrainie. Takie słynne miejsca kultu, jak ławra Troicko-Siergijewska, ławra Peczerska czy ławra Poczajowska stały się prawdziwymi roz-

sadnikami epidemii. Wszystko za sprawą postawy wielu tamtejszych duchownych, którzy głosili, że koronawirus jest karą Bożą dotykającą tylko grzeszników, ludzie wierzący są od niej chronieni, najlepszą ochronę zaś stanowi spożywanie Eucharystii. W efekcie nawoływano wiernych do tłumnego udziału w nabożeństwach. Co więcej, udzielano komunii pod dwoma postaciami – kwaszonego chleba rozpuszczonego w winie, który podawano jedną łyżką z jednego kielicha wszystkim wiernym obecnym w świątyni. Zalecano też całowanie ikon i krzyży w cerkwiach. W efekcie doszło do masowych zachorowań, a nawet śmierci kilku wpływowych duchownych (m.in. bp Beniamina z Żeleznogorska czy proboszcza moskiewskiej katedry ks. Aleksandra Agiejkina). Jeden z nowicjuszy w klasztorze w Siergijewym Posadzie na wieść o tym, że jest nosicielem koronawirusa, popełnił natomiast samobójstwo.

Biskupi katolicki w wielu krajach podkreślają, że ostatnie słowo i tak należeć będzie do administracji państwowej, która dokona oceny poziomu bezpieczeństwa i na tej podstawie ustali dopuszczalne normy sanitarne. Może więc dojść do sytuacji, że głos wirusologa okaże się ważniejszy niż głos prefekta Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów.

DUCHOWE I MATERIALNE

W dużej mierze rozwój sytuacji zależy więc będzie od nastawienia rządów poszczególnych krajów do Kościoła i do religii w ogóle, a także od możliwości porozumienia między władzą duchowną a władzą cywilną. Widać to doskonale na przykładzie Włoch, gdzie tamtejszy episkopat spodziewał się, że gabinet Giuseppe Contego zezwoli na wznowienie mszy z udziałem ludu od 10 maja. Ku zaskoczeniu hierarchów 26 kwietnia rząd ogłosił jednak, że przedłuży zakaz publicznego sprawowania Eucharystii na czas nieokreślony, co wywołało niezadowolenie włoskich biskupów.

Władze cywilne argumentują, że „odmrażanie” życia publicznego powinno dotyczyć w pierwszej kolejności dziedzin niezbędnych do funkcjonowania społeczeństwa. Dlatego w krytycznym okresie



epidemii czynne były sklepy spożywcze i apteki. W drugiej fazie powinny zacząć pracować biura, urzędy, fabryki, punkty usługowe, placówki kulturalne czy przedszkola. Czy dotyczyć to będzie jednak również kościołów i w jakim zakresie? To zależy w dużej mierze od tego, jak władze świeckie postrzegają obecność religii w życiu publicznym: jako coś rzeczywiste istotnego, czy coś mniej znaczącego niż działalność barów, siłowni lub galerii handlowych. Innymi słowy: czy potrzeby duchowe są tak samo ważne jak potrzeby materialne? W różnych krajach sytuacja będzie zapewne inna. Wiele zależy od determinacji hierarchów oraz presji zwykłych wiernych, którzy zawsze mogą się domagać respektowania przez państwo podstawowego prawa, jakim jest wolność religijna.

Już teraz zawieszenie bądź ograniczenie kultu publicznego skutkuje dużymi problemami finansowymi dla Kościoła. Nastąpił radykalny spadek przychodów dla parafii i sanktuariów. Nie ma intencji mszalnych, ślubów, pogrzebów, pielgrzymek, wynajmu pomieszczeń kościelnych. Wyszchają więc źródła dochodu na opłacenie podstawowych potrzeb. Gdzie indziej brakuje nawet pieniędzy na utrzymanie zabytkowych budowli. W takiej sytuacji znalazła się m.in. katedra Westminster w Londynie,

która w zeszłym tygodniu wystosowała dramatyczny apel do wiernych z prośbą o datki. Koszt utrzymania świątyni, wynoszący 46 tys. funtów tygodniowo, był do tej pory pokrywany ze sprzedaży biletów i świec. Teraz pielgrzymów zabrakło i przed kardynałem Vincentem Nicholsem stało widmo bankructwa świątyni metropolitalnej.

WALKA O MŁODZIEŻ

Znacznie ważniejszym problemem są jednak wyzwania duszpasterskie, jakie niesie nowa sytuacja. Podstawowe pytanie, jakie nurtuje dziś licznych hierarchów Kościoła, brzmi: czy w świątyniach powróci frekwencja sprzed epidemii? Ilu wiernych po wielotygodniowej przymusowej absencji znów zacnie uczestniczyć w Eucharystii?

Jeśli obecne ograniczenia, jak choćby limity obecnych na Eucharystii, utrzymają się dłużej (np. przez wiele miesięcy), można się spodziewać poważnego odpływu ze świątyni zwłaszcza dzieci i młodzieży. Osoby starsze i głębiej zakorzenione w Kościele raczej pozostaną w nim niezależnie od okoliczności. Inaczej wygląda sytuacja młodego pokolenia o nieugruntowanej jeszcze wierze. Nastolatki przez regularną nieobecność na niedzielnych mszach tracą związek ze swą para-

fia, rozluźniają się ich więzi z katechezą szkolną (która przeniesiona do internetu ulega coraz większej marginalizacji), nie mają też szans zetknąć się z duszpasterstwem młodzieżowym, ponieważ wszelkie spotkania formacyjne, rekolekcje czy pielgrzymki zostały zawieszone. Nawet jeśli zostaną za jakiś czas odwieszone, to nie wiadomo, czy rodzice zezwolą swoim pociechom na udział w inicjatywach obciążonych ryzykiem infekcji.

W tej sytuacji podstawową drogą do dotarcia do młodzieży staje się internet. W tym kontekście coraz częściej mówi się o konieczności prowadzenia duszpasterstwa on-line. Niesie to jednak z sobą niebezpieczeństwo zacierania granicy między światem realnym a wirtualnym. Grozi zanikiem rozumienia Kościoła jako rzeczywistej wspólnoty. Jak pisze paulin o. Roman Laba: „Taka aktywność nie tylko uderza w naturę Kościoła, ale i w naturę sakramentów jako takich. Sakramentu nie da się udzielić na odległość, a przyjęcie duchowej Komunii Świętej, chociaż może być głęboko przeżyta praktyką, to jednak nie jest przyjęciem Sakramentu Eucharystii. Przez ekran nie da się przyjąć Ciała Pańskiego, tak samo jak nie da się kogoś ochrzcić, wypowiadać, namaścić chorego czy udzielić sakramentu święceń”.

W tej sytuacji wzrasta niezwykle rola rodziców jako osób w największym stopniu odpowiedzialnych za przekazywanie wiary i formację religijną dzieci. W pierwszych trzech wiekach, gdy wyznawcy Chrystusa byli prześladowani, a świątynie chrześcijańskie nie istniały, to właśnie domy stawały się głównymi centrami kultu i ewangelizacji. Dlatego też św. Paweł Apostoł nazywał rodzinę „Kościołem domowym”, zaś jego nauczanie kontynuowali m.in. św. Jan Chryzostom, św. Klemens Aleksandryjski czy św. Augustyn.

W XX w. powrócił do tego wątku Jan Paweł II. Być może dlatego, że nasze czasy w pewnym sensie upodabniają się do czasów pierwszych chrześcijan, zanurzonych w cywilizacji pogańskiej i stawiających jej czoła. Coraz wyraźniej widać, że tam, gdzie rodziny nie staną się Kościołami domowymi, przekaz wiary może zaniknąć. To jedna z podstawowych lekcji, jakie współczesnym duszpasterzom daje epidemia koronawirusa.



Powrót przyrody?

Ostatnie doniesienia medialne pokazują, że przestrzeń opuszczona w czasach zarazy przez ludzi została odzyskana przez zwierzęta. Czy jelenie nadal będą się paść na miejskich trawnikach i czy rzeczywiście na spacerze nasz pies może zostać upolowany przez orła przedniego?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Na plażach tropikalnej, tajlandzkiej prowincji Phang Nga stwierdzono najliczniejszy od 20 lat wylęg żółwi skórzastych. Żółw skórzasty *Dermochelys coriacea* to największy żółw świata, dorastający przeszło 2 m długości i kilkuset kilogramów masy ciała. Jego przednie łapy zamienione są w „wiosła”, a zamiast kostnego pancerza chroni go gruba, specyficznie ukształtowana skóra. Samice tego rzadkiego gatunku składają jaja, zagrzebując je w dołkach na plażach ciepłych mórz. Resztę pracy

wykonuje rozgrzany piasek. Brak turystów, zazwyczaj tłoczących się na cudownym wybrzeżu Morza Andamańskiego, umożliwił spokojne składanie jaj, niezakłóconą inkubację i dotarcie małych żółwików do morza.

W TEJ DZIELNICY POLUJE PUMA

W kanałach Wenecji, których wody nie są obecnie mącone przez podnoszące zanieczyszczony dennoosad łodzie, pojawiły się ryby. Przyciągnęło to rybożerne kormorany i rybitwy, dla których, podobnie jak dla wydr, przejrzystość wody jest kluczową kwestią. W Santiago de Chile zjawiała się puma, którą z pobliskich gór przywabił niecodzienny spokój na ulicach. Do walijskiego miasta Llandudno przeprowadziły się kozy kaszmirskie. Do Walii sprowadzono je w XIX w. Z czasem kozy zdziczały, zasiedlając klify i wrzosowiska. Obecnie

duże stado dzikich kóz przeprowadziło się do Llandudno, zamieniając wrzosowiska na kwietniki, a skały na ulice i miejskie murki. Jeżeli kozy pozostaną w mieście do początków przyszłego roku, kiedy na świat przychodzą ich młode, sytuacja może się zmienić z incydentalnej na stan permanentny. Dla młodych kóz miasto nie będzie już czymś obcym, lecz naturalnym środowiskiem życia.

I chociaż doniesienia o orle przednim polującym na psy wyprowadzane w pewnym amerykańskim mieście na spacer nie są potwierdzone (choć istotnie orły potrafią upolować nawet wilka), to niewątpliwie liczne nietypowe obserwacje skłaniają do refleksji.

Świat był i jest układem dynamicznym, kształtowanym przez najrozmaitsze procesy zachodzące w sposób zarówno ciągły, jak i skokowy. Czy przyroda dokona w czasach pandemii nagłej

ekspansji, anektując tereny, które dotąd uważaliśmy za domenę ludzi? Czy żyjemy w przełomowych czasach?

ZNAK KURKI WODNEJ

Należy zdać sobie sprawę, że wiele spośród zaskakujących obserwacji wynika z tego, że w czasach epidemii przyglądamy się otoczeniu więcej i inaczej, inaczej też je postrzegając. Z pewnością też część zdarzeń dotyczy zmiany zachowania zwierząt, zachęconych chwilowym spokojem w miejscach pełnych dotychczas ludzi, psów i samochodów. Jednocześnie mamy do czynienia z procesami synantropizacji i synurbizacji, które zachodzą i zachodziły również wcześniej, teraz jedynie czasami bardziej się uwidaczniając.

Całkiem niedawno temu zatrzymałem się nad niedużym stawem w małym parku pomiędzy gęstą zabudową na jednym z osiedli Krakowa. Staw był właśnie czyszczony z nadmiaru osadu i woda była częściowo spuszczone. Przystanąłem więc, korzystając z okazji przyjrzenia się zakamarkom zazwyczaj ukrytym pod lustrem wody. W pewnym momencie moją uwagę zwróciły dwa ptaki, które wyłoniły się z kępy palki wodnej i spokojnie skierowały się w moją stronę. Były to kurki wodne *Gallinula chloropus*.

Kurki wodne to bajecznie ubarwione ptaki, które wyglądałyby oryginalnie i pięknie nawet na rozlewiskach brazylijskiego Pantanal. Piękne upierzenie idzie w parze z ciekawymi przystosowaniami: szczególnie uwagę zwracają bardzo długie zielonkawe palce łap, umożliwiające poruszanie się po pływającej warstwie roślinności. Jeszcze pod koniec XX w. kurka wodna była ptakiem niezwykle skrytym i ostrożnym, rzadko widywanym, kryjącym się niczym leśny duch w nadbrzeżnej gęstwinie odludnych oczek wodnych. A teraz dwa takie ptaki, nie wykazując żadnego lęku, kręciły się kilka metrów ode mnie i innych przechodniów, wygrzebując z mułu wodne bezkręgowce.

Kurka wodna to jeden z gatunków, u których obserwowany jest proces synantropizacji, czyli zajmowania siedlisk przekształconych przez człowieka, a także jego szczególnie przypa-

dek – synurbizacja, czyli zasiedlanie miast. Obecność kurek w miastach nie jest skutkiem pandemii, tak jak przytoczona, incydentalna obserwacja pumy, lecz procesem przyrodniczym zachodzącym niezależnie, a teraz na pustych osiedlach bardziej widocznym. Podobnie rzecz ma się z gołębiami grzywaczami czy sójkami, kilkadziesiąt lat temu będącymi rzadkimi mieszkańcami leśnych głusz, a dziś masowo żyjącymi w miastach, jak również z lisami, borsukami, sokołami pustułkami i wieloma innymi. W przypadku niektórych gatunków, np. zasiedlających budynki jerzyków, początków synurbizacji można szukać przed wiekami w średniowiecznych miastach, u innych, np. u dzików, jesteśmy świadkami pierwszych kroków zajmowania nowych siedlisk – czy też powrotu na tereny zajęte przez człowieka, jak można to inaczej ująć.

Przełamanie przez zwierzęta lęku przed człowiekiem jest nie tylko interesującym zjawiskiem ekologicznym, lecz także istotnym czynnikiem decydującym o przetrwaniu gatunków, pozwalającym niekiedy na przejście z kategorii „zagrożony” lub „ginący” do kategorii „powszechny”. Bocian biały, który zdecydował się na gniazdowanie w obejściach ludzkich, jest kilkudziesięciokrotnie liczniejszy od ostrożnego bociana czarnego, zakładającego gniazda w głębi lasów.

Płochliwe głuszce stały się ptakami rzadkimi. Aby je zachować, hodzi się je w wolierach i wypuszcza w odpowiednich rewirach na wolność, by wspomóc lub odtworzyć dzikie populacje. Efekty są jednak jak dotychczas niewspółmierne małe do nakładu poniesionej pracy, czynnikiem decydującym o powolnych postępach działań ochronnych jest bowiem lęk przed człowiekiem: na razie te majestatyczne ptaki skłonne są gniazdować wyłącznie w niedostępnych, bezludnych ostępach.

Z kolei plastyczna kuna domowa, decydując się na konkwistę ludzkich aglomeracji, zajmując wolną niszę, stała się najliczniejszym ssakiem drapieżnym w Polsce, podobnie jak gołębie skalne, które w momencie, gdy zamieniły skaliste półki na parapety bloków i kamienic, zdominowały awifaunę centrów miast.

TRWAŁE ODRODZENIE?

Czy jesteśmy świadkami trwałego odrodzenia się przyrody? Czy prawne ograniczenia w poruszaniu się ludzi i strach przed zarażeniem wpłyną znacząco na wzrost liczebny populacji rzadkich gatunków?

Zaskakujące obserwacje dzikich zwierząt w najmniej spodziewanych miejscach to w dużej mierze efekt tego, że spędzamy więcej czasu w domu i najbliższym otoczeniu, bardziej interesując się tym, co dzieje się wokół. Inaczej też patrzymy na świat spoza szyby, w którym wszystko wydaje się trochę inne, nietypowe, dziwne. Tak krótki, jak dotychczas, czas ograniczeń nie wpłynął bowiem w przypadku większości gatunków na wzrost liczebności (choć w przypadku np. płazów kilka tygodni zmniejszonego ruchu skutkuje dziesiątkami tysięcy żab, ropuch i traszek, które nie zostaną rozjechane, dotrą do zbiorników wodnych i rozmnożą się).

Zwierzęta, których obecność w nietypowych scenariach tak zadziwia, wyszły z ukrycia zachęczone chwilowym spokojem. Nie pojawiły się nagle znikąd, były – czasem tuż obok – również wcześniej, zepchnięte na ubocze. Pamiętam sytuacje przeciwne, kiedy nieograniczona, źle pojęta wolność ludzka spychała przyrodę na margines, w miejscach, gdzie absolutnie nie powinno to mieć miejsca. Np. rykowisko w Beskidzie Sądeckim, kiedy w piękne pogodne popołudnie daleko dookoła niesły się ryki – nie jeleni, lecz quadów i motocykli terenowych, zwielokrotnione i odbite przez zbocza gór.

Chociaż więc same obserwacje są jak na razie ciekawostką, a ich znaczenie dla natury na razie jest co najwyżej chwilowym złapaniem oddechu, jednak wniosek, jaki można z tej sytuacji wyciągnąć, jest niezwykle ważny, a konsekwencje tej nauki mogą nieść zbawienne skutki – wszystko zależy od nas. Przyroda potrzebuje naszych działań na rzecz jej ochrony, ale potrzebuje także naszej refleksji, spokoju, ciszy i wytchnienia, aby uruchomić swoje naturalne mechanizmy naprawiające straty i odbudowujące powstałe wyłomy.

Wysychanie Polski

Jeżeli nie będziemy mieli w najbliższym czasie opadów deszczu, sytuacja może się stać niebezpieczna – powiedział prezydent Andrzej Duda. Można rzec, że nieszczęścia chodzą parami i susza nałożyła się w czasie na pandemię koronawirusa. Jednak w rzeczywistości problem narasta od wielu lat. Czy możemy teraz pokonać suszę stulecia?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Informacje o czekającej nas w tym roku katastrofalnej suszy pojawiały się już w styczniu, jednak długo nie mogły się przebić do powszechnej świadomości, którą skutecznie przesłoniła pandemia koronawirusa oraz nieustające wrzenie w polskiej polityce. Dopiero niedawny pożar nadbiebrzańskich mokradeł uzmysłowił niektórym skalę zagrożenia.

Wysychają stawy i niewielkie rzeki, a ziemia w wielu miejscach zaczyna

przypominać popiół. To samo dzieje się ze ściółką leśną. Mapa zagrożeń pożarowych w Polsce jest – nie licząc wąskiego paska na wybrzeżu Bałtyku – w całości czerwona. Lasy Państwowe informują, że od początku roku do drugiej połowy kwietnia wybuchło blisko 2,7 tys. pożarów w lasach, z czego ponad 75 proc. właśnie w kwietniu. Lasy, do których niedawno uchylono zakaz wstępu związany z pandemią, są dziś ponownie zamknięte. Wielu z nas ciągle jednak nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że zamknięcie lasów to jedynie preludium i drobny kłopot w obliczu innych konsekwencji, które może wywołać nadciągająca susza.

ZNIKAJĄCE RZEKI

Susza kojarzy się przede wszystkim z gorącym klimatem, pustynią i po-

wszechnym głodem. Może się pojawić gdzieś w Sudanie lub Etiopii, ale przecież nie w Polsce, gdzie rosną lasy, płyną rzeki, a wody mamy pod dostatkiem.

Otóż to nie jest prawda. Wody mamy zbyt mało. Polska jest trzecim od końca państwem w Unii Europejskiej pod względem ilości wody przypadającej rocznie na mieszkańca (1600 m sześć.) – jest to prawie trzy razy mniej, niż wynosi średnia w UE. Owszem nie brakuje nam rzek ani jezior, jednak poziom wód ciągle spada.

Jest kilka przyczyn tego zjawiska. Pierwsza z nich ma charakter obiektywny i wynika z naturalnego ukształtowania powierzchni. Woda spływa po równinach w stronę Bałtyku, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Druga przyczyna związana jest ze zmianami klimatycznymi. Bezśnieżne, ciepłe zimy sprawiają,



że wody jest coraz mniej. Nie byłoby tego problemu, gdyby pokrywa śnieżna utrzymała się choćby przez półtora miesiąca.

Dodatkowo w ślad za brakiem śniegu idzie brak deszczu. W wielu miejscach nie padało w tym roku przez kilka tygodni. Według klasyfikacji IMiGW marzec był miesiącem bardzo suchym. O ile jeszcze w pierwszej jego połowie tu i ówdzie padało, o tyle już w drugiej opadów nie było. W kwietniu jest podobnie. Miesięczne sumy opadów są więc zdecydowanie poniżej wieloletniej normy.

Problemem jest także zbyt wysoka temperatura, która powoduje szybsze odparowanie wilgoci z gleby. Obecny rok jest już kolejnym z rzędu, w którym taka sytuacja się powtarza. Słabe opady w pierwszym kwartale 2020 r. nie pozwoliły uzupełnić niedoborów z 2019 r.

Czy oznacza to, że mamy do czynienia z – jak twierdzą niektórzy – suszą stulecia? Być może. Susza podobna do obecnej pojawiła się w Polsce m.in. w latach 30. XX w. (a wcześniej w latach 80. XIX w.). Synoptycy przypominają, że susze występują u nas cyklicznie od setek lat. „Istnieje przypuszczenie, że zjawiska te mogą być powiązane z aktywnością słoneczną, która ma wpływ na tworzenie się chmur w atmosferze. Natomiast intensywność skutków suszy – to efekt zarówno deficytów opadu, jak również istniejących warunków do retencji wody, w tym użytkowania terenu, stosowanych praktyk rolniczych, korzystania z zasobów wodnych itp.” – czytamy na stronie Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie.

Zdaniem synoptyka IMiGW Pawła Staniszwskiego obecna susza trwa już od 2015 r. „Od tego czasu każdego roku w Polsce odnotowujemy deficyt opadów i mimo iż w 2017 r. mieliśmy niewielką poprawę, to i tak niestety nie odwróciła ona ogólnej tendencji” – powiedział w rozmowie z PAP.

Rezultatem jest stopniowe obniżanie poziomu wód powierzchniowych

i gruntowych. Takie zjawisko określane jest jako susza hydrologiczna. Występuje ona dziś na Odrze poniżej ujścia Warty oraz na Warcie, Prośnie, Pilicy, Wieprzu i Bugu. Niewiele lepiej jest na Wiśle. Pomimo że nie zaczęło się jeszcze lato, w rzece ubywa codziennie 1,5 cm wody. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce pobijemy rekord z 2015 r., gdy w Wiśle na wysokości Warszawy zanotowano zaledwie 26 cm wody (!). Przy czym tamten niechlubny rekord padł dopiero pod koniec lata, a teraz możemy go osiągnąć nawet u schyłku wiosny. Jeśli taka sytuacja utrzyma się dłużej, to pod koniec wakacji rzekę będzie

Susza jest już tak silna, że aby odwrócić jej skutki, ilość opadów powinna przekroczyć o 250 proc. wieloletnią normę. Powinno więc padać bez przerwy przez niemal trzy miesiące z rzędu

można przejść suchą stopą. Gdyby miało chodzić jedynie o takie następstwa suszy, nie mielibyśmy oczywiście powodów do zmartwień, jednak te konsekwencje są znacznie poważniejsze.

GORĄCO I BEZ PRĄDU

Zbyt niskie lustro wody (nie mówiąc o jej braku) to katastrofa dla gospodarki. W Polsce aż 70 proc. dostępnej wody idzie na potrzeby przemysłu, głównie energetyki. Pozostałe 30 proc. dzieli między siebie rolnictwo oraz gospodarstwa domowe. Brak wody uderzy więc w pierwszej kolejności w elektrownie, które zostaną zmuszone do ograniczenia produkcji energii. Przerwy w dostawach

prądu uruchomią zaś kolejne kłocki domina i spowodują zakłócenia w działalności wielu zakładów przemysłowych. Ryzyko blackoutu jest tym większe, że z powodu coraz bardziej upalnego lata na masową skalę używa się klimatyzacji. Z urządzeń klimatyzacyjnych korzystają już nie tylko biura i sklepy, lecz również prywatne mieszkania. Według danych GUS w 2012 r. było 48 tys. mieszkań wyposażonych w klimatyzatory, w 2015 r. ich liczba skoczyła do 134,1 tys., aby w 2018 r. osiągnąć – zgodnie z szacunkami Open Finance – 191 tys. W rezultacie każdego lata zapotrzebowanie na prąd wzrasta o ponad 10 proc., a przeliczając to na megawaty, wyjdzie nam ok. 2 tys. MW na zasilanie samej tylko klimatyzacji.

Tymczasem w Polsce z ok. 31,5 tys. MW mocy w elektrowniach konwencjonalnych zagrożonych jest aż 9 tys. MW. Dotyczy to m.in. elektrowni Kozienice, która pobiera wodę z Wisły do chłodzenia swoich bloków energetycznych. Z powodu zbyt niskiego stanu wody i jej wysokiej temperatury (im jest mniej wody, tym staje się ona cieplejsza) dochodziło już w elektrowni do krótkotrwałych zakłóceń w produkcji energii. Dlatego zbudowano w okolicach ujęcia wody niewielką zapórę pozwalającą na spiętrzenie lustra rzeki. Jednak czy to wystarczy, gdy już dziś pojawiają się suche wyspy na Wiśle, a latem, gdy będzie jeszcze cieplej, uruchamiane masowo klimatyzatory zwiększą zużycie energii elektrycznej? Nikt tego nie wie.

Z PRAGNIENIA NIE UMRZEMY

Susza uderzy też w rolnictwo, które zużywa dziś 20 proc. wody w Polsce. Prof. Paweł Rowiński, hydrolog i wiceprezes PAN, zwraca uwagę w rozmowie z PAP na dramatyczne wysuszenie gleby. „W skali wilgotności gleb od 0 do 100 proc., gdzie 100 to największe nasycenie gleby wodą, obecnie w Polsce w wielu miejscach spadło ono do poniżej 30 proc.” – mówi.

Tymczasem już 30–40 proc. może oznaczać, że korzenie wielu roślin nie będą miały dostępu do wilgoci, co z kolei spowoduje kiepskie zbiory i pogorszenie sytuacji ekonomicznej rolników. Najgorsza sytuacja pod tym względem panuje dziś na pograniczu Wielkopolski oraz Dolnego Śląska i Śląska Opolskiego. Duży niedobór wody w glebie występuje też pomiędzy Podkarpaciem a Lubelszczyzną.

Najbardziej odczuwalnym rezultatem suszy może być zatem wzrost cen żywności. Jeśli sięgniemy po dane GUS, to się okaże, że już w 2019 r. z powodu suszy ceny detaliczne żywności wzrosły średnio o 8 proc. w stosunku do poprzedniego roku, a w przypadku warzyw gruntowych aż o ok. 20 proc. Nic nie wskazuje na to, aby w tym roku było inaczej, zwłaszcza że sytuacja się pogorszyła, a na suszę nakładają się jeszcze skutki kryzysu wywołanego przez koronawirusa: brak pracowników sezonowych, rosnące koszty produkcji oraz zerwanie międzynarodowego łańcucha dostaw.

Spadający poziom wód gruntowych i powierzchniowych nie powinien na razie zagrozić gospodarstwu domowemu, na które przypada 10 proc. zużycia wody w Polsce. Woda pitna pochodzi w 70 proc. z ujęć podziemnych, a jedynie 30 proc. z powierzchniowych (rzeki, jeziora itp.). Jak wynika z danych PGW Wody Polskie, rezerwy wód podziemnych wynoszą w tej chwili 79,3 proc., a zatem nie ma ryzyka, że zabraknie wody do picia.

Nie oznacza to jednak, że wszędzie będzie ona jednakowo dostępna. Tydzień temu minister klimatu Michał Kurtyka wyraził nadzieję, że w Polsce nie dojdzie do sytuacji, w której zabraknie wody w kranach. Jak jednak dodał, należy się liczyć z tym, że „będziemy musieli więcej wody zdecydowanie oszczędzać”. Jeśli sprawdzi się prognoza Państwowej Służby Hydrologicznej i w najbliższych tygodniach nic się nie zmieni w pogodzie, to w wielu miejscach może wystąpić tzw. niżówka hydrologiczna, czyli spadek poziomu wód podziemnych. Niewykluczone, że doprowadzi to do wysychania

studni gospodarskich oraz kłopotów z pozyskaniem wody z płytszych ujęć komunalnych.

Wody Polskie przewidują, że niżówka może punktowo wystąpić w ośmiu województwach: mazowieckim, warmińsko-mazurskim, kujawsko-pomorskim, dolnośląskim, opolskim, śląskim, lubelskim i wielkopolskim.

Sytuacja nie wygląda więc różowo. Zdaniem ministra rolnictwa musimy zacząć oszczędzać wodę: „Pomóżmy polskiej gospodarce, a także przyrodzie” – zaapelował Jan Krzysztof Ardanowski. Do apelu o racjonalne gospodarowanie wodą przyłączył się także prezydent Andrzej Duda. Chodzi o to, aby nie marnować wody pitnej np. do podlewania trawników.

PROGNOZA POGODY

Zdaniem synoptyka IMiGW Pawła Stanisławskiego susza jest już tak silna, że aby odwrócić jej skutki, ilość opadów powinna przekroczyć o 250 proc. wieloletnią normę. Inaczej mówiąc, powinno padać bez przerwy przez niemal trzy miesiące z rzędu, co jest raczej nieprawdopodobne.

Synoptyk spodziewa się wprawdzie deszczu w maju, ale potem – jeśli wierzyć tak długoterminowej prognozie – mają wrócić suche, słoneczne dni, przerywane najwyżej krótkimi, gwałtownymi ulewami, które jednak na niewiele się zdadzą, bo woda błyskawicznie ucieknie korytami rzek.

Niestety w Polsce brakuje zbiorników retencyjnych, które mogłyby zatrzymać tę uciekającą deszczówkę. W tej chwili przechwytujemy zaledwie 6 proc. wody, co jest najniższym wskaźnikiem w całej Unii Europejskiej. Dla porównania w Hiszpanii retencjonuje się ok. 45 proc. wody, ale Hiszpanom, w odróżnieniu od Polski, sprzyja znacznie większe niż u nas pofalowanie powierzchni. Według ministra klimatu Michała Kurtyki aż 73 proc. wody opadowej w Polsce wypływa albo wyparuje. „Chodzi o to, żeby tę wodę reten-

cjonować, zatrzymać. W związku z tym to jest kwestia jak największej rozbudowy małych zbiorników wodnych. Inaczej się nie da. To jest proces, który będzie obliczony na lata, to są potężne inwestycje” – wyjaśnił.

Przez wiele lat problem był zupełnie lekceważony. Właściwie dopiero w 2019 r., po kolejnej suszy, rząd przystąpił do działań. PGW Wody Polskie buduje w tej chwili 26 zbiorników retencyjnych. W ciągu sześciu – ośmiu lat ma ich powstać kolejne 100. Celem jest retencjonowanie 15 proc. wody, a w dalszej perspektywie 30 proc. Wody Polskie zainicjowały też akcję „Stop suszy”, w ramach której prowadzony jest pilotażowy program tworzenia zasobów wodnych na terenach rolniczych.

Specjalną ustawę antysusзовą dla terenów rolnych zapowiedział również minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk. W ciągu trzech lat za blisko 155 mln zł mają zostać udrożnione cieki wodne. Część tej kwoty pochłonie też modernizacja małych urządzeń wodnych.

Wiele zależy także od każdego z nas. Nie chodzi tylko o marnowanie wody na podlewanie trawników, ale o bardziej przemyślane kształtowanie otoczenia. W tej chwili miasta są zabetonowane, ale to samo dotyczy prywatnych posesji w małych miejscowościach, gdzie każdy skrawek wolnego miejsca zamieniany jest na miejsce postojowe dla kolejnego samochodu (dziś standardem jest posiadanie kilku aut, po jednym na każdego dorosłego członka rodziny). Beton nie tylko nagrzewa powietrze w upalne dni, lecz uniemożliwia również wchłanianie wody deszczowej, która odparowuje lub znika w kanalizacji i ucieka do rzeki.

Na polach nie należy wycinać pojedynczo rosnących drzew, bo każde z nich zwiększa wilgotność gleby, a równo skoszone trawniki należy zastąpić kwiatnikami, które zużywają mniej wody. Oczywiście nikt nikogo do niczego nie zmusza. Ale nie powinno się potem narzekać na blackout i drożyznę.

Wystarczy tylko iskra

Czy wybuch pandemii koronawirusa doprowadzi do przyspieszenia konfrontacji wolnego świata z Chinami i ich sojusznikami? Analitycy nie mają wątpliwości: zapalne punkty krytyczne zostały przekroczone. Na jakich polach już dochodzi do globalnego starcia? Czy konflikt militarny jest nieunikniony?

Jak to się stało, że w lipcu 1914 r. wybuchła I wojna światowa? Nie chodzi o bezpośrednie przyczyny, bo te są znane, ale o mechanizmy, które skłoniły elity państw biorących w niej udział do podjęcia ryzyka i rozpoczęcia działań wojсковych. Oczywiście w części stało się tak, bo nie posłuchano proroctw naszego rodaka Jana Blocha, który w swym erudycyjnym siedmiotomowym dziele, wydanym zresztą w większości państw europejskich, dość trafnie przewidział, że jeśli wojna wybuchnie, to nie będzie, jak naiwnie sądzono, serią brawurowych manewrów i decydujących bitew, trochę na kształt ożywiających wyobraźnię wojen napoleońskich. Bloch, który zmarł w 1902 r., był zdania, że ówczesna Europa raczej będzie świadkiem wieloletnich, toczonych w błocie i okopach walk pozycyjnych, w których nie tylko zginą setki tysięcy żołnierzy, często nie mając nawet fizycznego kontaktu z przeciwnikiem, a o jej rozstrzygnięciu przesądzi nie finezja generałów, lecz wydajność przemysłu i gospodarek zmagających się państw.

Pytanie o to, co wówczas, a generalnie i obecnie, powoduje, że państwa decydują się na rozpoczęcie wojny, jest nadal aktualne. Rand, wielki amerykański think tank, pierwotnie powiązany z armią, obecnie już cywilna instytucja, postawił to pytanie w kontekście jak najbardziej współczesnym, zastanawiając się, czy grozi nam w XXI w. nowa wielka wojna. Zdaniem badaczy, którzy uważają, że konflikt zbrojny mię-



MAREK BUDZISZ

dzy Stanami Zjednoczonymi a Chinami wybuchnie jeszcze w tym dziesięcioleciu, decydujące znaczenie o prawdopodobieństwie takiego scenariusza ma nie rosnący potencjał „nowego gracza” na arenie międzynarodowej, w tym wypadku Chin, ale zupełnie nowy, niedostrzegany czynnik. Oczywiście potencjały państw mają znaczenie i nikt tego nie kwestionuje, jednak

kluczowe jest to, że przychodzi taki historyczny moment, kiedy elity przywódcze państw nie widzą, poza wojną, innego wyjścia z sytuacji. Wielkie konflikty, i tak było zdaniem autorów raportu w przypadku I wojny światowej, wybuchają wówczas, kiedy do takiego samego wniosku dochodzą przywódcy wielu państw niemal w tym samym czasie.

PRZESILENIE

Najczęściej zmiana polityki następuje nie wtedy, kiedy wszystko idzie dobrze, ale wówczas, kiedy wieloletni trend rozwoju danego państwa ulega zachwianiu lub załamaniu. Tak było w przypadku Chin, które po 2013 r. zaczęły uprawiać znacznie bardziej asertywną politykę niż wcześniej, kiedy rozpoczynały realizację idei Pasa i Szlaku, przyspieszały zbrojenia czy przystąpiły do usypywania sztucznych wysp na Morzu Południowochińskim. Jednak ta zmiana nastąpiła nie dlatego, że chiński potencjał gospodarczy i wojskowy na tyle wzrósł, że Pekin mógł sobie na taką zmianę

pozwoić. Rósł on przecież szybko także wcześniej i gdyby Chiny kontynuowały zalecaną przez Deng Xiaopinga politykę „strategicznej cierpliwości”, to – będąc największym beneficjentem globalizacji – mogłyby tylko na tym wygrać. Jednak nastąpiło odejście od tej strategii na rzecz bardziej agresywnej polityki. Dlaczego?

Otóż zdaniem badaczy w tym właśnie czasie dało się zauważyć pierwsze sygnały wyczerpywania się chińskiego modelu gospodarczego. Rozwój był nadal niesłychanie, jak na europejskie warunki, szybki, ale już nieco wolniejszy. I taki moment, kiedy coś w dobrze funkcjonujących organizmach zaczyna się psuć, badacze określają mianem „punktów krytycznych”. Przed I wojną światową wszystkie państwa europejskie, z różnych zresztą powodów, znajdowały się w sytuacji takich „punktów krytycznych”. Charakteryzują się one tym, że elity państwowe zmuszone są do podejmowania trudnych wyborów strategicznych, działając w sytuacji niewiedzy czy braku informacji. Analitycy Randu, pisząc swój raport jeszcze przed wybuchem pandemii COVID-19, dochodzą do wniosku, że obecnie następuje podobny zbieg niekorzystnych okoliczności, modele rozwojowe wielu państw, w tym głównych globalnych graczy, zaczynają być niewydolne i „trzeba coś zrobić”. Problem w tym, że nie bardzo wiadomo co.

WIRUSOWY KATALIZATOR

Pandemia COVID-19, zdaniem wielu analityków i polityków, doprowadzi przede wszystkim do przyspieszenia rysujących się już wcześniej trendów, a w związku z tym będzie przez historyków uznana za katalizator nadchodzących zmian. Jeśli ta teza jest uzasadniona, to czy oznacza, że wojna amerykańsko-chińska wybuchnie szybciej?

James Carafano, wiceprezes wpływowej amerykańskiej Heritage Foundation, jest przekonany, że wracamy do czasów, kiedy rywalizowały będą z sobą, nieraz tocząc konflikty w państwach peryferyjnych, dwa główne bloki polityczno-wojskowe. Jeden, który określa on mianem Wolnego Świata, zbudowany winien zostać wokół Stanów Zjednoczonych i bronić wspólnych wartości cywilizacji Zachodu, nie zapominając oczywiście o własnych interesach. Amerykańskim bastionem, bo do takich wojskowych porównań się ucieka, ma być sojusz z Meksykiem i Kanadą. Współpraca za czasów Trumpa między tymi krajami, kiedy pozostawi się z boku retoryczne utarczki, ma się lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości. Innym elementem tego nowego bloku czy światowego porozumienia winny być państwa europejskie, bo jak zauważa Carafano, „waga więzi atlantyckich jest większa niżli kiedykolwiek”, oraz państwa Azji Południowo-Wschodniej obawiające się chińskiej dominacji (np. Wietnam i Malesja)

i oczywiście grupa Quad, w której skład obok USA wchodzi Indie, Australia i Japonia. To jest kształt wolnego świata, który wszędzie, w wymiarze globalnym, będzie się zmagał z Chinami i sojusznikami Pekinu.

POLA KONFRONTACJI

Jakie mechanizmy i narzędzia będą w użyciu? Niektóre już możemy obserwować – jest nim narastająca wojna narracyjna między Pekinem a Waszyngtonem o odpowiedzialność za pandemię. Tu nie chodzi wyłącznie o słowa, ale również o możliwość domagania się odszkodowań. Dlatego dyplomacja chińska niezwykle ostro i alergicznie reaguje na wypowiedzi polityków, którzy tak jak kandydujący do Senatu z Nowego Meksyku Gavin Clarkson domagają się, aby USA natychmiast przestały obsługiwać swe obligacje znajdujące

się w posiadaniu Państwa Środka, a następnie w ramach odszkodowań za pandemię je po prostu anulowały. W podobny sposób Pekin krytykuje artykuły prasowe, jak choćby opublikowany niedawno w niemieckim „Bildzie” „rachunek” na 142 mld euro, jaki Berlin za pandemię winien wystawić Chinom.

Rywalizacja toczyła się będzie również o kontrolę nad instytucjami międzynarodowymi. Wezwanie Marisy Payne, australijskiej minister spraw zagranicznych, aby przeprowadzić międzynarodowe śledztwo na temat początków pandemii COVID-19 oraz podtrzymanie zastrzeżeń Białego

Domu wobec Światowej Organizacji Zdrowia, jest tylko wstępem do tego, co możemy obserwować w przyszłości.

Nawet tradycyjnie sceptyczna wobec amerykańskiej polityki Francja ustami swego prezydenta wzywa, mając na myśli pandemię COVID, abyśmy „Nie byli tacy naiwni, aby mówić, że [Chiny] lepiej sobie z tym poradziły. Nie wiemy. Są z pewnością rzeczy, które się tam wydarzyły i o których nie wiemy”. Warto zwrócić uwagę, że Macron w swym wywiadzie dla dziennika „Financial Times” buduje generalną wizję podziału świata na, z grubsza rzecz biorąc, obóz wolności i obóz autorytaryzmu. Kto w tym ostatnim będzie rozdawał karty, wiadomo. Dyskusje i kontrowersje, nieraz ostre, w świecie kolektywnego Zachodu dziś dotyczą bardziej tego, w jaki sposób stworzona zostanie jego wewnętrzna architektura, a nie samej celowości jego zespolenia.

Pierwszym polem realnego starcia będzie z pewnością gospodarka. Zresztą te procesy już się zaczęły. Z raportu opublikowanego przez globalną firmę doradczą Kearney wynika, że porównując rok 2019 do 2018, amerykański import towarów przemysłowych z 15 badanych krajów azjatyckich spadł o 7,2 proc., łącznie o 59 mld dol. Jednak bardziej szczegółowa analiza wskazuje, że firmy ze Stanów Zjednoczonych masowo

zaczęły wycofywać się z Chin, przenosząc swoją produkcję do Wietnamu oraz Meksyku, które są głównymi wygranymi tego trendu. Amerykański import z Chin spadł o 90 mld dol. Jeżeli COVID-19 spowoduje przyspieszenie tego zjawiska, to jego skutki będą dla chińskiej gospodarki fatalne.

Rząd Japonii ogłosił, że będzie dopłacał rodzimym firmom, o ile te zdecydują się wrócić z Chin do kraju. Wypowiadane powszechnie tezy o zmianie preferencji w zakresie bezpieczeństwa, skracaniu łańcuchów dostaw, ograniczaniu zbyt rozbudowanej kooperacji, potrzebie odbudowy zasobów i możliwości w strategicznie ważnych sektorach, w tym bezpieczeństwa żywnościowego, w prosty sposób prowadzą do tego, że Chiny przestaną być fabryką świata albo będą nią w znacznie mniejszym stopniu niżli dotychczas. Koncentracja na bezpieczeństwie żywnościowym oznacza z kolei, że Chiny (największy światowy importer żywności) będą musiały się mierzyć z narastającymi trudnościami w pokryciu zapotrzebowania swego ponadmiliardowego społeczeństwa. W ten sposób Pekin może być wzięty niejako w dwa ognie, a chińskie elity zmuszone do reagowania na spadające tempo wzrostu gospodarczego i narastające bariery administracyjne w międzynarodowej wymianie handlowej.

O wpływie świata finansów, nadal kontrolowanego przez Stany Zjednoczone i dolara, który przez wielu uznawany jest wręcz za najważniejszy oręż, jakim dysponuje Waszyngton, w tym kontekście też nie możemy zapominać.

MORSKIE PODCHODY

Jak to wygląda z perspektywy wojskowej? O dzisiejszych emocjach najlepiej chyba świadczy to, że na stronie internetowej US Naval Institute ukazał się niedawno artykuł, którego autor proponuje reaktywowanie przez USA instytucji korsarstwa. Współcześni naśladowcy Francis Drake'a, rekrutowani z grona somalijskich piratów, mieliby otrzymywać amerykańskie „listy korsarskie” po to, aby łupiąc statki handlowe na Oceanie Indyjskim, zakłócać chińskie kanały zaopatrzenia. Ostatni raz z podobnej instytucji Stany Zjednoczone korzystały w czasie II wojny światowej.

Chiny nie zamierzają wcale ustępować. W czasie kiedy amerykańskie lotniskowce działające na Pacyfiku (przykładowo „Teodor Roosevelt”) w związku z wybuchem epidemii wśród ich załóg musiały zawinąć do portów, chiński „Liaoning” jest jedynym okrętem tej klasy w regionie i nie zamierza zredukować swej aktywności, wręcz przeciwnie. Wraz

z grupą pięciu chińskich okrętów wojennych rozpoczął prowokacyjne ćwiczenia nieopodal Tajwanu. Zaobserwowano też wzmogłą aktywność chińskiego lotnictwa wojskowego w okolicach tej wyspy.

Ale to niejeden przykład wzrostu asertywności chińskiej armii w ostatnich dniach. Chiński statek badawczy „Haiyang Dizhi”, któremu towarzyszyły kutry ochrony, znalazł się na obszarach wód przybrzeżnych Wietnamu i Malezji uznawanych przez obydwa kraje za swe wyłączne strefy ekonomiczne, na których zresztą malezyjska firma Petronas prowadzi prace poszukiwawcze złóż ropy naftowej. Wykonywał tam manewry, które zdaniem specjalistów mogły oznaczać, że zamierza rozpocząć tam badania geologiczne. Zmusiło to, jak informuje ukazujący się w Singapurze dziennik „The Straits”, Stany Zjednoczone i Australię do wysłania w ten rejon swoich okrętów wojennych.

Na początku kwietnia chińskie okręty ochrony wybrzeża zatopili wietnamską łódź rybacką, która wpłynęła na sporne akweny wokół archipelagu Hoang Sa na Morzu Południowochińskim. Zdaniem wietnamskiego MSZ ta nielegalna akcja chińskiej straży granicznej stanowiła zagrożenie życia i zdrowia załogi zatopionego kutra.

Kelsey Broderick, analityk ds. Chin w Eurasia Group, powiedziała amerykańskiej stacji telewizyjnej CNBC, że „Chiny swymi działaniami mogą z jednej strony wysyłać sygnał do innych państw będących stronami sporów terytorialnych, że nie ustąpią w żadnych okolicznościach, a z drugiej strony dać w ten sposób do zrozumienia własnemu narodowi, że kierownictwo partyjne i państwowe jest silne i panuje nad sytuacją”.

Mamy zatem wybuchowy koktajl. Nieuchronna konfrontacja, wojny narracyjne, rwące się więzi kooperacyjne. Dwa rywalizujące z sobą bloki, mające wobec siebie pretensje, a czasem szczerze się nienawidzące. Obydwa uzbrojone i rządzone przez elity, które wiedzą, że czas nie pracuje na ich korzyść i „coś trzeba zrobić”. Wszystko to razem może uruchomić scenariusz walki o obszary peryferyjne, które trzeba będzie kontrolować nie tylko ze względów strategicznych, lecz również po to, aby móc tam sprzedawać swoją produkcję czy zaopatrywać się w żywność i surowce.

Już w 1892 r. grupa ówczesnych analityków zaproszona do współpracy przez brytyjską gazetę uważała, że wielka wojna wybuchnie na Bałkanach od zamachu na cesarza austro-węgierskiego. Mocarstwa zostaną zaś w nią wciągnięte przez mniejszych graczy. Czy pandemia COVID-19 stworzy warunki do powtórzenia się tego scenariusza w wymiarze światowym? Czy pozostaje nam tylko czekać na iskrę? 



WŁĄCZ KANAŁ

W POLSCE.PL



NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

Obyśmy dobrze wykorzystali ten czas

Jak doświadczenie pandemii wygląda z szerokiej perspektywy: USA i Beninu, Polski? Piotr Słabek rozmawia z **Jakubem Hilerem**, kapłanem ze zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Wincentego à Paulo

Na stałe jest ksiądz duszpasterzem w Beninie w zachodniej Afryce, ale od 18 lutego przebywa w Nowym Jorku. Jak ksiądz odbiera sytuację związaną z pandemią w Ameryce i Afryce?

Jakub Hiler: Przyleciałem do Stanów Zjednoczonych z zamiarem wygłoszenia rekolekcji wielkopostnych dla mieszkających tutaj Polaków. Od tego czasu przebywam przede wszystkim na terenie stanów Nowy Jork i Connecticut. W obu sytuacja wirusowa jest bardzo zła, najgorzej jest jednak w samym Nowym Jorku, gdzie na stosunkowo małym obszarze mieszka miliony ludzi. Connecticut to jeden z najmniejszych stanów w USA, ponad 20 razy mniejszy od Polski, a zachorowań (kiedy rozmawiamy) jest znacznie więcej, już prawie 24 tys. na ok. 3,5 mln mieszkańców, ponad 1,7 tys. osób zmarło. W Polsce sytuacja wygląda lepiej. Wydaje się, że dzięki obostrzeniom, zakazom i ograniczeniom zachorowań i zgonów jest dużo mniej.

Benin, i w ogóle Afryka, to zupełnie inna rzeczywistość. Obecnie w kraju są 54 potwierdzone przypadki, natomiast liczba chorych może być wyższa. Na pewno nie każdy Benińczyk, który ma

objawy, zgłasza się do szpitala. Trzeba zrozumieć, że znaczna część Afrykańczyków w ogóle nie chodzi do szpitali, ośrodków zdrowia ani lekarzy, m.in. dlatego mamy tak dużą śmiertelność, jeżeli chodzi o malarię, która nieleczona może prowadzić do śmierci. Powodów jest dużo: bieda, brak zaufania dla lekarzy.

Czy w Ameryce lęk i obawy dotyczą bardziej zdrowia czy spraw materialnych? Jak do epidemiologicznego zagrożenia odniósł się rząd federalny, a jak lokalne władze?

Wydaje mi się, że podobnie jak na całym świecie lęk i obawy dotyczą zarówno teraźniejszości, jak i przyszłości. Na początku pandemii dominował strach przed chorobą. Obecnie ludzie boją się utraty pracy, kryzysu finansowego, po prostu biedy. Żaden kraj na świecie nie był dobrze przygotowany na obecną sytuację, dlatego strach jest czymś naturalnym. Ale Amerykanie są urodzonymi optymistami. Wierzą, że na pewno uda się wyjść z tej sytuacji obronną ręką.

Na początku epidemii zagrożenie zostało zbagatelizowane przez rząd federalny. Kiedy wykryto pierwsze przypadki zarażenia wirusem COVID-19 na terenie USA, nie podjęto natychmiastowych działań. Amerykańskie



społeczeństwo jest bardzo otwarte, a co za tym idzie – nie lubi ograniczeń wolności, zakazów gromadzenia się, przemieszczania. Rząd długo nie zdecydował się na radykalne kroki. Pamiętam artykuł z pierwszej strony jednego z nowojorskich dzienników, z poniedziałku 2 marca, zatytułowany „It's here!” („Jest tutaj!”). Wtedy właśnie pierwsza osoba na Manhattanie uzyskała pozytywny wynik testu na koronawirusa (była to kobieta, która wróciła z Iranu). Od tego czasu rząd zaostrzył walkę z koronawirusem.

Stany Zjednoczone są jednak krajem, gdzie bardzo dużo zależy od władz poszczególnych stanów, wiele decyzji musi być podejmowanych przez gubernatorów. Dlatego też rozwój sytuacji epidemiologicznej jest inny tam, gdzie gubernatorzy zareagowali dość szybko, wprowadzając obostrzenia, a inny tam, gdzie na te decyzje trzeba było długo czekać.

System opieki społecznej udźwignie w USA nowe wyzwania związane z ubóstwem i biedą?

Na pewno tak. Chociaż trudności nie będzie brakować. Być może bogate społeczeństwa przyzwyczaiły się do życia na zbyt wysokim poziomie, ponad stan, i trzeba będzie zacisnąć pasa? Zapewne będzie trzeba zwrócić uwagę na najbardziej potrzebujących. Mnóstwo ludzi w Ameryce już straciło pracę, wielu pewnie straci ją w najbliższym czasie.

Jak w obecnej sytuacji Amerykanie i Polonia postrzegają Kościół i jego rolę?

Nie wydaje mi się, żeby podejście Amerykanów czy Polonii w tej kwestii różniło się jakoś znacząco od podejścia rodaków w ojczyźnie czy w ogóle katolików. Kościół jest powołany do tego, by służyć i by nieść Ewangelię całemu stworzeniu, zawsze i wszędzie.

Ten cel, tę misję Kościół musi realizować. Społeczeństwo amerykańskie jest wielokulturowe, a co za tym idzie – także wielowyznaniowe. Kościół ma być z ludźmi i dla ludzi, zawsze i wszędzie. Ludzie potrzebują czuć się we wspólnocie, wspierani przez Kościół. A Kościół powinien dać

ludziom w tych czasach pociechę i przekonanie, że jest ustanowiony przez Chrystusa, zbudowany na Chrystusie i że On jest zawsze z Nim i w Nim, powtarzam – niezależnie od okoliczności.

Kościół nie zawiesił swojej działalności! Chociaż kościoły w wielu stanach, w tym w Nowym Jorku, są zamknięte do odwołania, to Kościół katolicki podejmuje wiele inicjatyw duszpasterskich. Pewnym standardem stały się już transmisje online nabożeństw, mszy św., adoracji Najświętszego Sakramentu. Myślę, że prawie każda parafia podejmuje tego typu działalność w internecie. Kapłani pracujący w jednej z parafii na Brooklynie niedawno wyjechali na ulice Nowego Jorku, żeby pobłogosławić wiernych Najświętszym Sakramentem. Robiło to mocne wrażenie: Jezus na ulicach największego miasta Ameryki, błogosławiący ludzi... Czysta Ewangelia!

W wielu mediach, zwłaszcza francuskich – ale takie prognozy przedstawia też WHO – pojawia się informacja, że największym problemem za pewien czas będzie niekontrolowany rozwój pandemii w ubogiej i praktycznie pozbawionej służby zdrowia Afryce. Co sądzi ksiądz na ten temat?

Oczywiście, że istnieje takie ryzyko. Stwarzają je brak dobrej służby zdrowia, wyposażonych szpitali, wykwalifikowanych lekarzy. Afryka niestety często postrzegana jest przez świat jako kontynent trzeciej kategorii, którego problemy nas nie dotyczą. Epidemie mają to do siebie, że ich rozwój naprawdę trudno przewidzieć. Gdybyśmy dwa miesiące temu wiedzieli to, co wiemy dzisiaj – jakże inny byłby świat! Mam nadzieję, że Afryka nie odczuje skutków tej pandemii.

Czy w kontekście kultury w Beninie łatwo będzie w czasie pandemii przekonać tamtejszą społeczność do zasad tzw. dystansowania się, unikania spotkań rodzinnych i plemiennych? Czy niewidzialny wirus może być dobrą motywacją do zachowania zasad bezpieczeństwa?

Na pewno tak, choć nie będzie łatwo. Benińczycy są bardzo otwarci, rodziński, uwielbiają się odwiedzać i spędzać ze sobą czas. Szkoły i miejsc kultu, jak kościoły czy meczety, są w Beninie zamknięte do 10 maja. Nie przeszkadza to jednak ludziom gromadzić się na targach, uroczystościach plemiennych...

Czymś istotnym na pewno jest tłumaczenie potrzeby stosowania zasad bezpieczeństwa. Warto jednak wspomnieć, że mnóstwo Afrykańczyków w ogóle nie wierzy w coś takiego jak wirus! Bardzo trudno im to wytłumaczyć. Są w większości przekonani, że choroby spowodowane są przez złe duchy albo przez klątwę – chorują, bo ktoś im nienawidzi i za pomocą szamana imnie przeklął. Dlatego chorują. Takie przekonanie powoduje, że trudno jest nakłonić ludzi, żeby z chorym dzieckiem poszli do szpitala czy ośrodka zdrowia. Mówię oczywiście o prostych ludziach zajmujących się rolnictwem czy wypasem bydła, bo na pewno dobrze zorientowanych i rozumiejących sytuację i zagrożenie Benińczyków nie brakuje. Niestety są oni w mniejszości.

Tradycyjne wierzenia w pewien sposób są problemem, chociaż wydaje mi się, że Benińczycy są bardzo otwarci na Ewangelię. Ja pracuję wśród plemienia, które nazywa się zwyczajowo Bariba. Dzisiaj są już księża, siostry zakonne, nawet biskupi z tego plemienia, liczbę wiernych katolików można liczyć w dziesiątkach, jeśli nie w setkach tysięcy... a ewangelizacja tych terenów zaczęła się dopiero kilkadziesiąt lat temu!

Wydaje mi się, że ludziom w Afryce nie trzeba tłumaczyć, że Bóg jest, że się nami opiekuje, że ma wpływ na nasze życie... oni to rozumieją jakoś naturalnie. Pewnie dużo trudniej byłoby komuś, kto chciałby Benińczyka przekonać do tego, że Boga nie ma.

Często mówi się, że Afryka jest nadzieją i przyszłością Kościoła. Jak należy rozumieć te słowa? Jakie pozytywne wartości niesie z sobą kultura plemion z Beninu?

Kiedy mieszkałem jeszcze w Polsce, pewnego dnia zwróciłem uwagę na

tytuł okładki jednego z tygodników katolickich: „Serce Kościoła bije w Afryce”. Na początku tego nie rozumiałem. Wydawało mi się logiczne, że serce Kościoła bije w Rzymie, gdzie są papież i Stolica Apostolska. Zrozumiałbym, gdyby ktoś napisał, że serce Kościoła bije w Jerozolimie. Ale w Afryce? Nie mieściło mi się to w głowie! Teraz, kiedy od kilku lat tam pracuję, rozumiem to lepiej... To kontynent ludzi, którzy naprawdę wiarę i Pana Boga stawiają w centrum życia, na pierwszym miejscu! Powołań kapłańskich jest tutaj coraz więcej, Kościół jest żywy i rozrasta się, chrześcijan przybywa!

Jak już mówiliśmy, Afryka boryka się z wieloma poważnymi problemami gospodarczymi, mentalnymi czy organizacyjnymi, ale ma również wiele pięknych stron! Mógłbym długo mówić o zaletach mentalności Beninczyków, wspomnę tylko o najważniejszych. Po pierwsze, jest to zaangażowanie świeckich w życie Kościoła. Ludzie wiedzą, że my – chrześcijanie – tworzymy Kościół i jesteśmy za niego odpowiedzialni. W Polsce jest chyba trochę inne myślenie, które obarcza wszelką odpowiedzialnością księdza proboszcza. Po drugie, radość! Modlitwa, Eucharystia, pielgrzymka – to zawsze okazje do wyrażania radości i do dzielenia się nią z innymi poprzez taniec, śpiew, nierzadko wspólny posiłek. Po trzecie, otwartość w relacjach. W Afryce ktoś, kogo widzi się po raz pierwszy, od razu jest przyjacielem. Tych wartości jest naprawdę wiele!

Jak można obecnie interpretować zjawisko zarazy?

Na taką interpretację jest chyba jeszcze za wcześnie. Choroby, wirusy, epidemie istniały zawsze i prawdopodobnie nie wyeliminujemy ich z naszego życia. Jestem daleki od myślenia, że epidemia czy wirus są łaską dla dzisiejszego świata. Nie! Są czymś złym. Kiedy patrzy się na cierpienie ludzi, na ciała wywożone ciężarówkami ze szpitali w Nowym Jorku, na śmierć w samotności, to jest się dalekim od stwierdzenia, że to łaska. Natomiast myślę, że na pewno żyjemy w czasie, który nazwać by można „czasem łaski



dla świata”. Świat się zmienia, nie będzie już taki sam. My też nie. Obyśmy dobrze wykorzystali ten czas, który w sensie duchowym może nam przynieść wiele dobrego!

Jaki będzie Kościół po epidemii? Co zaoferuje wiernym? Czy po obecnych przeżyciach coś w ludziach może się zmienić?

Trudno już dzisiaj odpowiedzieć na to pytanie. Chciałbym, żeby był to Kościół bliski ludziom, żeby był to Kościół, który jednocy, który głosi Ewangelię – czyli robi to, do czego został powołany przez Jezusa. Kościół nie ma nic do zaoferowania wiernym ponad relację z Panem Bogiem i pewnie dobrze by było, żeby Kościół po epidemii był na tym skupiony.

Podchodzę do całej tej sytuacji w duchu wiary, więc mam głęboką nadzieję, że dużo się zmieni, i to na lepsze! Dobrze byłoby, gdyby ludzie dostrzegli, że potrzebują Pana Boga, a On wciąż ich szuka. To próba wiary, z której musimy wyjść zwycięsko!

Doświadcza ksiądz dwóch bardzo odmiennych kultur i światów.

Z jednej strony nowoczesny, bogaty i bardzo zagęszczony Nowy Jork, z drugiej strony mały, ubogi, żyjący w świecie lokalnych, często magicznych, tradycji Benin. A jakie są różnice i podobieństwa tamtejszych wspólnot chrześcijańskich?

Zgadza się, to dwa radykalnie różne światy! Wsiadając w południe w samolot w Beninie, a wysiadając w Stanach tego samego dnia wieczorem, ma się wrażenie, że ogląda się film! Różnic jest mnóstwo, ale myślę, że dzisiaj w Kościele musimy skupiać się na tym, co nas łączy. Jest jedna Ewangelia, to samo Słowo Boże czytamy w Nowym Jorku, Rzymie i w najmniejszej z afrykańskich wspólnot. Ten sam Jezus mówi nam dzisiaj, żebyśmy byli jednym! I podobnie to rozumiemy, bo my – chrześcijanie – nie żyjemy dla siebie! Pragnienie miłości jest to samo (choć Amerykanie, Polacy i Beninczycy inaczej je wyrażają), pragnienie Boga jest to samo! To nam wszystkim pokazuje, że nie ma innego Kościoła w Beninie, innego w Nowym Jorku, innego w Polsce. Wszyscy jesteśmy razem, musimy być razem – bo o to prosi nas i o to modli się Jezus!

K

ULTURY

W pierwszej kwarantannowej produkcji TVP „Będzie dobrze, kochanie” Wiktoria Gąsiewska gra sympatyczną i śliczną Justynę, której pandemia może pokrzyżować weselne plany. Bohaterkę wspierają rodzina i przyjaciele. Aktorce towarzyszą też znakomici koledzy ze specyficznego planu

Nie ma jak rodzinka

Fot. OLIGIERO MICHALAK



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W marcu skończyła 21 lat, ale zawodowym doświadczeniem mogłaby obdzielić niejedną młodą aktorkę. Rozpoznawalność przyniosły jej role w serialach „Rodzina zastępcza”, „Pierwsza miłość”, „Rodzinka.pl” (2012–2020) czy w „Barwach szczęścia” (od 2017). Dorastała na ich planach. W sumie zagrała w kilkunastu wieloodcinkowych produkcjach.

Na koncie ma też udział w głośnych kinowych tytułach. Zadebiutowała jako niespełna siedmiolatka w „Jasminum” Jana Jakuba Kolskiego. Trzy lata później reżyser zaprosił ją do kolejnego filmu – „Afonia i pszczoły”. Jej nazwisko pojawia się też w obsadzie „Katynia” Andrzeja Wajdy (tu miała osiem lat) czy „Baby Bump” (16 lat). Sporo mówiło się o jej najnowszej roli w horrorze „W lesie dziś nie zaśnie nikt”, który nie zdążył już wejść do kin z powodu pandemii (na planie spotkała podobnie popularną równolatkę Julię Wieniawę).

Dwa lata temu w programie „Taniec z gwiazdami” zajęła dziewiąte miejsce. Rok później, z Adamem Zdrójkowskim, partnerem z planu „Rodzinki.pl” i w prywatnym życiu, wygrała pierwszą edycję show „Dance, Dance, Dance”. Nagrodę przekazali na rzecz fundacji Ewy Błaszczyk Akogo?, natomiast statuetkę – w bardzo ładnym geście – ofiarowali drugim na podium siostrze Kazadi.

NA DOMOWYM PLANIE

Przed premierą serialu „Będzie dobrze, kochanie” – emitowanego w czwartkowe i piątkowe wieczory w telewizyjnej Dwójce – spytałam Wiktorie Gąsiewską o wrażenia z tak nietypowej produkcji.

– Kiedy zaproponowano mi udział w tym projekcie, ucieszyłam się, choć trudno było mi uwierzyć, że serial realizowany dla telewizji można nagrać w zaciszu

swojego domu, a wszystkich pozostałych aktorów będę widziała jedynie poprzez komunikator internetowy – mówi. – Nie sądziłam też, że aktor może równocześnie pełnić funkcje tyłu osób z ekipy filmowej, od makijażystki i fryzjerki począwszy, poprzez scenografa, a kończąc na oświetleniowcu, operatorze kamery i dźwiękowcu.

Na szczęście nad wszystkim (również online) czuwa reżyser.

Jak wygląda nagrywanie serialu? – Każdego dnia rano mamy za zadanie przygotować się do nagrań od A do Z. Kiedy już jesteśmy gotowi, następują próby z aktorami występującymi w danej scenie. Następnie nagrywamy materiał. Musimy pamiętać nie tylko tekst, ale też o włączeniu nagrywania zarówno obrazu, jak i dźwięku. Jesteśmy przy tym zależni od internetu, a ten czasem lubi płatać figle.

JAK RYBY W WODZIE

Wiktorie jest pod wrażeniem, jak z komunikatorami radzą sobie starsi członkowie aktorskiej rodziny. – Chciałoby się rzec – jak ryby w wodzie – uśmiecha się. – Nie ma potrzeby nikomu pomagać, to ja raczej zawsze chętnie korzystam z podpowiedzi, choćby mojej serialowej mamy.

Wciela się w nią, pokazując swoje vis comica, Ilona Ostrowska. Wiktorie poznała ją na planie online. Podobnie jak Dorotę Chotecą, Tomasza Sapryka i Bożenę Dykiel. Z serialową Ewuś, czyli Anną Dereszowską, spotkały się przy okazji nagrań do świątecznego odcinka „Szansy na sukces”. Podczas „Wielkiego testu” miała możliwość porozmawiania z obecnym serialowym tatą Jackiem Lenartowiczem. Z reżyserem Bartkiem Kubera pracowała przy widowisku TVP „Wolność we krwi”, a Filipa Gurlacza poznała podczas zdjęć próbnych do serialu. – Jest bardzo zdolnym aktorem i ma duże poczucie humoru – zapewnia.

UCZUCIE BRONI SIĘ SAMO

Historia Justyny i jej narzeczonego rozpoczęła się w chwili, w której Artur dowiedział się, że z powodu pandemii

nie uda mu się wrócić z Australii, gdzie miał zapracować na zaplanowane, już za miesiąc, ślub i wesele.

– W pierwszej chwili pomyślałam, że taka sytuacja z pewnością budzi duże emocje, ale osoby borykające się z podobnym problemem powinny być, mimo wszystko, dobrej myśli – uważa Wiktorie. – Na pewno mają teraz sporo czasu na rozmowy i przekonanie się, czy mogą na siebie liczyć w trudnych chwilach. Może nawet odkryją w sobie nowe cechy. Zdaniem aktorki szczere uczucie samo się obroni, a więzi wzmocnią się, nawet jeśli kochający się ludzie są daleko od siebie.

NA WAGĘ ZŁOTA

Wiktorie ma nadzieję, że kiedy epidemia się skończy, ze wszystkimi aktorami i ekipą produkcyjną zorganizują spotkanie na żywo, by jeszcze raz się poznać i porozmawiać normalnie.

Tymczasem zachęca do oglądania serialu. Zwłaszcza tych, którzy mają już dość sytuacji związanej z epidemią i wszelkimi wynikającymi z tego ograniczeniami. – „Będzie dobrze, kochanie” ma lekką formułę, pozwalającą oderwać się na chwilę od rzeczywistości. W zabawny sposób przedstawia rodzinną sytuację i to, jak poszczególni jej członkowie radzą sobie w tym trudnym czasie. Serial ma na celu przede wszystkim wnieść trochę radości wśród widzów, a to wydaje się obecnie cenniejsze od złota.

Nie zamykaj firmy. Przenieś ją do internetu!

Choć powoli wykukują się plany odmrażania gospodarki, jeszcze jakiś czas pozostaniemy w domach, a kto może, będzie pracować zdalnie. By chronić naszych bliskich oraz słabszych, jesteśmy skazani na przeniesienie większości naszej codziennej aktywności do internetu

To internet pozwoli też przeżyć tym firmom, które dadzą mu szansę. Dla wielu będzie to jedna z szans, dla jeszcze większej liczby mikro i małych firm jedyna. Zwłaszcza że z zakupów internetowych korzysta ponad 28 mln Polaków. Dlatego rząd rozpoczyna nową kampanię.

Małe i średnie przedsiębiorstwa to bardzo ważny sektor polskiej gospodarki, której właściwe funkcjonowanie w ostatnim czasie zostało istotnie zaburzone. W jej regeneracji może pomóc m.in. wykorzystanie nowych technologii. „Przenieś swoją firmę do internetu. Zarabiaj na e-handlu” to rządowy projekt biznesowy skierowany do mikro, małych i średnich przedsiębiorców posiadających sklepy stacjonarne. Ma zachęcić firmy, które dotąd nie prowadziły sprzedaży przez internet (e-commerce), do współpracy z platformami sprzedaży internetowej. Partnerami są najwięksi polscy operatorzy sprzedaży online.

Celem kampanii jest nie tylko zachęcenie do sprzedaży online, ale również zwiększenie świadomości przedsiębiorców o możliwościach rozwoju własnej firmy. Organizatorami akcji są Ministerstwo Rozwoju, Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej oraz Agencja Rozwoju Przemysłu SA.

– Jednym ze sposobów na przetrwanie kryzysu spowodowanego pandemią koronawirusa może też być przeniesienie swojego biznesu do internetu. W obecnej sytuacji spo-

wodowanej koronawirusem, kiedy wszyscy musimy stosować się do obostrzeń i #zostaćwdomu, zakupy przez internet stają się skuteczną i przede wszystkim bezpieczną alternatywą. Dotyczy to zwłaszcza tych produktów, które nie są obecnie dostępne stacjonarnie, ale także zakupów, po które możemy, ale nie musimy wychodzić z domu. Dzięki sprzedaży internetowej i pracy kurierów e-przedsiębiorcy mogą dotrzeć do klientów, a korzyści z tego są obopólne – mówi Jadwiga Emilewicz, wicepremier i minister rozwoju. – Jest to korzystne zarówno dla przedsiębiorcy, który zachowa możliwość sprzedaży swoich produktów, jak i obywatela. Zakupy może zrobić w sposób łatwy, szybki i przede wszystkim bez wychodzenia z domu – dodaje wicepremier Emilewicz.

Partnerami akcji są liderzy w branży e-handlu – Allegro, OLX oraz Polski Fundusz Rozwoju, który wspiera akcję merytorycznie. Allegro i OLX przygotowały m.in. specjalne pakiety powitalne dla nowych użytkowników biznesowych, zawierające dostęp do specjalnych webinarów oraz dedykowane wsparcie zespołu sprzedażowego. ARP SA jest otwarta na współpracę z innymi platformami sprzedażowymi, które dzięki kampanii pozyskają nowych użytkowników, a mikro, małym i średnim przedsiębiorcom umożliwią rozszerzenie dotychczasowej działalności.

– Kampania ta z jednej strony odpowiada potrzebom współczesnych konsumentów coraz częściej korzystających z rozwiązań e-commerce, a z drugiej daje szansę na rozwój mikro- i małym przedsiębiorstwom. To jedna z wielu gospodarczych propozycji antykryzysowych, którym patronuje Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej – podkreśla Małgorzata Jarosińska-Jedynak, minister funduszy i polityki regionalnej.

ARP SA stworzyła specjalną stronę internetową poświęconą akcji, na której można zapoznać się m.in. z korzyściami prowadzenia sklepu online, poradnikiem, od czego zacząć i z jakich narzędzi skorzystać: [HTTPS://ZARABIAJ-ONLINE.ARP.PL/](https://zarabiaj-online.arp.pl/).

– Idea tego projektu jest prosta. E-commerce to obecnie w Polsce prężnie rozwijający się kanał sprzedaży – z zakupów internetowych korzysta ponad 28 mln Polaków. Chcemy dać szansę małym sklepom, które dotychczas nie istnieją w e-handlu, a mają wszelkie ku temu predyspozycje i mogą w ten sposób zarabiać. Stworzyliśmy poradnik dla osób, które nie wiedzą, od czego zacząć. Zaprosiliśmy również do współpracy dwa znane market place'y i liczymy, że z czasem przyłączą się kolejni partnerzy – mówi Paweł Kołczyński, wiceprezes ARP SA.

Kampania objęta jest patronatem GovTech Polska, Ministerstwa Rozwoju oraz Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej.



„Oskarżam!”



Jeżeli przegapiliście w kinie najlepszy od lat film Romana Polańskiego, to teraz jest szansa obejrzenia go na VOD. „Oficer i szpieg” opowiada historię Alfreda Dreyfusa (Louis Garrel), francuskiego oficera skazanego za szpiegostwo na rzecz Niemców na dożywocie na koszarnej Wyspie Diabelskiej w Gujanie. Sprawa przez dekadę rozpalala życie polityczne we Francji. To właśnie w sprawie Dreyfusa Émile Zola opublikował swój słynny artykuł „J'accuse!” (Oskarżam!) z apelem o uniewinnienie Dreyfusa, za co skazano go na rok więzienia. Żołnierza bronili inni francuscy intelektualiści na czele z Marcellem Proustem. Dopiero w 1899 r. prezydent Francji pod naciskiem opinii publicznej anulował wyrok i przywrócił niesłusznie oskarżonemu stopień oficerski.

Dreyfus nie wyszedłby nigdy na wolność, gdyby nie upór francuskiego oficera Georges'a Picquarta (Jean Dujardin). Służył on jako sprawozdawca podczas pierwszego procesu Dreyfusa. Potem został szefem sekcji we francuskim wywiadzie wojskowym, gdzie odkrył, że tajna notatka szpiega, za którą skazano Dreyfusa, była sporządzona przez majora Ferdinanda Walsina Esterhazy'ego. Polański zdecydował się opowiedzieć o sprawie Dreyfusa właśnie z jego perspektywy.

Była to znakomita decyzja. Picquart jest postacią, w której odbija się cała Francja przełomu XIX i XX w. Polański nie nakręcił tylko sądowego dramatu z elementami kafkowskiego absurdu i czarnego humoru rodem z „Matni”, którego „Oficer i szpieg” nie jest pozbawiony. Polański pierwszy raz w swojej twórczości rozlicza otwarty antysemityzm Francuzów, pokazując, że demon Holocaustu nie narodził się z niczego. Widząc pogardę francuskiej elity oskarżającej Picquarta (również początkowo antysemitę) czy pełnej nienawiści ulicy palącej książki Zoli, można zrozumieć późniejszą antyżydowską politykę Vichy. Przykro konserwatyście patrzy się na działania ówczesnej francuskiej prawicy, która fałszem broniła autorytetu państwa.



VOD

86-letni Polański dowodzi po raz kolejny, że jest mistrzem reżyserii filmowej. Ba, pojawia się jako cameo, podobnie jak miał w zwyczaju to robić Alfred Hitchcock. Polski reżyser był zawsze znany z fanatycznego przywiązania do detali pokazywanego świata. Kostiumy, ulice Paryża, wnętrza gmachów francuskiej armii, gabinety ministrów – to wszystko zachwyca realizmem. Paweł Edelman wspaniale zestawia z sobą degradację Dreyfusa na placu pełnym żołnierzy i gapiów, by potem gładko oddać kafkowskie koszmar biurokracji w klaustrofobicznych ujęciach dusznego gabinetu Picquarta. Wszystko podlega złowieszczą muzyką Alexandre'a Desplata.

Polański nie nakręcił hollywoodzkiej produkcji o ostatnim sprawiedliwym szeryfie występującym przeciwko skorumpowanemu systemowi. A jednak jest „Oficer i szpieg” uniwersalną przypowieścią o niezłomności w imię obrony prawdy i sprawiedliwości. W imię sumienia i dobrego imienia własnego kraju. „Oficer i szpieg” jest pod tym względem filmem konserwatywnym. Jednak Polański unika patosu i cukierkowości. Picquart i Dreyfus rozmawiają z sobą tylko dwa razy. W obu przypadkach dzieli ich mur wyobcowania. Polański doskonale go czuje jako wieczny uciekinier i osoba nieustannie oskarżana.

„OFICER I SZPIEG”, REŻ. ROMAN POLAŃSKI.
FILM DOSTĘPNY NA PLATFORMACH VOD

Internet

Solidny dokument



Nie znoszę łączenia z sobą dokumentu i fabuły, co w ostatnim czasie jest bardzo modną filmową formą. A jednak w filmie Rafała Geremka fabularne sceny dobrze wypełniają dokumentalną warstwę. Geremek przypomina najważniejsze wydarzenia z życia i walki dowódcy 1 Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka, który po wojnie pracował w barze w Szkocji (w tej roli Redbad Klynstra-Komarnicki). Jest to klasyczny dokument z wypowiedziami rodziny Maczka i zdjęciami archiwalnymi. Geremek



ma jednak nerw, by mieszać z sobą gatunki (jest też animacja) i ciekawie opowiada o polskiej historii oraz o samym Maczku. Postaci po prostu szlachetnej i prawej. Postaci, która reprezentowała najlepsze wartości swojego pokolenia. Solidny i sprawnie nakręcony dokument, który można śmiało wykorzystać w epoce e-szkoły. Nie znudzi młodych ludzi jak wiele podobnych produkcji.

„NIEPOKONANY. OPOWIEŚĆ O GENERALE STANISŁAWIE MACZKU” DOSTĘPNY ZA DARMO NA KANALE YOUTUBE MUZEUM HISTORII POLSKI



Tym razem bez błysku

Hirokazu Koreeda w filmach „Jak ojciec i syn” czy „Złodziejaski” (Złota Palma) mistrzowsko opowiadał o tym, że rodzina nie musi być definiowana przez więzy krwi. Dobrze czuje się w tej dziedzinie i potrafi w mądry sposób penetrować rodzinne demony. Niestety, podobnie jak w przypadku Irańczyka Asghara Farhadiego, który po wspaniałym „Rozstaniu” i „Kliencie” nakręcił w Hiszpanii piękny i niespełniony „Wszyscy wiedzą”, Koreeda nie potrafił przenieść japońskiej wrażliwości na grunt francuski, choć ma w obsadzie wielkie nazwiska francuskiego kina plus Ethana Hawke’a.

Zaczyna się intrygująco. Oto ikona francuskiego kina Fabienne (Catherine Deneuve) publikuje swoje wspomnienia. Na premierę książki przyjeżdża mieszkająca w Nowym Jorku córka Lumir (Juliette Binoche) z córeczką i ze swoim mężem, niespełnionym aktorem telewizyjnym (Hawke). Pamiętniki Fabienne są pełne fałszerstw i nie-domówień, co oburza Lumir inaczej pamiętającą swoje dzieciństwo, niż to opisane na kartach wspomnień jej matki. Kobieta zostaje jednak przy matce w czasie jej pracy nad kolejnym filmem, chcąc się z nią ostatecznie skonfrontować.

Koreeda powoli zrywa maski z członków rodziny. Robi więc to samo, co w „Złodziejaskach”, choć teraz przypatruje się wyższej warstwie społecznej. Fabienne jest bogatą gwiazdą, która nawet nie ukrywa, że od rodziny zawsze ważniejsza była dla niej kariera. Ba, bez żadnego zażenowania mówi przy



VOD

rodzinnym stole, że dostawała role „przez łóżko” reżyserów. Każdy z bohaterów ma swoje sekrety, ale to Fabienne spina wszystko kłamrą kłamstwa. Problem w tym, że Deneuve jest nieznośna w swojej roli.

Ma oczywiście taka być. To zmanierowana, rozpuszczona diva filmowa, traktująca młodsze aktorki i reżyserów

z nieskrywaną pogardą. Niestety, to co zawsze było siłą kina Koreedy, czyli subtelne aktorstwo, w „Prawdzie” jest przykryte zbyt grubą warstwą makijażu. Deneuve gra kilkanaście irytującymi grymasami i jest strasznie stereotypowa. Koreeda z jednej strony w chłodny sposób obserwuje opisywany świat, ale potrafi budować jego energię na różnych subtelnościach, drobnych gestach odsłaniających postępowanie bohaterów. Tutaj brakuje mi zniuansowania. Możliwe, że Deneuve jest spięta, grając groteskową wersję samej siebie. Możliwe, że pętają ją jej własne grzechy z czasów kariery i w momentach, gdzie mogłaby uzewnętrznić emocje targające starzejącą się ikoną kina, zatrzymuje się w pół kroku.

Jest to film o walce matki z córką. O walce dwóch wyemancypowanych kobiet, które na swój sposób szukają miłości i wzajemnej akceptacji. Binoche (najlepsza rola filmu) i Deneuve grają jednak obok siebie. Ich dialogi nie iskrzą ani nie intrygują. Są tam momenty najlepszych filmów Koreedy, ale jest ich za mało, by czuć satysfakcję. Szkoda, choć widać, że Koreeda ma potencjał, by robić filmy nie tylko w Japonii.

„PRAWDA”, REŻ. HIROKAZU KOREEDA.
FILM DOSTĘPNY NA PLATFORMACH VOD

Van Damme byłby zażenowany

DVD

Naprawdę chciałem, by ten film był niezły. Jako dzieciak ery VHS, wychowany na kopanym kinie Van Damme’a, lubię się zanurzyć w kino klasy C. „Serce do walki” Kacpera Anuszewskiego to jednak filmowe kuriozum roku. Dobra, Anuszewski współreżyserował w 2019 r. jeszcze „Futro z misia” nagrodzone Wężem dla najgorszego filmu. Z przyputem zaczął reżyserską karierę! Sama historia ma potencjał. Bohater tłucze się na nielegalnych walkach organizowanych przez mafię, by utrzymać mamę i brata, który po walce w dzieciństwie trafił na wózek



inwalidzki. Biedny chłopak dostaje szansę walki na zawodowym ringu kickbokserskim, tyle że gangsterzy chcą, by przegrał w ustawionej walce. Mamy więc bezpieczny, hollywoodzki w duchu samograj. Reżyser kładzie wszystko. Toporna dramaturgia i jednowymiarowe aktorstwo są wyjęte z marnej telewizyjnej sceny walk za to paździerz gorszy niż amatorskie kino kręcone na wideo w latach 90. Dziwne, bo jego krótki metraż pt. „Kurs” pokazywał, że potrafi on dobrze naśladować kino amerykańskie.

„SERCE DO WALKI” DOSTĘPNE NA DVD

DALEJ JEST TYLKO NOC,

czyli jak w PAN usuwa się z historii pomoc Polaków dla Żydów w czasie II wojny światowej

Mianem „Sprawiedliwych” określa się ludzi, którzy w czasie II wojny światowej ratowali Żydów eksterminowanych przez III Rzeszę. Mają oni w Polsce swoje święto, są otoczeni najwyższym nimbem uznania. No może poza Polską Akademią Nauk, gdzie ostatnio podjęto próbę systematycznego usuwania ich z historii



PIOTR GONTARCZYK

Pojęcie „Sprawiedliwych” pochodzi od nazwy medalu Sprawiedliwym wśród Narodów Świata nadawanego przez Izrael od 1963 r. Choć procedury przyznania wyróżnienia są rygorystyczne, i czasem krytykują je historycy, to medal ze starotestamentowym zapisem: „Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat” dostało ok. 28 tys. ludzi. Największą grupę wśród nich (ok. 7 tys.) stanowią Polacy. A przecież to tylko niewielka część tych, którzy w naszym kraju na różne sposoby pomagali Żydom. Na część polskich Sprawiedliwych 24 marca – w rocznicę wymordowania przez Niemców za przechowywanie Żydów siedmioosobowej rodziny Ulmów ze wsi Markowa na Podkarpaciu w 1944 r. – co roku obchodzimy Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką.

Ale jest w Polsce środowisko, które wydaje się nie tylko zmartwione ich upamiętnianiem, ale w ogóle tym, że mamy jakichś Sprawiedliwych. Chodzi o naukowców z Centrum Badań nad Zagładą Żydów z Polskiej Akademii Nauk. Wspomniani najpierw przypuścili ostry atak na Muzeum Polaków Ratujących Żydów w Markowej, a potem

opublikowali słynną już książkę pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. To pierwsza w naszej historiografii tak bezceremonialna próba usuwania z historii pomocy udzielanej Żydom przez Polaków w czasie wojny.

PRZEMILCZANIE ŹRÓDEŁ

Najczęściej stosowaną metodą jest tu milczenie. Z przywoływanych źródeł wyciągano detale nieetycznych zachowań Polaków, a pomijano niepasujące do założeń książki dobre uczynki (w wypadku Żydów robiono odwrotnie). Tak udało się przemilczeć wiele przypadków życzliwości i solidarności z Żydami oraz udzielonej im pomocy. Masowo znikają takie gesty, jak nakarmienie, ostrzeżenie, podwiezienie – niby drobne rzeczy, ale wtedy często ratujące życie. Z historii znikali także ludzie.

Przykładem „czyszczenia” historii w „Dalej...” jest chociażby monografia powiatu nowotarskiego pióra Karoliny Panz, w której sięgnięto po zeznania dwóch Żydów – Jana Gringrasa i Karola Eisenmanna. Relację pierwszego wykorzystano jako źródło do opisu polskiego szabru domów pożydowskich (rzecz zabawna: tam nic na ten temat nie ma). Autorka pominęła za to informacje o tym, kto mu pomagał: „[...] przez okres dwóch miesięcy ukrywałem się w stodolach mieszkańców Jordanowa i Naprawy. Ukrywałem się u Marii Sporschill, Błażeja Mirka z Jor-

danowa, Wincentego Dziadło, Mizery, Hajdy z Naprawy”. Podobnie Panz postąpiła z zeznaniem Eisenmanna, który powiedział: „Od tej pory [sierpień 1942] ukrywałem się przez pewien okres czasu w Naprawie u poszczególnych gospodarzy, u nieżyjącego Pawła Bala, Józefa Skwarka, Franciszka Macioła, Franciszka Burmistrza. Potem w Sułkowicach ukrywałem się u Józefa Gاربienia, następnie w Harbutowicach u Wojciecha Krawczaka. Potem udałem się do getta w Krakowie i podjąłem pracę w obozie w Płaszowie. Po krótkim czasie, może 3-ech tygodniach, uciekłem z getta i wróciłem do Krawczaka do Harbutowic, a następnie do Bala w Naprawie”. Panz nie napisała o tych ludziach ani słowa.

Inny autor, Dariusz Libionka, sięgnął po relację Frydy Birnbaum, zachowaną w Żydowskim Instytucie Historycznym (ŻIH). Z niej wykorzystał informację o przedostaniu się gdzieś autorki wspomnienia z pomocą wiejskiego chłopaka, ale z podkreśleniem jej nieufności wobec chłopów i faktu, że nie korzystała z pomocy Rady Pomocy Żydom „Żegoty” (t. II, s. 113). Po weryfikacji źródła okazało się, że relacja nosi tytuł „Papiery aryjskie, pomoc Polaków” i słowa te dobrze ilustrują treść opowieści Birnbaum. Pomagali jej anonimowi i znani z nazwiska rolnicy (np. Franciszek Wójcik), ostrzegali polscy dróżnicy. Wynajmowała mieszkania u Polaków, którzy znali jej pochodzenie, jak choćby rodziny Klimczaków. Najwięcej ciepłych słów

napisała o Henryku i Irenie Wallischach, wspierających ją przez całą wojnę: „[...] byli naszymi opiekunami w każdym tego słowa znaczeniu. Jeszcze poprzednio przed wyjazdem do Krakowa, część rzeczy najbardziej wartościowych złożyliśmy u nich i dzięki temu znalazłyśmy jedyne, tak bardzo nam potrzebne poparcie materialne. Państwo Wallischowie okazali się ludźmi w pełni tego słowa znaczeniu i niezależnie od tego, że umożliwili nam utrzymanie się w Krakowie przez to, że polecali nas swoim znajomym na mieszkanie, że wystarali się dla nas o papiery, to bodajże najważniejszym momentem ich pomocy była opieka moralna, jaką nas otoczyli. [...] chociaż trudno było pomóc ludziom wyjętym spod prawa, nigdy nie szczędzili nam słów otuchy i wiary w prawdziwego człowieka wobec nieludzkości czasów i ludzi”. Wallischów nie ma w książce „Dalej jest noc...”. Tak jak kilkunastu innych imion i nazwisk Polaków, które podałem tu na podstawie tylko trzech żydowskich relacji.

Tak samo działali inni autorzy. Jan Grabowski pominął z obszernie wykorzystanej do opisu niecnych uczynków Polaków relacji Władysława Okulusa panią Piątkowską, zastrzeloną przez Niemców razem z ukrywanym Żydem Kleinem, oraz rodzinę Piotra Grabka, który w czasie deportacji i obław miał przechowywać żydowską rodzinę w węgrowskim sadzie. Anna Zapalec miała żydowskie relacje o wydatnej pomocy im udzielanej przez ks. Jana Pawlickiego ze Złoczowa. Ale księdza w książce nie ma.

POPRAWKI „NOŻYCKAMI”

Mniej subtelną metodą usuwania z historii Polaków ratujących Żydów było wycinanie ich ze źródeł „nożyczkami”. Karolina Panz wspomniane już zeznania Karola Eisenmanna zacytowała tak: „Uciekając, słyszałem za sobą głos naszego brygadzysty – Niemca, byśmy wrócili, ale nie posłuchaliśmy. Siedziałem w lesie do wieczora” (t. II, s. 263). Ale w oryginale ta relacja brzmi tak: „Uciekając, słyszałem za sobą głos naszego



Honorata z Matuszczyków Mucha. Jedna z dziesiątków Sprawiedliwych masowo usuwanych z historii w książce „Dalej jest noc”

Jest w naszym kraju środowisko, które wydaje się nie tylko zmartwione upamiętnianiem polskich Sprawiedliwych, lecz w ogóle faktem ich istnienia. Chodzi o naukowców z Centrum Badań nad Zagładą Żydów z Polskiej Akademii Nauk

brygadzysty – Niemca, byśmy wrócili, ale nie posłuchaliśmy. Około godz. 15 sam wyszedłem z lasu, udając się w kierunku domu moich rodziców. W pewnej chwili zobaczyłem idącego na przeciw mnie Jana Kłacza zam[ieszkałego] w Naprawie. Ten widząc mnie, począł robić ręką przed sobą jakieś znaki, które zrozumiałem, że powinienem wrócić się z powrotem. Wtedy rozglądałem się i zobaczyłem idącego za nim Niemca w mundurze gestapo z pistoletem w ręce. Był on w odległości ode mnie od 40–50 kroków. Od razu odwróciłem się i biegiem popędziłem w las. Ten strzelał za mną, ale nie trafił. Siedziałem w lesie do wieczora”. Wyróżnione słowa zostały usunięte w książce z cytatu. Bez zaznaczenia. Nikt więc się nie dowie, jak Eisenmann został uratowany przez Jana Kłacza. Gdyby Kłacz przynajmniej szturchnął jakiegoś Żyda, to z pewnością byśmy o tym przeczytali.

Ale uratował człowieka, więc za to – poprzez wycięcie jego czynu z historii – został ukarany.

Podobne „poprawki” w „Dalej jest noc...” są fragmentem większej operacji wypaczania treści źródeł. W relacji dla ŻIH Helena Berman opowiedziała, jak przeżyła kluczową noc, kiedy po deportacji okolicznych Żydów trwały niemieckie obławy (tekst sporządzony w trzeciej osobie): „Spotkała po drodze kobietę, [ta] zaprosiła ją na nocleg do stodół (ale żeby ani mąż, ani syn nie wiedział) [...] Tu przenocowała i to ją uratowało, ponieważ nocą las SS przetrząsnęła”. Powyższe słowa przeczytał Libionka i w książce napisał, że Berman: „przenocowała w lesie i następnego dnia dojechała koleją do Krakowa” (t. II, s. 112). Ładna wersja historii, tylko fałszywa.

Z kolei Jan Grabowski korzystał z zachowanej w Yad Vashem dokumentacji dotyczącej przechowania w czasie wojny w Węgrowie Icka Kreda przez rodzinę Mieczysława i Otylii Supłów. Ale w książce napisał, że Kreda „ukrywał się w lasach jarnickich” (t. II, s. 536).

W innym fragmencie książki Dariusz Libionka postawił błyskotliwą hipotezę badawczą w sprawie jednej z opisywanych osób: „Zeznawała w śledztwie pod nazwiskiem Maria Stachel. Jak sądzę, jest to nazwisko po mężu, który też był świadkiem podczas procesu” (t. II, s. 161). Z akt archiwalnych, z których korzystał, jasno wynika, że Maria Stachel to wcześniej nieobecna w książce Tolba Lewkowicz uratowana przez Antoniego Stachela, za którego po wojnie wyszła

za mąż. Nieudolność czy specyficzne poczucie humoru? Raczej to drugie: jednej uratowanej i ratującego mniej.

SPRAWIEDLIWI CZY PODEJRZANE TYPY?

Sposób przedstawienia tych ratujących Żydów, których nie wycięto, bywa w książce „Dalej jest noc...” wręcz bulwersujący. Chrześcijanka z Nowego Wiśnicza Olga Kupiec przed wojną była w bliskich stosunkach z żydowską rodziną Fragnerów. Miała wyjść za Zygmunta Fragnera, ale plany pokrzyżowała wojna. Kiedy w sierpniu 1939 r. braci Zygmunta i Edwarda Fragnerów (jako oficerów) powołano do wojska, Kupiec zajęła się ich rodzicami Franciszką i Izajaszem. Kiedy 1942 r. zaczęły się deportacje Żydów, ulokowała rodziców i ich kuzynkę Marię Wieselmann u chłopą we wsi Muchówka. Ale wówczas pojawiły się plakaty grożące śmiercią za przechowywanie Żydów. Chłop przestraszył się i wygonił całą trójkę, która zginęła w niejasnych okolicznościach w czasie (późniejszych) obław na Żydów.

Po wojnie znaleźli się donosiciele, którzy oskarżyli Kupiec o wzbogacenie się kosztem Fragnerów i przyczynienie się do ich śmierci. Wszczęto śledztwo, które wykazało niewinność Polki, a naoczni świadkowie opowiedzieli o jej motywacjach i próbie ratowania bliskich. Na przykład Władysław Mikulski zeznał: „Wprost nieprawdopodobne zdaje mi się, by podejrzana Olga Kupiec zdradziła niemieckiej policji miejsce ukrycia się Fragnerów, gdyż z tego, co zauważyłem, była ona jak najserdeczniej ustosunkowana do Fragnerów. Dowodem tego jest to, że gdy wywoziłem Fragnerów z Wiśnicza, Kupiec z płaczem wyprowadziła ich za Wiśnicz”. Okazało się również, że ta część majątku Fragnerów, która ocalała, była nadal przechowywana (to był 1948 rok!) u Polaków i czekała na powrót ich ocalałych synów. Donosy okazały się absurdalne i śledztwo umorzono.

Jak tę tragiczną, ale i piękną historię opisała w książce Dagmara Swałtek-Niewińska? „Nie wiadomo, kto doniósł żandarmerii o ukrywających się Fragnerach. Po wojnie Prokuratura Sądu Okręgowego rozpoczęła dochodzenie

w tej sprawie, a główną podejrzaną była Olga Kupiec, niedoszła synowa Izajasza [Fragnera], która po wysiedleniu Żydów zajęła mieszkanie i resztki dobytku Fragnerów. Sprawa została jednak umorzona, gdyż zebrane zeznania nie wykazały winy podejrzanej” (t. II, s. 572). „Główna podejrzana...”, „przejęła mieszkanie i resztki dobytku...” „nie wykazały winy podejrzanej...” (może winna była, tylko jej nie udowodniono?). Ani słowa o łzach przy rozstaniu, o próbie ratowania Fragnerów. To nietypowy fragment dokonania Swałtek-Niewińskiej tylko pod tym względem, że można go oceniać nie tylko w kategoriach naukowych.

Nie brak w „Dalej jest noc...” szderstw z nadania któremuś z Polaków medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, a obdarowanych przedstawia się jako kierujących się niezbyt szlachetnymi motywami. Tu celuje zwłaszcza Dariusz Libionka, który podjął trudne do przecenienia wysiłki w obszarze redukcji i dezawuowania polskiej pomocy. Rzecz o tyle smutna, że kiedyś miał duże zasługi w opisywaniu Sprawiedliwych, a dziś niekiedy te same osoby są w jego tekstach przedstawiane zupełnie inaczej.

Dotyczy to choćby rodziny Koniecznych ze wsi Dzierążnia (Miechowskie) przechowującej w gospodarstwie dziewięciu (!) Żydów. Jednoznacznie w ich sprawie wypowiedział się po wojnie jeden z ocalałych, Symcha Olmer, podkreślając bezinteresowność i szlachetność ratujących: „On [Maciej Konieczny] nigdy nie brał żadnych pieniędzy z wyjątkiem kosztów utrzymania i wiedziałem, że nie ratuje nas z powodów finansowych. Pan [Maciej] i Pani [Marianna] Konieczna byli religijni i liberalni i ratowali nas z powodów humanitarnych. [...] Państwo Konieczni wyjaśnili swoim dzieciom, że ludzkie życie jest święte i ich obowiązkiem jest nas uratować”. Takie samo świadectwo złożył inny z uratowanych, Boris Ickowicz, dzięki czemu piątka Polaków (Maciej, Marianna oraz ich zaangażowane w pomoc dzieci Honorata, Piotr i Mieczysław) w 1988 r. zostali odznaczeni medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

A jak sprawę przedstawił Libionka? Nie przytoczył opinii Ickowicza ani Olmera. A sam napisał tak: „Inna grupa

[Żydów] przetrwała u Macieja i Marianny Koniecznych w Dzierążni [...] Bunkier był niewielki – 2x1,5 – i duszny. Siedzieli w 7 osób, a jedzenie otrzymywali raz dziennie. Borys Ickowicz, który też tam się ukrywał, wspomina o zapłacie w pieniądzech i wartościowych rzeczach. Konieczny miał spore gospodarstwo i był samowystarczalny. Gdy pieniądze się skończyły, uzgodniono, że zwrot kosztów nastąpi po wojnie” (t. II, s. 129). Liczba ratowanych zgadza się ze źródłami, ale ratujących „zmniejszyła się” z pięciu do dwóch, bowiem pominięto odznaczone dzieci Koniecznych. Przede wszystkim jednak z historii zniknęła szlachetność Koniecznych opisana przez Żydów, których uratowali. Zostały tylko pieniądze i obietnica zwrotu kosztów. W tej sytuacji chyba nie dziwi – kara za chciwość? – że Libionka pominął w tekście informację o nadaniu Koniecznym medalu Yad Vashem.

W podobny sposób autor ten opisał również rodzinę Stanisława Matuszczyka, która uratowała rodzinę Federmanów (Medal Yad Vashem z 2003 r. – manipulacje dokonane w tej sprawie dokładnie zrelacjonował Tomasz Domański w recenzji książki dostępnej na stronie IPN). Lekceważącym komentarzem opatrzył też informację o przyznaniu „jednemu z Polaków” (opis w książce tej treści) tytułu Sprawiedliwego za uratowanie Icka Cyglera. Autor nie podał, że chodzi o Zygmunta Marca. Tylko w tekście Barbary Engelking usunięto różnymi metodami imiona i nazwiska kilkudziesięciu (!) Sprawiedliwych. Ilu w całej książce? Na razie naliczyłem ponad setkę

Ale opisani tu w nierzetelny, czasem wręcz obraźliwy, sposób polscy Sprawiedliwi jednak zostali wspomniani z jakimiś (podejrzanymi?) zasługami. Gorszy los spotkał na przykład Józefa Wydmańskiego, którego w 1944 r. Niemcy zamordowali wraz z przechowywanym przez niego Żydem. Sprawa jest znana i funkcjonuje w literaturze przedmiotu, chociażby w książkach Szymona Datnera „Lassprawiedliwych” (s. III) czy Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny „Ten jest z ojczyzny mojej” (s. 613). Ale w „Dalej jest noc...” ani słowem nie wspomniano, za co zginął Wydmański, opisano go jedynie

wysiedleńców). Tego dnia pracował wraz z grupą żydowskich robotników przymusowych nad rzeką:

przybiegła siedmioletnia najmłodsza córka Glücksmanna Ewa z płaczem, że Niemcy zastrzelili jej matkę. Mówiła, że dużo¹¹⁸ Niemców przyjechało do Naprawy, chodzą po domach i strzelają do Żydów. Pracujące z nami Żydówki poczęły płakać, my zaś z Glücksmannem wycofaliśmy się do lasu obok. Tam obaj przebraliśmy się, przeszliśmy na drugą stronę rzeki Skawy i lasem szedłem w kierunku Naprawy. Uciekając, słyszałem za sobą głos naszego brygadzysty – Niemca, byśmy wrócili, ale nie posłuchaliśmy. Siedziałem w lesie do wieczora [...]. Pod wieczór, gdy strzały ucichły, zbliżyłem się lasem w stronę szosy i wtedy zobaczyłem jadącą szosą furmankę, prowadzoną przez Stanisława Rzeźnika z Naprawy, a na niej zwłoki zastrzelonych Żydów. Był to duży wóz gospodarczy, taki jak do przewozu piasku, ziemniaków. Zwłok tych było co najmniej 12–15 [...]. Były poukładane jak snopki i z wozu broczyła krew¹¹⁹.

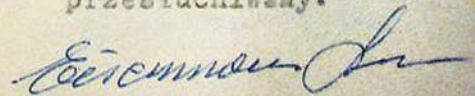
miejsce, z którego usunięto fragment zeznania świadka o uratowaniu mu życia przez Jana Kłacza

„Dalej jest noc”, tom II s. 263, monografia pióra Karoliny Panz, w której wykorzystano fragment zeznań Karola Eisenmanna

Około godziny 15-tej sam wyszedłem z lasu, udając się w kierunku domu moich rodziców. W pewnej chwili zobaczyłem idącego na przeciw mnie Jana Kłacza zam. w „aprawie”. Ten widząc mnie, począł robić ręką przed sobą jakieś znaki, które zrozumiałem, że powinienem wrócić się z powrotem. Wtedy bezglądnie się i zobaczyłem idącego za nim Niemca w mundurze gestapo z pistoletem w ręce. Był on w odległości ode mnie od 40–50 kroków. Odrazu odwróciłem się i biegiem popędziłem w las. Ten strzelał za mną, ale mnie nie trafił.

Siedziałem w lesie do wieczora i obserwowałem, co dzieje się w Naprawie. Słyszałem pojedyncze strzały. Pod wieczór gdy strzały ucichły, zbliżyłem się lasem w stronę szosy i wtedy przesłuchujący:

Zeznanie Karola Eisenmanna z 28 września 1973 r. z usuniętym w książce fragmentem tekstu o uratowaniu bohatera przez Jana Kłacza



jako... brata denuncjatora Żydów (t. II, s. 174). Jak to w ogóle skomentować?

Kiedy w 2018 r. ukazała się książka „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” zarzucałem jej autorom systema-

tyczne manipulacje. Gdzieś chyba porównałem to dzieło IFS PAN do osiągnięć Wydziału Historii Partii przy KC PZPR, w którym w latach stalinowskich fałszowano historię, także przez „wycinanie nożyczkami” treści źródeł

historycznych. Dzisiaj te słowa wydają mi się przesadą. Dlaczego? Bo mogą okazać się mocno krzywdzące dla dawnych politruków z PZPR.

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł odzwierciedlenia wyłącznie jego poglądy

Dobry czas na patriotyzm gospodarczy

**Kupuję,
bo
polskie**

Trudne sytuacje zawsze wyzwalały w Polakach odwagę i wiarę w zwycięstwo. Im bardziej wygrana wydawała się nieprawdopodobna, tym większa była nasza determinacja i skuteczność. Dziś nie chwytamy za broń przeciw najeźdźcy, a walka, która nas jednoczy, to wspólny front o przetrwanie polskiej gospodarki



ANNA RACINIEWSKA

Sytuacja epidemiologiczna otworzyła nam oczy na ogromne uzależnienie od producentów zza granicy. Niektóre branże po odcięciu dostaw z Chin doznały zapaści – nie tylko w Polsce. Kraje europejskie zwróciły uwagę na upadający przemysł krajowy, wykończony tanią konkurencją z Azji. Kapitał ma narodowość – to dotarło już do wszystkich.

Czy przez zamknięte granice zabraknie nam w Polsce żywności? Takie wątpliwości nie powinny nas niepokoić. Szczęśliwie branża spożywcza należy do tych, która z powodu pandemii nie tylko nie upadnie, lecz nawet ma szansę się wzmocnić. Jeśli Polacy solidarnie ją wesprą.

– Rolnictwo w naszym kraju jest w stanie zapewnić żywność na zaopatrzenie polskich konsumentów. Żywności nie zabraknie – zalewnia minister

rolnictwa i rozwoju wsi Jak Krzysztof Ardanowski. I tę opinię podzielają polscy producenci.

POLSKIE SZKLARNIE

Przedsiębiorstwo Ogrodnicze Siechnice pod Wrocławiem to firma mająca jeden z najnowocześniejszych kompleksów szklarniowych w Europie. Od 2012 r. należy do dynamicznie rozwijającego się rodzinnego biznesu – Grupy Citronex. To właśnie zdolność do podejmowania odważnych decyzji biznesowych głowy rodziny – właściciela i założyciela Citronexu – Artura Toronowskiego, a także jego umiejętność realizacji nawet najtrudniejszych przedsięwzięć doprowadziły do zainwestowania w dawne peerelowskie zadłużone gospodarstwo i ocalenia setek miejsc pracy oraz tego, z czego region był od dawna znany – uprawy pomidorów.

Polscy przedsiębiorcy wybudowali siedem obiektów szklarniowych, w których zastosowano najbardziej innowacyjne technologie, w tym pełną automatyzację procesów, doświetlanie asymilacyjne stosowane na zachodzie

Europy, komputerowe sterowanie klimatami, nawodnieniem, wietrzeniem i zacienianiem, aby zapewnić roślinom najlepsze i najbardziej naturalne warunki niezbędne do prawidłowego wzrostu bez względu na porę roku. Wszystko to, by móc konkurować z gospodarstwami z Hiszpanii oraz Holandii i dostarczać polskim konsumentom najlepszej jakości lokalne produkty spożywcze.

Przedsiębiorstwa w Siechnicach oraz w Bogatyni działają w pełnej zgodzie z naturą i lokalną społecznością. Rośliny są tu zapylane przez trzmiele, a do zwalczania szkodników, zamiast środków chemicznych, używa się pożytecznych owadów, które nie są szkodliwe dla roślin.

Trochę wyobraźni i odwagi, a także spore inwestycje pozwoliły, aby gospodarstwo urosło w jedną z najbardziej konkurencyjnych firm agro w Europie. Dziś to w pełni polska, rodzinna firma z wyłącznie polskim kapitałem. Za działalność pomidorową oraz banany i ananasy odpowiada prezes Rafał Zarzecki. To jego upór i konsekwencja sprawiły, że dziś na blisko 60 ha uprawiana jest najbardziej wymagająca, ale i najsmacz-



niejsza odmiana pomidora – pomidor malinowy.

– Przetrwaliśmy już niejedną trudną sytuację. Nasza produkcja musi trwać również w czasie pandemii. To nie jest działalność, którą można, ot tak, zatrzymać. Rośliny wymagają ciągłej pielęgnacji, w przeciwnym razie zaprzestalibyśmy całoroczną uprawę niemal 60 ha pomidorów – wyjaśnia Marcin Dymitruk, dyrektor generalny przedsiębiorstwa.

ZBIORY BEZPIECZNE

Wysokie standardy funkcjonowania stosowane są w przedsiębiorstwie już od lat. Współpracując z największymi sieciami w Polsce, firma musi mieć wymagane przez sieci handlowe systemy zarządzania bezpieczeństwem produkcji, takie jak Zintegrowany System Zarządzania Jakością i Bezpieczeństwem Żywności – Global Gap czy system IFS – najwyższa norma wymagana przez sieci handlowe.

– Pracownicy pozostają w dużych odległościach od siebie – pracują na 540 tys. mkw. naszych upraw pod szkłem. Każdy pracownik odpowiada za swój, dość duży obszar i kontakt między osobami jest przez to ograniczony. Z myślą o bezpieczeństwie naszych pracowników podzieliliśmy przedsiębiorstwo na sześć niezależnych zespołów, które nie mają z sobą kontaktu. Nawet

jeśli przydarzy się nam podejrzenie zakażenia, kwarantanna obejmie tylko konkretny zespół, a pozostałe nadal mogą pracować. Standardowym wyposażeniem każdej szklarni jest płyn do dezynfekcji rąk, a także maseczki ochronne, czepki oraz rękawice jednorazowe – wymienia Marcin Dymitruk.

W PPO Siechnice, mimo dużej automatyzacji, praca ludzka i wiedza są nie do zastąpienia. Przedsiębiorstwo jest dziś jednym z największych pracodawców w regionie. Zatrudnienie znajduje tam blisko 600 osób, kolejne 120 pracuje w Bogatyni. To wykwalifikowana kadra inżynierów i doktorantów z zaprzyjaźnionego Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, ale także pracownicy produkcyjni, wśród których jest wielu okolicznych mieszkańców

JEST PRACA

Wzrost bezrobocia w Polsce jest już zauważalny, dlatego firma zwiększyła aktywną rekrutację pracowników za pośrednictwem urzędów pracy oraz ogłoszeń w internecie. Tylko w ostatnim tygodniu kadra pracownicza powiększyła się o niemal 20 pracowników zatrudnionych z lokalnej społeczności. Dodatkowo, dzięki ogłoszonym na czas pandemii zmianom w prawie, aktywni pozostają również pracownicy zza granicy, których pozwolenie na pracę oraz

prawo pobytu przedłużają się automatycznie. Cudzoziemcy mają opłacone wszystkie wymagane składki oraz są objęci opieką zdrowotną. Jednak coraz trudniejsza sytuacja na polskim rynku pracy sprawia, że chcemy mocno postawić na wzrost zatrudnienia Polaków w naszym przedsiębiorstwie. Jako polska firma chcemy przede wszystkim pomóc rodakom, dając im zatrudnienie w nowoczesnym przedsiębiorstwie.

Dbłość o pracowników pozwala na kontynuację produkcji. To bardzo ważne nie tylko dla przedsiębiorstwa, lecz dla całej gospodarki. W przypadku konieczności objęcia kwarantanną tak kluczowych zakładów produkcyjnych powstałoby ryzyko zerwania łańcucha dostaw i problemów z dostępem do żywności.

– Nasi partnerzy, odbiorcy prowadzą działalność jak dotychczas. Sieci, z którymi współpracujemy, takie jak Biedronka, Lidl czy Kaufland, są niezmiennie otwarte dla klientów, a polskie społeczeństwo kupuje żywność, tak jak kupowało przed pandemią – mówi dyrektor.

WYBIERZ POLSKI PRODUKT

Polacy nie tylko nadal kupują, lecz te zakupy stały się bardziej świadome. Importowane produkty – szczególnie te żywnościowe – straciły zaufanie polskich konsumentów. To dobry moment, aby przekonać Polaków, że nasze rodzime produkty są jakościowo dobre, a także, że jest ich wystarczająco dużo, aby mogły zaspokoić nasze potrzeby. To dobry czas na wzmocnienie patriotyzmu gospodarczego.

– „Dobre, bo polskie” – mówimy już od lat. Prowadzimy akcje promujące nasz polski produkt, a dzięki innowacyjnym technologiom możemy konkurować z rynkami hiszpańskim i holenderskim. To nasze doświetlane szklarnie sprawiają, że w Polsce możemy się cieszyć pomidorem malinowym przez cały rok. Widzimy, że już od kilku lat Polacy uważają nasze lokalne warzywa za znacznie smaczniejsze. Dostrzegają różnicę – pomidory są bardzo wrażliwe na transport i odmiany, które są importowane do Polski, muszą być w stanie tę drogę przetrwać, ale smakują już inaczej... – porównuje Marcin Dymitruk.

Lubię aktorską alchemię

Urodziłem się w jednej z najbardziej niebezpiecznych i zarazem jednej z najładniejszych i najciekawszych dzielnic Wrocławia, czyli w pełnym lokalnych kolorytów Nadodrze. Wciąż spotkać tu można cały przekrój ludzkich typów i osobowości. Wychowywałem się wśród nich, może dlatego potrzeba różnorodności, w różnych wymiarach, wciąż mi towarzyszy.

Dzieciństwo upłynęło mi pod znakiem słodczy. Objadałem się nimi. Jako przedstawiciel rocznika 1989 znałem smak lizaków Chupa-Chups. W paczkach od rodziny z Ameryki przychodziły też czekolady Hersheya, ale były zbyt słodkie, nawet dla mnie.

Z rodzinnym domem kojarzą mi się tradycyjne potrawy na święta i – na co dzień – zupy. Moją ulubioną bynajmniej nie jest (i nigdy nie była) słodkawa pomidorowa. Wolę kwaśkowe – ogórkową, żurek, kapuśniak. Znakomicie potrafił je doprawić mój tata.

Zupy chętnie jem – z przyjemnością sięgam po sprawdzone polskie klasyki. Z ochotą próbuję też innych dań i nowych smaków, gotowanie to jednak nie moja bajka. Chociaż... zdarza mi się porównywać do gotowania... aktorstwo. Tu także sedno tkwi w proporcjach. Optymalny efekt bierze się z wyważenia składników i odpowiednich przypraw.

Lubię taką aktorską alchemię. Szukam, czego w postaci, scenie brakuje, co warto dodać, by wzmocnić ich smak.

Jeśli wynika to z konwencji, jestem w stanie zaakceptować np. przesłodzenie romansu czy moc-

niejsze doprawienie komedii dell'arte, w której też występuję. Wydawałoby się, że to styl na nasze czasy nieznośny, ale po koniecznych 15 minutach (tyle potrzeba na odczytanie języka spektaklu – tego nauczył mnie Tadeusz Bradecki) widzowie rozsmakowują się w tej konwencji.

Poza sceną ciekawią mnie smaki związane z miejscami, odległymi rejonami świata, choć nie zawsze ich poznanie wiąże się z podróżą. Nigdy nie byłem w Tajlandii (w Azji dotarłem do Chin i Indonezji, trafilem też do Japonii), ale uzależniłem się od potraw tajskich (kosztując ich w warszawskich knajpkach). Przypadła mi ta kuchnia do gustu. Zarazem słodka i kwaśna, ostra i łagodna... Zbalansowana. Jak w mojej ulubionej zupie tom kha.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadzworna**

Zupa tom kha

(przepis Marty Dymek ze strony KuchniaPlus)

Składniki: 6 cm galangalu albo 3 cm imbiru, 5 łydzy trawy cytrynowej, 2 puszki mleczka kokosowego/ 800 ml (i jeszcze dwie), 300 g boczniaków, 1–2 papryczki chili, pozbawione pestek, 1 szalotka, 2 pomidory, 8 liści kaffiru, suszonych, 1 łyżka sosu sojowego, ½ łyżeczki soli, ½ łyżeczki cukru trzcinowego, sok wyciśnięty z 1–2 limonek, 1 pęczek kolendry

Do podania: ćwiartki limonki, kilka plasterków chili, opcjonalnie ugotowany ryż obok zupy

Przygotowanie: imbir obrać i posiekać. Trawę cytrynową obrać, rozbić tępą krawędzią noża, pokroić na plasterki (1–2 mm). Tak przygotowane składniki wrzucić do garnka, wlać pierwsze 2 puszki mleczka kokosowego i podgrzewać na średnim ogniu.

W tym czasie boczniaki oczyścić i pokroić na grube paski. Kiedy mleczko kokosowe w garnku zacznie się lekko gotować, dodać boczniaki, kolejne dwie puszki mleczka i dalej podgrzewać.

Papryczki chili pokroić w cienkie plasterki, szalotkę na cienkie półplasterki, a pomidory na ósemki. Gdy zupa w garnku zacznie się lekko gotować, dodać wszystkie pozostałe składniki, poza limonką, i gotować całość pod przykryciem na minimalnym ogniu przez 15–20 minut.

Gdy boczniaki będą miękkie i nasączone kokosowym wywarem, doprawić zupę do smaku sokiem z limonki i ewentualnie solą. Powinna być delikatnie słodka i tylko lekko kwaśna, dlatego sok z limonki należy dodawać stopniowo. Kiedy tom kha będzie miała odpowiedni smak, posiekać kolendrę, wsypać do zupy i zamieszać.

Na koniec zupę rozlać do misek, dla chętnych na stole można postawić dodatkowe ćwiartki limonki oraz plasterki chili. Jeśli chcecie, żeby zupa wystarczyła za cały obiad, podajcie ją z ugotowanym ryżem.





Pomysł na gniazdko

ANNA MONICKA

W czasie izolacji wbrew pozorom łatwo stracić kontrolę nad lodówką. Panuje kompletna anarchia, bo każdy swoje stresy w mniejszym lub większym stopniu zajada, a potem porzucane serki utyka gdzieś w kącie, żeby mu nie przypominały o słabej silnej woli. Poza tym kupujemy na zapas, niektóre rzeczy tracą przydatność do spożycia (tym akurat niekoniecznie trzeba się przejmować, bo jeśli jedzenie było dobrze przechowywane, nagle się przecież nie zepsuło i spokojnie można je zjeść).

Od czasu do czasu warto więc solidnie przeczyścić domową spiżarnię. Moim sposobem na graniczne terminy są zapiekanki. Takie śniadanie uwielbiają wszyscy i taki początek dnia traktowany jest jak coś odświętnego. Zazwyczaj sobotnio-niedzielnego. Teraz zajadamy różne grzanki i kolorowe jajecznice albo omlety niemal codziennie. Zamiast jechać półtorej godziny do pracy, robię śniadania w duchu zero waste. Przy czym u mnie rzeczywiście niewiele się marnuje, bo jeśli my już mamy dość, zawsze pod stołem (albo i na) czai się żarłoczny kot, który robi mycie wstępne naszym talerzom.

Przegrzebując zapasy, natknęłam się nagle na paczkę lasagne. Nie wiem, po co to kupiłam, pewnie zgłupiałam, gdy w pewnym momencie na półkach w sklepie została już tylko ona, i się skusiłam. Pewnie miałam jakiś ambitny plan, na przykład krojenie jej w cieńsze paski. Bo na pewno nie myślałam o zrobieniu klasycznej włoskiej lasagne – kilka razy próbowałam i zawsze albo popękały mi platy ciasta, albo sos wypłynął, albo wszystko się zamieniło w bezkształtną breję w czasie krojenia na porcje.

Teraz jednak podjęłam wyzwanie. Ugotowanymi płatkami wyłożyłam posmarowane oliwą foremki do muffinek i ładnie przycięłam. Farsz – z białych delikatnych serków rozbeltanych z jajkiem, solą i curry. Na dno po kawałeczku łososia, kuleczke minimozzarelli, na wierzch – połówka pomidorka koktajlowego i ser bursztyn. Zapiekałam pół godziny, ale pachniało tak ładnie, że rodzina znacznie szybciej zaczęła się nerwowo kręcić po kuchni.

Uwaga, makaronowe gniazdko w foremkach do babeczek można też zrobić z długiego spaghetti. Zwijamy, wbijamy do środka jajko i pieczemy. Podajemy z pomidorami i rukolą. 

WILCZYM OKIEM

Na północ od tropików



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W warunki wegetacji, rozwoju roślin, życia zwierząt i grzybów w strefie tropikalnej i w strefie umiarkowanej, w jakiej położony jest nasz kraj, znacznie się różnią. Z jednej strony masy powietrza znad oceanu łagodzą skrajności temperatur w Polsce i przynoszą wilgoć. Z drugiej jednak wpływ wielkiego kontynentu na wschód od nas, a także dość znaczne wysunięcie na północ sprawiają, że okres, kiedy może trwać produkcja roślinna, warunkująca możliwość zdobywania pożywienia przez ludzi i zwierzęta, jest krótki.

Ten pozornie oczywisty fakt różnic pomiędzy tropikami i północnymi rejonami świata miał i ma doniosłe konsekwencje dla życia ludzi, a w szczególności dla wyżywienia się i zapewniania zapasu wystarczającego dla przetrwania, a tym samym dla kształtu i rozwoju cywilizacji.

W strefie tropikalnej cały czas panują warunki idealne dla wzrostu i rozwoju roślinności. W tym samym momencie i tuż obok siebie niektóre gatunki kwitną, inne owocują, inne z kolei rozsiewają nasiona. Cały więc czas dostępny jest pokarm dla roślinożerców, a tym samym dla całego łańcucha pokarmowego, z ludźmi włącznie. Strefę tę charakteryzuje olbrzymia różnorodność gatunkowa wszelkich organizmów, przy czym osobniki poszczególnych gatunków nie są na ogół liczne. Im dalej na północ, tym bardziej zmniejsza się liczba gatunków, lecz rośnie liczba ich osobników, np. w polskich lasach często dominuje jeden lub kilka gatunków drzew, a inne stanowią domieszkę. Dalej na północ lasy, z natury, stają się niemal monokulturami.

Podobnie ma się sprawa ze zwierzętami. Krótki okres, kiedy można wydać na świat potomstwo, wykarcić je i wychować, sprawia, że do takich warunków dostosowało się znacznie mniej gatunków niż w tropikach. Te, które zdołały zająć tę niszę na północy, mogą za to niekiedy osiągać olbrzymią liczebność, objawiającą się szczególnie w krótkim okresie wiosenno-letnim: masowe przyloty ptaków korzystających z mnożących się owadów, legi płazów, gromadne tarło ryb płynących w górę potoków, kwitnienie i niemal jednoczesne owocowanie roślin, a także skumulowanie prac rolniczych – eksplozja życia, którą możemy właśnie obserwować wokół nas. 

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Szanujmy państwo



www.wojciechreszczyński.pl

Rzeczpospolita Polska jest państwem jednolitym, o czym stanowi art. 3 Konstytucji RP. Jednolitym, unitarnym, skupiającym wszystkich polskich obywateli na wspólnym terytorium, pod wspólną władzą. Władza w Polsce dzieli się na państwową i samorządową. Państwową reprezentuje premier, wojewodowie i ich urzędy, władzę samorządową jej organy stanowiące (sejmiki, rady) oraz wykonawcze (prezydent, burmistrz itd.). Czy te dwie władze winny z sobą konkurować? Nie, gdyż państwo jest jednolite, tylko jego zadania zostały podzielone tak, aby się uzupełniały. Premier nie powinien ustalać szczegółowych lokalnych podatków, a prezydent miasta nie może prowadzić własnej polityki historycznej czy międzynarodowej sprzecznej z polityką państwa.

Od 2015 r. konflikt polityczny w Polsce przybrał charakter totalny i permanentny. Elity III RP, postkomunistyczne i zblatowane z nimi tzw. solidarnościowe, nie akceptują wyboru większości Polaków. Władze samorządowe wielu miast, w których rządzi opozycja, chcą uniezależnienia się, oddzielenia się od władzy centralnej, wbrew konstytucji, która stawia tamę takim zapędom, gdyż Sejm na wniosek premiera może rozwiązać organ stanowiący samorząd terytorialny, jeżeli narusza on konstytucję lub ustawy. Właśnie w tej chwili obserwujemy taką sytuację, kiedy to prezydenci miast odmawiają udzielenia informacji o wyborcach Poczcie Polskiej, upoważnionej poprzez ustawę do przeprowadzenia technicznej strony wyborów korespondencyjnych. Nieprzypadkowo taka postawa wpisuje się w walkę polityczną władzy samorządowej z władzą państwową, dlatego przypomnę koniec sierpnia ubiegłego roku – Gdańsk.

Z inicjatywy prezydent Aleksandry Dulciewicz doszło tam do uchwalenia 21 postulatów samorządowych. Warto je przypominać, teraz w atmosferze pandemii. Samorządy terytorialne domagały się pełnej samodzielności: prawnej, organizacyjnej, majątkowej, finansowej w zakresie realizacji swoich zadań. A tych zadań chcą mieć jeszcze więcej i będzie to możliwe, gdy dojdzie do „łączenie mandatu samorządowego z mandatem senatora” i zostanie zniesiona (wprowadzona przez PiS) kadencyjność radnych. Wówczas, jak to w postulatcie ósmym samorządowcy zapisali, będzie możliwa „decentralizacja służby zdrowia”, czyli „powierzenie decyzji i kontroli w sprawach ochrony zdrowia samorządom terytorialnym”. Ale także, co zapisano w postulatcie 18., uzyskanie realnego wpływu na funkcjonowanie takich służb jak straże pożarna, sanepid, nadzór budowlany.

Do tego trzeba jednak pieniędzy, ale i tu kreatywność opozycyjnych samorządowców jest godna podziwu, bo stwierdzili: „Należy dążyć do maksymalnej decentralizacji rozdziału funduszy unijnych”. Jeżeli dodamy do tego postulat samodzielnego kształtowania polityki podatkowej, czyli zniesienia maksymalnych i minimalnych stawek podatków lokalnych „narzucanych przez władze centralne”, oraz możliwość podporządkowania sobie lokalnych mediów publicznych, to obraz Polski samorządowej rozpala wyobraźnię lokalnych władców Polski, bo już można rządzić bez udziału państwa. Co prawda na liście postulatów nie ma likwidacji urzędów wojewodów, podporządkowania państwowego policji, ale mówiono o tym otwarcie.

Dlatego tak ważne jest dziś zapewnić prezydenta Andrzeja Dudy, że nie dopuści do komercjalizacji, czyli prywatyzacji, szpitali publicznych, tych, które

jeszcze nam zostały. Kiedy spojrzymy na mapkę Polski ze strony internetowej Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Szpitali Prywatnych, to łatwo zauważyć, że jest ich najwięcej w województwach śląskim i mazowieckim. Najmniej w warmińsko-mazurskim, lubelskim, zachodniopomorskim i a ani jednego w województwie podlaskim. Nałożmy na tę mapkę inną – zachorowań na koronawirusa.

Epidemia potwierdziła konieczność istnienia w nowoczesnym państwie sprawnej publicznej służby zdrowia, gdyż większa liczba szpitali prywatnych nie przekłada się na skuteczniejszą walkę o zdrowie Polaków. Powszechnie stało się odsyłanie chorych do publicznych szpitali. I chociaż placówki prywatne i publiczne leczą za pieniądze z NFZ, szpitale prywatne „wybierają” sobie chorych, których leczenie jest mniej kosztowne, mniej niebezpieczne czy po prostu wygodne dla właściciela. Dlatego NFZ powinien podpisywać umowy ze szpitalami prywatnymi, tak aby wymusić na nich gwarancję leczenia chorych od początku do końca choroby. Widzimy też, jak fatalną mają opiekę pensjonariusze prywatnych domów opieki społecznej czy zakładów opiekuńczo-leczniczych, którymi zarządzają samorządy.

Na szczęście „kręcenie lodów” na służbie zdrowia nie udało się w stu procentach. Wciąż są szpitale publiczne, które mogą leczyć, nie kierując się zyskiem, bo szpital to nie fabryka obuwia. Nie udało się też podporządkować publicznej służby zdrowia samorządom, w myśl ich planów i oczekiwań, bo byłaby to prawdziwa tragedia. Dlatego szanujmy własne państwo. Jak widać – sprawdza się.

To wręcz nie do pomyślenia

Perfidia i okrucieństwo rządzących przekroczyły wszelkie wyobrażenia. W ostatnią sobotę, poprzedzającą dzień wyborów prezydenckich, w kilkunastu dużych miastach kraju ich mieszkańcy byli świadkami widoku, który u większości wywoływał szok.

Na małych samochodach terenowych – typu ford transit – z niskimi, otwartymi platformami przez kilkanaście godzin wożono po ulicach ludzi uwięzionych w dużych drewnianych klatkach. W każdej stało krzesło lub fotel, obok skrzynka z kanapkami i wodą mineralną. Cały czas z głośników, umieszczonych na dachu kabiny kierowcy, płynęła głośnie muzyka zagłuszająca słowa, które próbowali wykrzykiwać ludzie w klatkach. Co kilka minut muzykę przerywały nagrane przez niejakiego Jerzego Jachowicza dwa zdania: „Oni odmówili udziału w wyborach. Jutro oddaj swój głos na kandydata PiS”. We wszystkich miastach wożono w ten sposób znanych sędziów i prokuratorów, którzy głośnie protestowali przeciwko wyborom w maju.

Sprawdziły się więc najgorsze przewidywania o wprowadzeniu w całym kraju terroru, sięjącego powszechny strach.



**Jerzy
Jachowicz**

Jego celem było zmuszenie opornych Polaków do udziału w wyborach prezydenckich. Prawdziwe okazały się nieoficjalne informacje publikowane w części polskich mediów – telewizji TVN, tygodniku „Newsweek” i „Gazecie Wyborczej”. Wolne, demokratyczne media potrafiły dotrzeć do „głębokich gardel”, pokazując swoją wiarygodność i sprawność. Falszywe okazały się piski prawicowych mediów, że ich przeciwnicy karmią opinię publiczną fantasmagorią.

W większości miast policja spisała personalia kierowców samochodów z klatkami. Już wiadomo, że będą odpowiadali za zakłócenie ciszy wyborczej. W Polsce długo jeszcze nie zapanuje prawdziwa praworządność. Karę prawdopodobnie poniosą jedynie bezpośredni wykonawcy nieludzkich praktyk.

Niestety ręka sprawiedliwości nie dosięgnie rzeczywistego mocodawcy barbarzyńskiej akcji, nawiązującej do najczarniejszych kart historii polskiej polityki. Człowieka mściwego, dążącego kosztem ludzkich cierpień do władzy. Okopanego w swojej twierdzy partyjnej na Nowogrodzkiej.

CO WAŻNE

Witaj, majowa jutrzeńko

Już maj – czciliśmy piękną pieśnią rocznicę Konstytucji 3 maja. Chciałam się jednak cofnąć do kwietnia, do dwóch bolesnych rocznic – 80. rocznicy mordu katyńskiego i 10. rocznicy tragedii smoleńskiej.

„Niedaleko, rzut beretem bratnia ziemia – Katyń. I tu, i tam krzyż wznosi się wysoko. I tu, i tam pała się znicze. Każda łza rozłupana na dwoje. O Polsko moja” (fragment wiersza Teresy Boguszewskiej). W mordzie katyńskim zginęli obywatele polscy różnych narodowości – oficerowie. Kwiat najlepszych. W smoleńskiej katastrofie też tak było. Lecieli na 70. rocznicę, by oddać hołd bestialsko zamordowanym. Tym, o których nie można było mówić.

Delegacja polska składała się z prezydenta, jego małżonki, prezydenta na uchodźstwie, polityków różnych opcji, kleru różnych wyznań, rodzin smoleńskich, które chciały uczcić swoich bliskich w sposób godny. Przez dziesięć lat sprawa katastrofy nie została wyjaśniona. Przez dziesięć lat dziesiątego dnia każdego miesiąca odbywała się msza w intencji ofiar katastrofy. Każdego miesiąca mówiłam w modlitwie wiernych: „Prosimy Cię, dobry Boże, aby ofiara ich życia nie została zapomniana, przyczyna ich śmierci w prawdzie wyjawiona i godnie upamięt-



**Katarzyna
Łaniewska**

niana”. Ich śmierć zaczęła być upamiętniana od kilku lat. Powstał pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego i pomnik wszystkich, którzy lecieli tym tragicznym lotem. Niestety prośba o to, by przyczyna ich śmierci została wyjaśniona, nie została wysłuchana.

Ówczesni politycy oddali śledztwo w ręce Rosjan. Zawisło nad nim kłamstwo, tak jak wisiało nad Katyniem. Ludzie przyjeżdżali, by żegnać parę prezydencką i innych zmarłych. Na Krakowskim Przedmieściu był krzyż przyniesiony przez harcerzy. Ludzie się modlili. „Krzyż zabrano, choć Chrystus pozostał. On z narodem odważnym i prawym” (to słowa innej poetki Barbary Postawy-Lipińskiej).

Msze, jak i krzyż też zaczęły przeszkadzać.

Na szczęście zmienił się prezydent. Już nas nie przeganiano, nie jątrono, nie obrażano. Niestety, koronawirus przeszkodził w mszy w 10. rocznicę katastrofy. Słowa innej poetki mówią: „Wytłumacz się narodowi za przekłamania, zaniechania po tragedii narodu. Wytłumacz się za butę i milczenie. To nie serce Polaka zdradę knuło. Nie Polaka serce nienawiść posiało. Pytam więc, czyje nosisz serce? Komu służysz? Wytłumacz się. Serca Polaków biją! Myślałeś, śpią?” (Henryka Jędrzejewska).

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Śmierć, śmierć i śmierć

Gdy byłem chłopcem, to kupiłem sobie na bazarze breloczek w kształcie ruchliwego kościotrupka. Mama, zauważywszy go, ochrzaniła mnie z góry do dołu i kazała wyrzucić ów gadżet. Wtedy się też dowiedziałem, że jest coś takiego jak powaga śmierci, że to nie jest obiekt do żartów i ozdóbek, że śmierć człowieka jest tajemnicą i dramatycznym, a niekiedy tragicznym misterium. Tę lekcję zapamiętałem na zawsze.

W 1998 r. zniesiono w Polsce karę śmierci. Ostatni taki wyrok wykonano w 1988 r. Od siedmiu lat kara śmierci nie działa nawet w warunkach wojennych. Zatem każdy szpieg, morderca, gwałcień, rozbójnik, dezterter czy zdrajca ma gwarancję przeżycia mimo popełnionych zbrodni. Bo zawsze i wszędzie obowiązuje V przykazanie, także w warunkach wojny, która jest z definicji wypowiedzeniem posłuszeństwa Dekalogowi. Można powiedzieć, że od ponad 30 lat to w pełni rozumiemy, bo wiemy, że cud życia nie jest naszym dziełem, że jesteśmy tylko instrumentem jego przekazywania, bo jego autor jest poza naszym zasięgiem i pojnowaniem.

Gdy piszę ten felieton, telewizja donosi o kolejnych ofiarach koronawirusa. Codziennie sporo ludzi nań umiera na całym świecie. Możemy z tym walczyć, możemy im pomagać przeżyć, wiemy, z jakiego powodu umierają, ale nie wiemy dlaczego. Dlaczego teraz, dlaczego ci właśnie? Widzimy rozpacz rodzin, strach otoczenia, jesteśmy posłuszni poleceniom kwarantannowym, potulnie zakrywamy nos i usta, dezynfekujemy ręce, bo nie chcemy umrzeć, nie chcemy, by ktoś z naszego powodu odszedł. Zamknięci w domach czekamy, aż to się skończy, ale zaraza nie odpuszcza, jest nieprzewidywalna i, przegrupowawszy siły, może wrócić jeszcze parszywszą mutacją. Nie ukrywają tego ani rządzący, ani eksperci. W ich wypowiedziach gdzieś głęboko jest obawa śmierci. Bo przecież nie boimy się szpitala, chorowania, gorączki ani zastrzyków, czasowego dyskomfortu. Boimy się śmierci, a zaraza jest jej narzędziem, takim jak wypadek samochodowy, utonięcie czy strzał z rewolweru.

Niespodziewanie jednak problem kary śmierci wrócił do życia publicznego właśnie teraz, gdy z umieraniem tak bardzo walczymy, gdy oplakujemy tych, których pandemia zabrała. Oto z przyczyn regulaminowych pod obrady Sejmu trafił bowiem wniosek obywatelski postulujący całkowite zniesienie tzw. aborcji, czyli okrutnego mordowania dzieci w łonie ich matek. Słuchałem z przerażeniem, z jaką łatwością mówiono o zabijaniu. Rzecz jasna dominowały kobiety. Te, którym Opatrzność powierzyła depozyt życia, wołały



**Aleksander
Nalaskowski**

o śmierć i agresywnie atakowały wnioskodawców. Chwilami czułem, jakby jakąś swoją winę, jakiś może błąd, chciały zmywać krwią nienarodzonych, jakby śmierć tych dzieci była im do czegoś potrzebna. Orędowniczka aborcji, importerka narzędzi do jej wykonywania broniła swojego biznesu jak lwica. Inna zaś, Jej Wysokość Bezmyślność, bredziła coś o wolności kobiety.

Ależ kobieta ma prawo wyboru! Może nie współżyć, jeśli nie chce uczestniczyć w powstaniu nowego życia. Bo potem to już są tylko konsekwencje takiej czy innej decyzji. Było myśleć przed, a nie mordować po.

Sokrates i Platon rozważali o moralności, gdy za węglem mordowano niewolnika. Niemcy w obozach nadawali ludziom numery, Amerykanie traktowali czarnych jak mówiące

narzędzie bliższe małpie. Za każdym razem był to wyraz pychy i pogardy. Tak i teraz było. Nie było człowieka, czyli potencjalnego Grzesia czy Asi, ale był płód, zlepek komórek, coś bezimiennego jak dżdżownica, którą nadziewamy na haczyk, by złowić równie bezimienną rybę. Mówiono o jakimś „przerwywaniu” ciąży, zupełnie zapominając, że tak można mówić o przerywaniu życia za pomocą stryck, gazu czy kuli. A przecież wyroki nie brzmiały „przerwanie życia przez powieszenie”, nieprawdaż? Mówiono więc o karze śmierci! Skąd zatem te eufemizmy? Myślę, że ze strachu przed słowami. Niechaj Nowicka, Scheuring-Wielgus czy jakiś inny kobieton zdobędą się na odwagę i wprost proponują rozszerzenie możliwości wykonywania wyroków śmierci na dzieciach, a nie jakieś tam eufemistycznej aborcji. Śmiało!

Zastanawiam się, czy te wszystkie kobiety płaczą, widząc w obozach koncentracyjnych stopy pomordowanych tam dzieci, czy podziwiają Korczaka za jego heroizm, Irenę Sendlerową, Żabińskich? Czy nienawidzą morderców rodziny Ulmów wraz z dziećmi, czy pomagają głodnym dzieciom z Afryki? A może są przeciwko oknom życia, ośrodkom opieki nad dziećmi z poważnymi wadami rozwojowymi, szkołom specjalnym? Czy napotkanym osobom z zespołem Downa mówią na dzień dobry: „Nie powinieneś żyć”?

I nie różnice ideologiczne czy polityczne, ale te najgłębiej etyczne nas dzielą. Tych, którzy szanują świętość każdego absolutnie życia ludzkiego, i tych, których rajcuje zasądzanie wyroków śmierci na anonimowych dzieciach, którym przed unicestwieniem nie patrzy się w oczy. Dlatego nie możemy ustawać w bojach o życie, w bojach przeciwko spaczonym fankom zabijania. Nie możemy!

PRZEZ ŚWIETLIK

Koniec ołpenspejsu



Szczerze mówiąc, akurat w tej sprawie moje mądrzenie jest trochę takie, jakby Tusk dawał rady w sprawie patriotyzmu albo Rosati antykomunizmu. Ale skoro im wolno, to ja, siedząc ciągle w pracy, napiszę, co myślę o siedzeniu w domu.

Ma to chyba pewną zaletę, którą obserwuję po niektórych znajomych (kiedy z nimi konwersuję za pomocą dozwolonych środków). Odcięto ich od ich biur, korporacji, środowiska. Cóż za dobrodziejstwo. Wkroczyli na nieznaną sobie, trudną, samodzielny grunt i zaczynają myśleć samodzielnie. O ile akurat w domu TVN całą dobę całej prawdy nie podaje.

Przecież dotąd było tak łatwo. Jakaż to wspaniała przestrzeń ten ołpenspejs – tekturowe przegródki, za którymi wszystko słychać i widzieć. Przede wszystkim – kto niemodny. Nie przyjdzie ze spuszczoną głową po kolejnych przegranych przez „europejskie” siły wyborach. Nie będzie miał serduszka Owsiaka, kiedy trzeba. Po rocznicy tego dobrego powstania przypnie sobie żonkila, ale po

rocznicy tego obciachowego już żadnego znaku PW nie wepnie, bo wiadomo – to kibolstwo i obciach.

Taki ołpenspejs myśli zawsze kolektywnie, jak jakiś zbiorowy mózg elektronowy z książek Lema czy Vonneguta. Wie, na jaki film iść, a na jaki to obciach. Jaka kawiarnia jest modna, jaka kuchnia i jaki kierunek na wakacje. Czym się wzruszać, a czym oburzać, czego się bać i przede wszystkim, co i kogo wspólnie nienawidzić.

A tu w mózgu zbiorowym przepaliły się synapsy. Każdy jego kawałek pozostał sam. Nie może skorzystać z mądrości zbiorowej i musi myśleć. Co dla niego dobre, co mu się opłaca, co wyniósł z domu i czego chce dla swoich dzieci. Inni nie patrzą, więc nie musi się tego myślenia wstydzić. Bolesne, ale bardzo pożyteczne. Mam nadzieję, że choć w niektórych przypadkach.

Kiedy Robinson Crusoe wreszcie opuszczał swoją wyspę, bardzo tego żałował, a potem za nią tęsknił, i to mimo że zabrał sobie na pamiątkę kumpla tubylca. Wątpię, czy ktoś za samym koronawirusem – jak już go nie będzie – będzie tęsknił, ale za ogólnopolską kwarantanną chyba możemy zatęsknić. Oby niektórym się utrwałała.

Wiktor Świetlik

REKLAMA

Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Warszawa 87.8 Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio **Kraków 95.2**
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
www.wnet.fm Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio Radio Radio
Radio Radio **Radio Wnet**

53/020/F

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

Kultura w sieci chamstwa

*Internet w czasach
kwarantanny buzuje jak nigdy*

Korzystając z internetu, człowiek jest śledzony przez tzw. ciasteczka. Strony wymuszają kliknięcie, że się zgadzamy na podstawianie nam pod nos reklam. Pełna kultura. W ramach tego podstawiania mogą nabyć w Empiku maskę z twarzą premiera Morawieckiego. Cena: 11,26 zł. Maski teraz są w modzie, więc może warto. Co ciekawe, wyskakuje kolejny komunikat: „Klienci, których interesował ten produkt, oglądali też”. I tu wyskakuje maska? Jakże by inaczej, każdy by od razu skojarzył. Kim Dzong Un! Z tym że dyktator jest za 8 zł. Firma powołana do propagowania kultury ma ciekawy asortyment i ciekawie go prezentuje. Zbieżność gadżetów oczywiście przypadkowa.



**Ryszard
Makowski**

W związku z załamaniem się rynku koncertowego padło hasło: „Kultura w sieci”. Artysty mogą zamieszczać na portalach swoje osiągi. Do tej pory było to też oczywiście możliwe, ale teraz zostało uświęcone zarazą. Założyłem Scenę Makowski Kwarantanna, celem prezentowania nowych utworów, dokumentujących odczucia własne w związku z plagą koronawirusa. Obok komentatorów przychylnych od razu rzucili się hejterzy, recenzujący nawet nie moje utwory, ale od razu moją skromną osobę. Znana autorka tekstów lirycznych pod piosenką „Wielkanoc 2020” wypaliła: „Palant”. Nie to, żeby mnie tak to urażało, ale szerzenie kultury w sieci chamstwa jest sporym wyzwaniem.

Co tam jeszcze? Donald Tusk miał wrócić na białym koniu. Nie wyszło. Nie daje jednak za wygraną. Postanowił wrócić na podkładanej Polsce świni.

Michał Korsun prezentuje: **Efekt motyla**



Wycinki z przeszłości

Sporo dziś płynie – i słusznie – ciepłych słów, podziękowań dla pielęgniarek i pielęgniarzy, lekarek i lekarzy, ratowniczek i ratowników oraz innych pracowników służby zdrowia. W czasie epidemii koronawirusa stanęli na pierwszej linii frontu i nie zawiedli. W naszym kąciaku reproduujemy zatem okładkę „Przyjaciółki” z 7 kwietnia 1974 r. „Z okazji święta pracownika służby zdrowia wszystkim, którzy dbają o nasze zdrowie, dziękujemy za ofiarną pracę i życzymy dalszych sukcesów” – napisała redakcja. A wewnątrz także listy od adeptów pielęgniarstwa:

„Jesteśmy uczennicami Liceum Medycznego Pielęgniarstwa w Starachowicach. Nasza szkoła obchodzi 10-lecie istnienia.

Alina N., gdy miała 5 lat, znalazła się w szpitalu. Postanowiła zostać pielęgniarką i pozostała wierna swoim marzeniom.

Bogusława I. rozpoczęła naukę w liceum ogólnokształcącym, ale nie była zadowolona. Przeniosła się do naszej szkoły i jest bardzo rada.

Uważamy, że zawód pielęgniarki to niezwykle zawód. Cieszymy się, że wkrótce znajdziemy się wśród tych, które tytułuje się: siostra. Chorym będziemy nosiły fachową pomoc, ale także nadzieję, uśmiech, serdeczność”.

Piękne, aktualne słowa.

(mk)



Portrety poetów... przez poetów

Miniatury Lechonia, mistrzowskie. Epizody, małe szkice biograficzne, psychologiczne. Na tle momentu historycznego i biograficznego. Akurat dziś dwóch – Mickiewicza i Książnina...

Jan Lechoń 1899–1956

Mickiewicz zmęczony

Powróciwszy do domu od Sekwany strony,

Mickiewicz się rozebrał z splamionej czamary

I położył na łóżku. Nie był jeszcze stary,

Lecz bardzo wiele cierpiał i był już zmęczony.

I oto ledwo zasnął, a w tej samej chwili



Leszek Długosz

Zobaczył starą ławkę nad srebrnym jeziorem
I w sukni, którą miała pamiętnym wieczorem,
W lekkiej woni akacji spłynął cień Maryli.

Jej wargi wyszeptaly: „Nasza miłość – cmentarz,
Między nami jest morze rozlane ogromnie,
I za dnia tylko bitwy i wódzów pamiętasz,
Lecz kiedy zamkniesz oczy, zawsze myślisz o mnie”.

Książnin i żołnierz

W czarnym stroju, kwiatkami dziwacznie przybrany,
Nad wodą, w starym parku, przy pasterskiej chacie,
Snuł się niegdyś w Puławach Książnin oblakany.
Który rozum postradał po Ojczyzny stracie.

Goniąc wzrokiem motyle świecące się w słońcu,
Wpatrzony w małe ziółka i ślimaków różki,
Dożywał dni, nieświadom, co było na końcu,
Ani cierpień rodaków, ni losu Kościuszki.

Aż kiedyś, powracając z dalekiej swej drogi,
Gdy tamten oszalały po alejach błądził,
Ujrzał młody go żołnierz, co sunął bez nogi,
Popatrzał nań i szepnął: „Dobrześ się urządził”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiety SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do druku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Leczenie objawowe

Swiat po tej pandemii się zmieni. Mniej lub bardziej. Raczej mniej. Dlaczego tak sądzimy?

LINIA MAGINOTA

Wiele razy sprawdziła się prawda mówiąca, że generałowie zazwyczaj są dobrze przygotowani do wygrania minionej już wojny. Wyciągają wnioski z dawnych porażek, przygotowują się do ich uniknięcia, a tymczasem świat poszedł naprzód i jeśli przeciwnik zaatakuje, to w inny sposób niż podczas poprzedniej wojny. Francja, która zapłaciła straszną daninę krwi podczas I wojny światowej, wielki wysiłek włożyła w to, by lepiej sobie poradzić w kolejnej. Ogromnym kosztem postawiła linię Maginota – ciąg fortyfikacji nie do zdobycia. Tylko że armia niemiecka, zamiast wykrwawiać się na przełamywaniu tej linii, zaatakowała Francję od północy.

Nie tylko generałowie popełniają taki błąd. Często także politycy, intelektualiści, uczeni, dziennikarze. Nawet artyści dają się uwieść w nieaktualnych schematach myślowych. I lekarze. „Wzmocnić ochronę zdrowia!”

To zalecenie dla rządów nasuwa się w oczywisty sposób w obliczu żniwa zbieranego przez koronawirusa. Jest choroba, są objawy – leczymy.

Co jednak, jeśli następny cywilizacyjny wstrząs nie będzie miał charakteru medycznego, a np. klimatyczny, migracyjny, militarny albo spowoduje go sztuczna inteligencja, która – niczym wirus – wyrwie się z jakiegoś laboratorium, gdyż ktoś niebacznie zaprogramuje w niej instynkt wolności?

A co, jeśli następne zagrożenie będzie miało charakter medyczny, lecz pandemia będzie dotyczyła chorób psychicznych? I to jakichś całkiem nowego rodzaju?

Jeśli głównym lub jednym z głównych wniosków z obecnej sytuacji miałyby po prostu być zalecenie dofinansowania ochrony zdrowia, to – podobnie jak



*Tym, co wymaga uleczenia,
jest nie ciało człowieka
ani nawet nasza psychika,
lecz duchowość*

jest dziś z podejściem do chorych na COVID-19 – będziemy mieli do czynienia z leczeniem objawowym. Z leczeniem, które łagodzi przebieg choroby, ale nie sięga do jej przyczyn. Z leczeniem nieopartym na szerszym zrozumieniu tego, z pomocą jakich mechanizmów wirus oddziałuje na ludzki organizm.

LECZENIE PRZYZYNOWE

A gdybyśmy chcieli sięgnąć głębiej, poza objawy, do bardziej fundamentalnych przyczyn oplakanej dzisiejszej kondycji ludzkiej cywilizacji? Cywilizacji, przypomnijmy, zasadnie określanej jako naukowo-techniczna.

Gdybyśmy próbowali sięgnąć do przyczyn najgłębszych – przynajmniej z tych dostępnych ludzkiemu umysłowi – to nie wystarczy skupić się na tym, co dziś widzą już prawie wszyscy. Na niesprawnościach instytucji międ-

zynarodowych oraz państwowych. Na ogromnej kumulacji bogactw w rękach nielicznych i często rażących nierównościami społecznymi. Na niedoinwestowaniu ochrony zdrowia i hiperwynagrodzeniach celebrytów muzyki i sportu. Na nadmiernie napiętych (zbyt optymalizowanych pod względem czasu i oszczędności) międzynarodowych łańcuchach dostaw. Na szaleństwie cywilizacji konsumpcyjnej, gdzie tworzymy – nie bacząc na ekologiczne obciążenie planety – coraz więcej, coraz powszechnie dostępnych gadżetów? (Ile smartfonów ostatnimi laty kupiono w waszej rodzinie?).

Skupienie uwagi na nauce i technice, które zostały przez mechanizmy rynku oraz ideologię postępu nakierowane bardziej na tworzenie strumieni innowacji niż na badanie zagrożeń wynikających z nadmiernej szybkości rozwoju, idzie już w dobrym kierunku. Idzie, ale jeszcze nie sięga sedna sprawy. Dlaczego?

CHOROBA DUSZY

Bo to wszystko materialny i organizacyjny wymiar życia. A tym, co wymaga uleczenia, jest nie ciało człowieka ani nawet nasza psychika, lecz duchowość.

Duchowość zaś może być leczona tylko wtedy, gdy zdrowa jest kultura, w jakiej wzrasta człowiek. Czy dziś mamy jakiś klucz do zdrowej duchowości?

Sądzimy, że taki klucz można wskazać. Nie jesteśmy w punkcie zero. Ludzkość w swoich próbach zrozumienia świata, tej naszej rzeczywistości, już do czegoś dotarła. Są pisma – i te traktowane jako natchnione, i pisma myślicieli będących z Bogiem na bakier – pokazujące, na czym polega ludzka linia życia ku dojrzałej duchowości. Powiemy o tym za tydzień.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Zostajemy w domu
z tygodnikiem

SIECI



Zamów e-prenumeratę

PROMOCJA!

~~19⁹⁹~~ **9⁹⁹** /miesiąc | ~~159⁹⁹~~ **89⁹⁹** /rok

SIECI



W prezencie **Sieci Extra**
- tylko dla e-prenumeratorów

WEJDŹ NA: www.SiecPrzyjaciol.pl

grafika.pl ze 04/1997/1b

Pomagamy razem #WygrywamyRazem

10% ze wszystkich gier na lotto.pl przeznaczamy
na walkę z koronawirusem i jego skutkami



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

#WygrywamyRazem

